

Konarzewski, Welfe, Marzec:
Spojrzenia na PAN

Czakon, Stańczyk-Hugiet:
Tożsamość i stabilność

Żylicz:
Wyzwania komercjalizacji

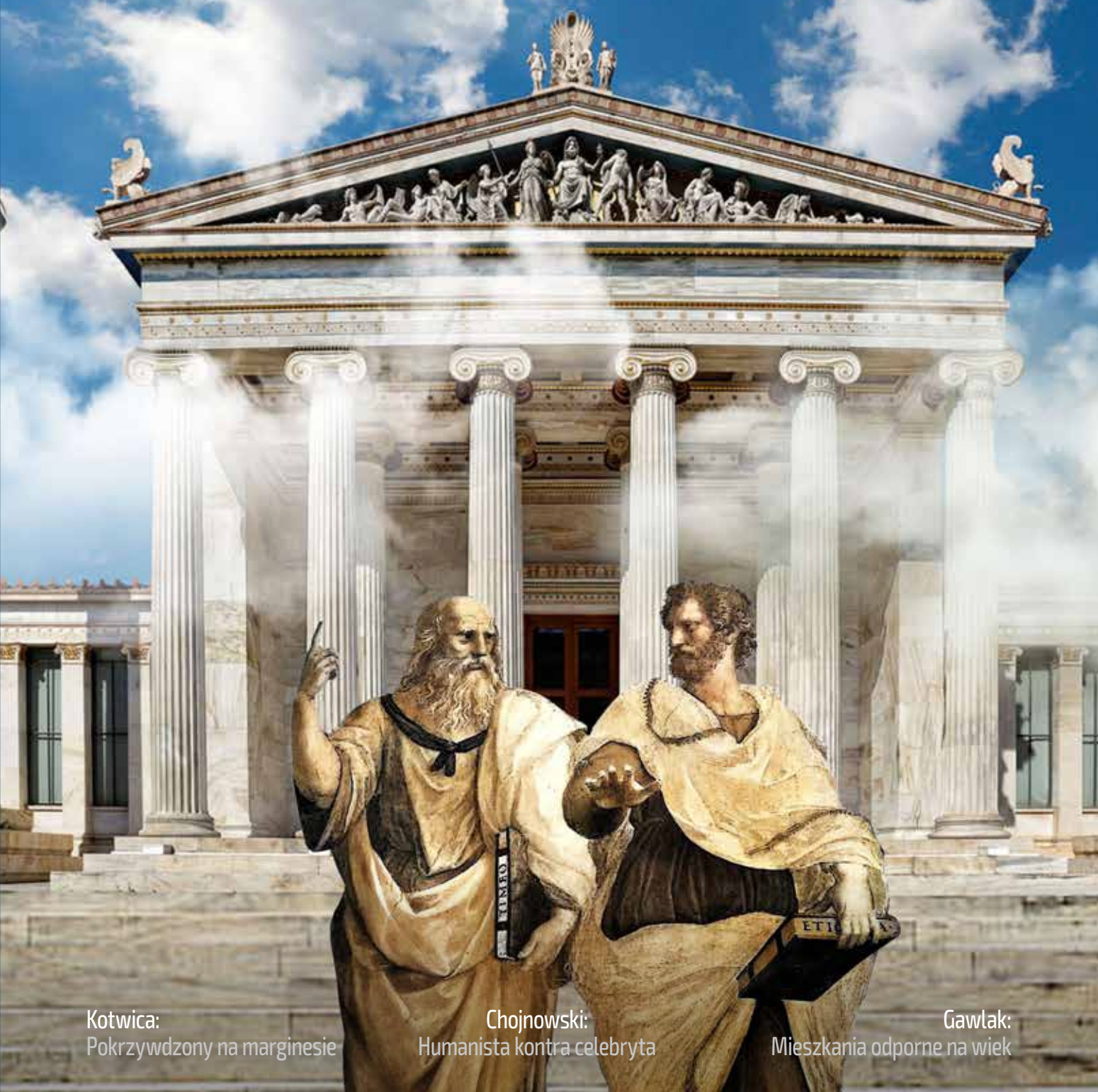
FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 5/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Marzenia o lepszej Akademii Str. 6-7, 22-33



Kotwica:
Pokrzywdzony na marginesie

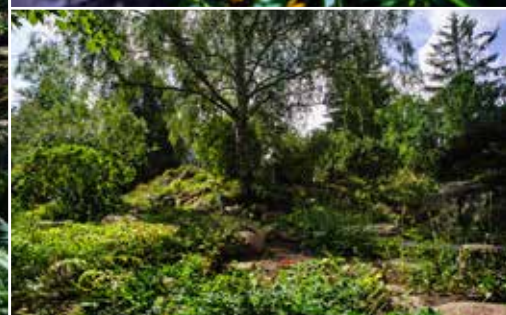
Chojnowski:
Humanista kontra celebryta

Gawlak:
Mieszkania odporne na wiek

Pamiętamy o (akademickich) ogrodach



Ogród Botaniczny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu na fotografiach Adama Wykroty



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Marzenia o lepszej akademii – Piotr Kieraciński	6
O przyszłości politechnik w Polsce – Błażej Skoczni	8
Ewaluacja nie jest celem – Teofil Jesionowski	9
Obywatelska, akademicka, praktyczna – Piotr Kieraciński	10
Przymusowe współautorstwo – Maciej J. Nowak	11
Kraina studiów zaawansowanych – Piotr Tryjanowski	12
Psychoterapeuci czekają na standardy – Mariusz Karwowski	13
Ewolucja i ewaluacja – Stanisław Mocek	14
Arboretum ma 100 lat	15
Pięć nowych uniwersytetów – Piotr Kieraciński	16
Pożegnanie z PIASTem? – Piotr Kieraciński	18
Materiał sponsorowany	
Medalowy urodzaj na planszy – Mariusz Karwowski	20

ROZMOWA FORUM

Uzyskać masę krytyczną do namysłu nad ważnymi sprawami – rozmowa z prof. Markiem Konarzewskim, prezesem PAN, biologiem	22
Z myślą o wspólnocie – rozmowa z prof. Aleksandrem Welfe, wiceprezesem Polskiej Akademii Nauk	26
Ta ustawa nas nie satysfakcjonuje – rozmowa z prof. Grzegorzem Marcem, dyr. IBL PAN, członkiem Porozumienia Instytutów Naukowych PAN	30

ŻYCIE NAUKOWE

Wyzwania stojące przed systemem finansowania nauki w Polsce – Maciej Żylicz	34
Mit interdyscyplinarności i problemy granic dyscyplin – Wojciech Czakon, Ewa Stańczyk-Hugiet	37
Pokrzywdzony a postępowanie dyscyplinarne w sprawie o plagiat – Ewa Ingeborga Kotwica	41

Z archiwum nieuczciwości naukowej (198)

Pedagogika specjalna i „uproszczona” nauka – Marek Wronski	44
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Klasa humanistów – Zbigniew Chojnowski	48
Uczony i polityka – Zbigniew Drozdowicz	50
Warto patrzeć przed siebie – Aneta Zawadzka	53

Doktorzy – auktorzy, czyli gra vabank – rozmowa z prof. Henrykiem Kuźniakiem, kompozytorem, muzykologiem, wieloletnim pedagogiem PWSFTiT w Łodzi	54
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	57

Publikuj lub gin

Cyryl i jego metody – Marek Misiak	58
---------------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

Mieszkanie dla zdrowia – Agata Gawlak	61
Obszar poradziecki w polityce zagranicznej Rosji – Anna Czyż	64

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

„Bujny człowiek” – Marcelina Smużewska	67
---	----

Pro publico bono (8)

Koncepcja nietypowej szkoły – Piotr Hübner	71
---	----

OKOLICE NAUKI

Nauki tajemne w Polsce w dobie odrodzenia – Marcelina Smużewska	73
--	----

Książki

Książki nadesłane	70
Najważniejsze wyzwania – Krzysztof Leja	77
Dowód winy i dowód na istnienie – Marek Misiak	77
Awangarda dla każdego – Jacek Hnidiuk	78
Dziwny komunista – Bogdan Bernat	78
Etyczna „zdrada” – Anna Jawor	79
Ikonografia, czyli obraz i słowo – Juliusz Gałkowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Czym naprawdę są objawy – Piotr Müldner-Nieckowski	76
---	----

Na marginesach nauki

Ruski czy rosyjski? – Leszek Szaruga	80
---	----

Projekt okładki – Sławomir Makal



Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXX Nr 5 (354) Maj 2023

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmids, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapi” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Pierwszy humanistyczny PoC ERC

WARSZAWA Prof. Katarzyna Marciniak z Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego otrzymała grant Proof of Concept ERC. To pierwszy grant tej kategorii w polskiej humanistyce. Jego rezultatem ma być międzynarodowy program edukacyjny przygotowujący młodzież szkolną do wyzwań współczesności poprzez nowatorskie wykorzystanie greckiej i rzymskiej mitologii. Eksperci z Europy, Afryki, Azji, obu Ameryk, Australii i Nowej Zelandii stworzą interaktywny podręcznik w formie gry: użytkownicy wcielą się we „Współczesnych Argonautów” i wyruszą na wyprawę, by odkrywać wspólne mityczne dziedzictwo. Prof. Marciniak, która w 2015 r. otrzymała Consolidator Grant, dołączyła do wąskiego grona polskich naukowców, którzy mają na swoim koncie więcej niż jeden grant ERC. Oprócz niej na liście są także: prof. **Magdalena Król** (1×StG, 2×PoC), dr hab. **Piotr Sankowski** (StG, PoC, CoG), dr hab. **Artur Obłuski** (StG, CoG), prof. **Grzegorz Pietrzyński** (AdG, SyG), prof. **Justyna Olko** (StG, CoG), prof. **Janusz Bujnicki** (StG, PoC), prof. **Mikołaj Bojańczyk** (StG, CoG) i prof. **Stefan Dziembowski** (StG, AdG). W sumie do naszego kraju trafiło już 70 grantów ERC wszystkich kategorii, w tym 41 Starting Grants, 14 Consolidator Grants, 9 Advanced Grants, 5 Proof of Concept Grants i 1 Synergy Grant.



Fot. UW

Reelekcja prof. Marcina Pałysa

GDAŃSK Dr hab. Marcin Pałys, przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego i były rektor Uniwersytetu Warszawskiego, został ponownie wybrany do zarządu European University Association.



Fot. Krzysztof Krzemepek

tion. Wybory odbyły się w trakcie dorocznej konferencji stowarzyszenia, którą po raz pierwszy zorganizowano w Polsce – na Politechnice Gdańskiej. Prof. Pałys jako jedyny uzyskał reelekcję. Razem z nim do nowego zarządu weszli: prof. Vincent Blondel (rektor KU Leuven), prof. Maurizio Tira (były rektor Uniwersytetu w Brescii), prof. Wim van de Donk (rektor Uniwersytetu w Tillburgu) i Astrid Söderbergh Widding (rektorka Uniwersytetu w Sztokholmie). W kadencji 2023–2027 stowarzyszeniem kieruje EUA to największa organizacja reprezentująca europejskie uniwersytety. Zrzesza ponad 850 podmiotów z 49 krajów. Wśród jej członków jest 37 polskich uczelni oraz Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich.



Fot. K. Adamczewski

Nowy sternik PKA

WARSZAWA Ks. dr hab. Tadeusz Stanisławski, dziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Zielonogórskiego, specjalista w dziedzinie prawa administracyjnego i prawa wyznaniowego, został powołany na funkcję przewodniczącego Polskiej Komisji Akredytacyjnej. To już druga zmiana na tym stanowisku w obecnej kadencji. Do 24

czerwca 2021 r. na czele PKA stał prof. Krzysztof Diks, którego zastąpił prof. Stanisław Wrzosek. Nowy przewodniczący jest duchownym katolickim Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej. Od 2014 r. jest zatrudniony na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Katedrze Prawa Administracyjnego i Finansowego WPIA UZ. Do końca września 2022 r. był zastępcą dyrektora Instytutu Nauk Prawnych ds. kształcenia. Wcześniej pracował także w Instytucie Administracji Wydziału Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji KUL. Obecna 4-letnia kadencja PKA upływa z końcem tego roku.

Nowy rektor pod Wawelem

KRAKÓW Prof. Andrzej Szarata, pełniący drugą kadencję funkcję dziekana Wydziału Inżynierii Lądowej, został wybrany na nowego rektora Politechniki Krakowskiej. Otrzymał 35 głosów, podczas gdy jego kontrkandydat prof. Dariusz Bogdał, obecny prorektor ds. nauki – 24. Wybory zorganizowano w związku ze śmiercią dotychczasowego rektora prof. Andrzeja Białkiewicza. Rektor-elekt przez całą swoją karierę zawodową (od 1999 r.) związany jest z PK. Kierował Katedrą Systemów Komunikacyjnych, był zastępcą dyrektora w Instytucie Inżynierii Drogowej i Kolejowej. Jego zainteresowania naukowe dotyczą inżynierii lądowej, głównie obszaru transportu, systemów komunikacyjnych, modelowania podróży, efektywności funkcjonalnej rozbudowy infrastruktury transportowej. Opracowywał modele transportowe wielu polskich (m.in. Wrocław, Poznań, Rzeszów, Warszawa, Kraków, Kielce) i zagranicznych (Saloniki) miast. Od 2019 r. jest głównym konsultantem w pracach nad budową modelu transportowego Polski, prowadzonych przez Centrum Unijnych Projektów Transportowych. Zasiada m.in. w Radzie ds. Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Innowacji przy Prezydencie RP.



Fot. PK

Medal od NATO

WARSZAWA Prof. Krzysztof Kulpa z Wydziału Elektroniki i Technik Informatycznych Politechniki Warszawskiej otrzymał Medal Theodore'a von Kármána. To najważniejsza tego typu nagroda w dziedzinie obronności w krajach NATO. Ustanowiono ją w 1972 roku i od tego czasu medalem uhonorowano 53 osoby. Naukowiec z PW jest pierwszym laureatem z Polski. Doceniono go za wkład w dziedzinę technologii radarowej. Na co dzień kieruje Pracownią Technik Radiolokacyjnych, jest też zastępcą dyrektora Uczelnianego Centrum Badawczego Obronności i Bezpieczeństwa PW. Specjalizuje się w obszarze przetwarzania sygnałów za pomocą technik cyfrowych, w szczególności sygnałów radarowych. Intensywnie współpracował z ekspertami wojskowymi w celu zintegrowania radarów pasywnych z sieciami dowodzenia i kontroli oraz zastosowania ich na współczesnym polu walki.



Fot. PW

Nowości w ofercie FNP

WARSZAWA Fundacja na rzecz Nauki Polskiej ogłosiła uruchomienie nowych programów wsparcia dla naukowców. Proof of Concept skierowany jest do naukowców, którzy w ramach realizacji dotychczasowych badań uzyskali obiecujące wyniki pod względem komercyjnym. Budżet PoC (102 mln zł) pozwoli na sfinansowanie około 160 rocznych projektów. PRIME to z kolei program dla naukowców, którzy chcą wprowadzić wyniki swoich badań na rynek, z dodatkowo wspieraną ścieżką komercjalizacji w formie spin-offu. Jest na końcowym etapie przygotowań, uruchomienie zaplanowano jeszcze w tym roku. Pozostałe trzy programy w nowej perspektywie finansowej to znane już: Międzynarodowe Agendy Badaw-

cze z budżetem ponad 445 mln zł, FIRST TEAM (253 mln zł) i TEAM-NET (178 mln zł). W sumie w latach 2023–2029 planowane jest sfinansowanie ponad 250 projektów z różnych dziedzin nauki.

Nagroda ZAiKS-u dla artysty z KUL

WARSZAWA/LUBLIN Prof. Leszek Mądzik, wybitny scenograf i reżyser teatralny, znalazł się wśród twórców wyróżnionych Nagrodą 100-lecia ZAiKS-u. Honorowani są nią twórcy, którzy w szczególny sposób przyczynili się do rozwoju polskiej kultury i życia społecznego. Prof. Mądzik od ponad pół wieku związany jest z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Jana Pawła II. Od 1969 roku prowadzi autorski teatr Scenę Plastyczną KUL. Zrealizował kilkadziesiąt spektakli, nagradzanych i wyróżnianych na międzynarodowych festiwalach. Jego autorski teatr klasyfikowany jest jako „teatr narracji plastycznej”. Głównymi środkami wypowiedzi artystycznej są w nim przestrzeń i światło, nieliczne postacie i przedmioty zanurzone w głębię i mrok nieskończoności scenicznej. To teatr całkowicie pozbawiony słowa, oddziałujący na widza za pomocą plastyki, wspomaganą muzyką i grą aktorów.



Fot. T. Koryzko

Raj dla chemików

KATOWICE Śląskie Interdyscyplinarne Centrum Chemii powstanie za cztery lata w stolicy Górnego Śląska. Flagowa inwestycja Uniwersytetu Śląskiego będzie kosztowała około 220 mln zł. Sześciokondygnacyjny



Fot. Aleksander Mirek

budynek stanie na terenie katowickiego kampusu przy ul. Moniuszki i będzie jednym z najnowocześniejszych obiektów uczelni. Pracownicy naukowcy i studenci zyskają możliwość korzystania z doskonale wyposażonych laboratoriów. Prowadzone w nich działania będą obejmowały zgłębianie istniejących i poszukiwanie nieopisanych jeszcze korelacji pomiędzy właściwościami materii a jej zachowaniem w kontekście praktycznego wykorzystania, szczególnie na styku chemii i inżynierii chemicznej z nauką o materiałach, farmacją z uwzględnieniem szeroko rozumianych obszarów zdrowia i środowiska w aspekcie zielonego ładu i ograniczania wpływu zmian klimatu na jakość życia.

Kraken już liczy

GDAŃSK Centrum Kompetencji STOS z zainstalowanym w nim superkomputerem Kraken otwarty na Politechnice Gdańskiej. Kompleks, w sercu którego znajduje się siedem wyspecjalizowanych, podziemnych serwerowni, to jedno z najnowocześniejszych centrów informatycznych w tej części Europy. Kraken pozwoli prowadzić zaawansowane prace badawcze i skomplikowane symulacje. Jego moce obliczeniowe



Fot. Bartosz Barlik

wspomogą naukowców zajmujących się m.in. rozwojem algorytmów sztucznej inteligencji, energetyką jądrową, technologiami ochrony środowiska czy medycyną i farmaceutyką. Z końcem tego roku osiągnie moc obliczeniową równą 13,6 PFlops, co uplasuje go w TOP 100 najmocniejszych superkomputerów na świecie i w czołówce takich urządzeń w Europie. Budowa i wyposażenie CK STOS PG kosztowały 250 mln zł.

Doktorat h.c. – prof. Andrzej Stróżyński

WARSZAWA Światowej sławy specjalista w dziedzinie statystycznych metod projektowania, kontroli oraz diagnostyki procesu produkcji układów scalonych VLSI/ULSI otrzymał tytuł doktora honoris



Fot. PW

causa Politechniki Warszawskiej. Jest ekspertem w dziedzinie mikroelektroniki. Ukończył Wydział Elektroniki PW (obecnie Wydział Elektroniki i Technik Informacyjnych). W 1979 r. wyjechał do USA, gdzie na stałe związał się z Carnegie Mellon University w Pittsburghu. Przez cały czas utrzymywał jednak ciągły kontakt ze swoją Alma Mater. Efektem jego 40-letniej pracy badawczej jest ponad 100 przyznanych patentów i zgłoszonych wniosków patentowych, mających kluczowy wpływ na rozwój przemysłu produkcji układów scalonych. Zaproponowane przez niego przełomowe metody projektowania, kontroli i wyszukiwania defektów w takich układach są używane praktycznie we wszystkich światowych firmach, które zajmują się dziś mikroelektroniką.

Doktorat h.c. – prof. Horst Kisch

KRAKÓW Wybitny niemiecki chemik, emerytowany pracownik Instytutu Chemii Nieorganicznej Uniwersytetu Fryderyka Aleksandra w Erlangen-Norymberdze, został doktorem honoris causa Uniwersytetu



Fot. Anna Wojnar

Jagiellońskiego. Uhonorowano go za osiągnięcia w badaniach mechanizmów reakcji fotochemicznych i fotokatalitycznych z udziałem związków koordynacyjnych i materiałów półprzewodnikowych, w szczególności procesów fotosensybilizacji dwutlenku tytanu. Jest autorem pionierskich prac w zakresie wykorzystania fotokatalizy heterogenicznej w syntezie organicznej oraz procesach usuwania zanieczyszczeń wody i powietrza. Należy do wąskiego grona najbardziej rozpoznawalnych naukowców na świecie podejmujących tę tematykę. Opracowane przez niego fotokatalizatory zostały skomercjalizowane i są obecnie stosowane jako składniki fotoaktywnych farb. Powodują skuteczne usuwanie

odorów i lotnych związków organicznych stanowiących jedno z głównych zanieczyszczeń powietrza. Dzięki kontaktom z polskim środowiskiem chemików prof. Kisch wniósł także ogromny wkład w rozwój chemii nieorganicznej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Symulują wieloprofilowo

KIELCE W Collegium Medicum Uniwersytetu Jana Kochanowskiego otwarto Wieloprofilowe Centrum Symulacji Medycznej. Powstało z połączenia trzech jednostek przeznaczonych do kształcenia ratowni-



ków medycznych, pielęgniarek i położnych oraz lekarzy. Utworzono pracownię symulującą m.in. szpitalny oddział ratunkowy, oddział intensywnej terapii, blok operacyjny z myjnią chirurgiczną i pomieszczeniem kontrolnym, izbę porodową czy wnętrze karetki. Ponadto w skład Centrum wchodzi: sala egzaminacyjne OSCE, sala nauczania umiejętności chirurgicznych i nauczania umiejętności klinicznych oraz sala wirtualnej rzeczywistości. Doposażono także sale symulacji z zakresu BLS (Basic Life Support – podstawowe zabiegi resuscytacyjne), ALS (Advanced Life Support – zaawansowane zabiegi resuscytacyjne) oraz sale umiejętności pielęgniarstwa. Wszystkie pracownie zostały wyposażone w nowoczesny sprzęt i fantomy medyczne. Inwestycja pochłonęła blisko 30 mln zł.

Zbadają zachowania konsumentów

SZCZECIN Laboratorium Ekonomii Behawioralnej otwarto w Instytucie Ekonomii i Finansów Uniwersytetu Szczecińskiego. Za pomocą narzędzi i metod stosowanych w ekonomii behawioralnej badana będzie natura podejmowania decyzji ekonomicznych. Testom poddane zostaną ludzie



Fot. Michał Nakoneczewski

kierunkiem zachowania oraz reakcje na różnorodne bodźce/czynniki zewnętrzne. Wyniki przeprowadzonych eksperymentów pozwolą wyeliminować niekorzystne i nieefektywne rozwiązania systemowe, a w konsekwencji ograniczyć redukcję ryzyka i unikanie strat gospodarczych. Wśród głównych obszarów badań są m.in.: preferencje podmiotów gospodarczych, racjonalność decyzji ekonomicznych i finansowych, psychologia podejmowania decyzji oraz postrzeganie ryzyka i emocji przez podmioty ekonomiczne. Zakupiono nowoczesną aparaturę, m.in. PPG – urządzenie do rejestracji sygnału pletyzmoграфicznego, EDA – urządzenie do rejestracji aktywności elektrodermalnej, EMG – urządzenie do prowadzenia badania elektromiograficznego.

Sztorm im niegroźny

SZCZECIN Politechnika Morska w Szczecinie otworzyła Centrum Szkoleniowe Offshore MUSTC przeznaczone do przeprowadzania profesjonalnych kursów dla specjalistów dynamicznie rozwijającej się branży offshore. Wyposażone zostało m.in. w: basen szkoleniowy o głębokości 4 m, generator fal w basenie, generator mgły, system kreowania wrażeń słuchowo-wizualnych imitujących warunki sztormowe, tratwę ratunkową na 16 osób, łódź ratunkową, rusztowanie wraz z rękawem ucieczkowym, rusztowanie do przeprowadzania szkoleń prac na wysokości, symulator podnoszenia rozbitków, który symuluje „downwash” wirnika (zmianę kierunku powietrza odchylanego przez łopatkę wirnika śmigłowca), reflektor ekip



Fot. PM

poszukiwawczych, a także dźwig do zatapiania kabiny helikoptera. Przy Wydziale Mechanicznym PM oddano do użytku także pierwszą w kraju szkoleniową turbinę wiatrową. To unikatowy na skalę kraju 20-metrowy obiekt, dzięki któremu studenci będą mieli możliwość zapoznania się z zagadnieniami elektroenergetycznymi i mechanicznymi, a także nauczyć się zasad bezpieczeństwa pracy i metod serwisowania.

Informatyki ZUT pod nowym adresem

SZCZECIN Wydział Informatyki Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego będzie miał nową siedzibę. Koszt jej budowy szacowany jest na 130 mln zł. Nowy budynek pod nazwą Akademicki Kampus ICT (Information and Communication Technologies) ma stanąć między siedzibą



Fot. ZUT

Wydziału Elektrycznego a Studium Wychowania Fizycznego i Sportu. Na powierzchni około 12 tys. m² oprócz sal wykładowych i ćwiczeniowych znajdzie się czytelnia oraz tzw. strefy fabrykacji, dostępne dla małych i średnich przedsiębiorstw czy start-upów technologicznych. Projekt budynku sprzyja nieformalnej komunikacji pomiędzy studentami i wykładowcami. Na szczególną uwagę zasługuje rozwiązanie dolnych kondygnacji zlokalizowanych w cokole budynku, które pozwalają na integrację życia akademickiego i publicznego. System atrii umożliwia naturalną wentylację i wykorzystanie termicznej masy budynku. Gmach ma powstać w ciągu 5 lat.

Laboratorium Konwersji Masy

WARSZAWA Nowoczesną pracownię umożliwiającą prowadzenie prac badawczo-rozwojowych dotyczących szeroko rozumianych innowacyjnych ekologicznych technologii konwersji biomasy zielonej i drzewnej, otwarto w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Specjalnie zaprojektowana instalacja hydrauliczna pozwoli na prowadzenie badań eksploracyjnych różnego typu urządzeń grzewczych w kontrolowanych warunkach. Innowacyjnym w skali kraju rozwiązaniem jest możliwość przeprowadzenia badań eksploatacyjnych urządzenia grzewczego dla konkretnego budynku przy zmiennym w czasie jego obciążeniu cieplnym. Pozwolą one na wyznaczenie w szerokim zakresie parametrów pracy testowanego urządzenia, gdyby zasilalo ono w ciepło instalację centralnego ogrzewania i przygotowania ciepłej wody użytkowej budynku rzeczywistego. W laboratorium naukowcy zajmą się także mody-



Fot. SGGW

fikacją konstrukcji urządzeń grzewczych, kotłów, ogrzewaczy pomieszczeń oraz analizami fizykochemicznymi surowców do produkcji biopaliw, analizami procesu formowania biopaliw (brykiety, pellet, estry) oraz procesu spalania wraz z oceną składu powstałych spalin.

Polskie Produkty Przyszłości

WARSZAWA Stworzony w Instytucie Wysokich Ciśnień PAN bezpieczny hybrydowy (dwupłaszczowy) zasobnik wodoru o wysokiej gęstości zmagazynowanej energii z ciągłym monitorowaniem szczelności został Polskim Produktem Przyszłości. Nowatorska konstrukcja stanowi odpowiedź na zapotrzebowanie na nowe paliwa, w tym wypadku wodór. Może być montowana w samochodach czy mobilnych magazynach wodoru, sprawdzi się też jako magazyn energii słonecznej, w których prąd wytwarzany przez instalacje fotowoltaiczne służy do wytwarzania wodoru w procesie



elektrolizy wody. Nominalne ciśnienie zbiornika (150 MPa) jest dwukrotnie wyższe niż w produktach dostępnych obecnie na rynku. Auto zasilane wodorem z tego zbiornika już dzisiaj może przejechać nawet 700 km. W konkursie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju nagrodzono także reaktor pozwalający na utylizację niesortowanych odpadów do postaci karbonizatu (ok. 60% węgla) i odzysk energii w postaci gazu o dużej zawartości wodoru. Współtwórcami są inżynierowie z Politechniki Gdańskiej.

Jak ocenić jakość wosku?

LUBLIN Naukowcy z UMCS stworzyli innowacyjny analizator jakości wosków pszczelich WAXO. To przenośne, elektromechaniczne urządzenie, które pozwala na szybki, a jednocześnie relatywnie tani sposób ustalenia jakości wosku i ocenę jego przydatności w gospodarce pasiecznej. Poprzez pomiar własności mechanicznych i cieplnych badanego materiału dokonywana jest ocena jego podobieństwa do czystego wosku z odsklepin. Dzięki temu można wyeliminować z obrotu produkty, które różnią się od naturalnego materiału. Cała procedura jest zautomatyzowana, a sam pomiar trwa



ok. 100 sekund. Wynik pojawia się w postaci liczby, zaś w drugiej linii wyświetla się klasyfikacja wosku. Dobry rezultat oznaczony jest na zielono, wątpliwy na żółto, zaś zły jakości na czerwono. Ocena odbywa się w oparciu o unikalny algorytm WAXO opracowany na podstawie wyników analiz kilku tysięcy próbek wosku o różnej jakości pochodzących z całego świata.

Prawie 10 mln zł dla studentów

WARSZAWA Rekordową sumę ponad 9,7 mln zł przeznaczyło Ministerstwo Edukacji i Nauki na wsparcie studenckich kół naukowych. Do finan-

sowania rekomendowano 174 innowacyjne projekty realizowane przez żaków z 61 uczelni. Na liście beneficjentów dominują: Śląski Uniwersytet Medyczny (10), Warszawski Uniwersytet Medyczny (9), Politechnika Wrocławska (8), Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (8) i Politechnika Poznańska (8). Aż 35 przedsięwzięć otrzymało maksymalną kwotę 70 tys. zł. Wśród nich m.in. profilowanie mikroRNA w zmianach przednowotworowych i wczesnym raku krtani (WUM), energooszczędny układ napędowy do motocykla (ZUT), model rehabilitacji dziecka z implantem słuchowym bazujący na usługach telemedycznych (Akademia WSB), wpływ leków przeciwpsychotycznych na strukturę chromatinu ludzkich komórek nerwowych (UJ), innowacyjny system automatycznej kontroli upraw żywności w układach izolowanych (AGH).

AMP-y za półmetkiem

WARSZAWA WARSZAWA Na miesiąc przed zakończeniem rozgrywek broniący tytułu studentki Politechniki Gdańskiej wyszli na prowadzenie w klasyfikacji generalnej Akademickich Mistrzostw Polski. Wyprowadzają Akademię Górniczo-Hutniczą i Uniwersytet Warszawski. W klasyfikacji medalowej wynik śrubuje AWF w Katowicach (15 złotych/13 srebrnych/16 brązowych). W pierwszej połowie maja poznaliśmy mistrzów w brydżu i karate (w obu triumfowała Politechnika Łódzka), aerobiku sportowym (Gdański Uniwersytet Medyczny), trójboju siłowym (kobiety: Uniwersytet Jagielloński, mężczyźni: Politechnika Gdańska), siatkówce (k: Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Krośnie, m: AGH), tenisie stołowym (k: Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, m: Akademia Zamojska) i kolarstwie górskim (UW). Tegoroczny cykl zakończyć pod koniec czerwca piłkarze.

Pierwsza Polka w Akademii Leopoldina

HALLE Prof. Agnieszka Chacińska, dyrektor Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN (IMol), dołączyła do grona członków Niemieckiej Akademii Przyrodników Leopoldina. To najstarsza nieprzerwanie istniejąca (od 1652 r.) akademia nauk przyrodniczych i medycznych na świecie. Obecnie liczy około 1600 naukowców z ponad 30 krajów. Prof. Chacińska jest piątym naukowcem (i pierwszą kobietą) z Polski w tej organizacji (po Marianie Mikołajczyku, Mieczysławie Mąkoszy, Macieju Żyliczu i Mieczysławie Wenderze). Będzie zasiadać w zespole zajmującym się biochemią i biofizyką. Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu cytologii, biologii molekularnej i biochemii. IMol PAN realizuje projekt ReMedy, który w 2017 roku otrzymał dofinansowanie w ramach programu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej „Międzynarodowe Agendy Badawcze”. Prace zespołów skupiają się na adaptacji komórkowej na stres i analizie mechanizmów regeneracyjnych włączanych przez komórki w odpowiedzi na czynniki stresowe.



Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Piotr Burda, Maciej Dzwonnik, Mariusz Kopiejka, Mateusz Lipka, Agnieszka Lizak, Ewa Sapeńko, Monika Stojowska, Małgorzata Syrdak-Słiwa, Krzysztof Szwejk, Krzysztof Szymański, Justyna Weber, Dominika Wojtyśiak-Łańska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Marzenia o lepszej akademii

Gdy w 1989 roku rozpoczynała się transformacja ustrojowa Polski, polscy naukowcy chcieli zmienić także naukę. Część postulatów dotyczyła akademii nauk. Żył jeszcze wtedy kilku dawnych członków Polskiej Akademii Umiejętności, którzy uważali, że ta niezwykle zasłużona instytucja powinna wrócić na arenę życia naukowego i społecznego Polski. Usunięta z niej została przez komunistów polskich w 1952 roku wraz z powołaniem Polskiej Akademii Nauk, której przekazali majątek PAU, w tym siedzibę przy ul. Sławkowskiej 17 w Krakowie. Także część profesorów z PAU postanowiła przejść na silniejszą stronę, tworząc zrębny PAN. Niektórzy wybitni badacze, którzy poparli nową akademię, „dostali” za to własne instytuty, często noszące obecnie ich imiona. Warto zauważyć, że podobno już przed wojną myśłano o „stołecznej” akademii nauk w miejsce, lub obok, tej starszej – krakowskiej.

Marzenia starych profesorów z PAU szły w początkach transformacji zapewne dalej niż sama restytucja, ale ich realizacja była możliwa tylko częściowo. Odtworzona Polska Akademia Umiejętności, z tradycją sięgającą początków XIX stulecia, prowadzi działalność, na jaką pozwala jej aktywność członków oraz zasoby lokalowe i finansowe. Państwo nie zrekomensowało jej utraconych w wyniku powojennych zmian majątków, ale za to przyznaje skromną subwencję. W 2022 roku – jubileuszowym, 150-lecia powstania – było to 7, a po zwiększeniu 8 milionów złotych. W swojej skromnej rzeczywistości PAU stara się integrować środowiska naukowe w Polsce i za granicą, spełniać rolę grona eksperckiego, promując dobrą naukę, m.in. przez przyznawane nagrody, opiekując się zbiorami, które przez lata działalności zgromadziła, a których część wciąż jest w jej dyspozycji. Jej strukturę tworzy 6 wydziałów: I – Filologiczny, II – Historyczno-Filozoficzny, III – Matematyczno-Fizyczno-Chemiczny, IV – Przyrodniczy, V – Lekarski i VI – Twórczości Artystycznej. Do PAU należy 302 członków krajowych, w tym 141 czynnych i 161 korespondentów, 174 członków zagranicznych i 1 honorowy. Akademia działa na podstawie prawa o stowarzyszeniach, jest po prostu prywatnym stowarzyszeniem uczonych.

Postulat odnowienia pojawił się też na początku lat 90. XX wieku w Towarzystwie Naukowym Warszawskim, które miało ambicję stać się akademią. Nie udało się go zrealizować, ale w początkach transformacji nauki z tego środowiska wyszło wiele cennych idei dotyczących zmian w polskim szkolnictwie wyższym i nauce.

Podniesiono też wówczas potrzebę reformy Polskiej Akademii Nauk. Pomysłów było mnóstwo, w tym wiele radykalnych. I rzeczywiście zmiany przeprowadzono w kilku krokach, znaczących kolejnymi wersjami ustawy o PAN (1997, 2010, wraz z nowelizacjami). Najważniejsze dotyczyły uzyskania osobowości prawnej i majątku przez instytuty PAN oraz odebrania Akademii wielu prerogatyw dotyczących finansowania nauki, w tym działalności zagranicznej. Zlikwidowano funkcję sekretarza naukowego PAN, który w randze ministra miał dawniej ogromny wpływ na losy polskiej nauki. Ostatnim sekretarzem naukowym PAN był prof. Mirosław Mossakowski, który chciał się tej funkcji pozbyć. W czasach prezesury prof. Michała Kleibera zmniejszono do pięciu liczbę wydziałów i przeprowadzono ograniczoną reformę komitetów PAN – na poważniejsze zmiany nie zgodzili się członkowie korporacji. Chociaż... to wtedy prof. Kleiber powołał zespół pod kierunkiem prof. Jerzego Brzezińskiego w celu przygotowania projektu nowej ustawy o PAN. Rezultaty jego prac nigdy nie ujrzały światła dziennego. Jednym z postulatów początkowego etapu transformacji było włączenie potencjału instytutów PAN do kształcenia wyższego, w tym pomysł na powołanie Uniwersytetu PAN (utrwalony np. w wywiadach z członkami Zarządu PAN z tamtego okresu). W praktyce powstały w nich szkoły doktorskie, kilka

tw. PAN-owskich uczelni niepublicznych, a spora część pracowników instytutów po prostu wykłada też na uczelniach.

Mimo to kształt i forma działania PAN, nawet po tej – wcale nie błahej – transformacji, nie wszystkim odpowiada. Padają zarzuty, że to jedyna instytucja naukowa, która po okresie komunizmu nie przeszła głębokiej reformy. Mówił o tym w jednym z wywiadów dla „Forum Akademickiego” prof. Włodzimierz Bernacki, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wiceminister edukacji i nauki.

Zespół Brzezińskiego ponownie został powołany przez kolejnego prezesa PAN, prof. Jerzego Duszyńskiego. Także wyniki pracy tego zespołu nie zostały ujawnione, choć z tzw. Białej księgi reformy PAN, ogłoszonej na stronie PIN PAN (za chwilę więcej o tym podmiocie), możemy się dowiedzieć, że padła wówczas propozycja przekazania podziału środków finansowych dla instytutów do Zarządu PAN (w zamian za udział w organach kolegiacyjnych Akademii). Zaniepokojone tym środowisko instytutów naukowych PAN powołało w 2017 roku społeczną organizację Porozumienie Instytutów Naukowych PAN, zrzeszającą ok. 30 tego typu podmiotów. Gdy w 2016 roku na dobre rozpoczęła się debata przed reformą szkolnictwa wyższego i nauki, zakończona wejściem w życie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 2018 roku, Polska Akademia Nauk podjęła kolejną próbę spojrzenia na swoją sytuację. Zarząd PAN powrócił wówczas do pomysłu utworzenia Uniwersytetu PAN. Ta koncepcja, przedstawiona podczas jednej z konferencji programowych Kongresu Nauki Polskiej, nie znalazła jednak uznania akademików. Podczas tego samego spotkania przedstawiono kilka innych koncepcji reformy PAN, przeważnie społecznych, tworzonych przez jej członków i pracowników instytutów PAN. Te jednak nie znalazły uznania w oczach Zarządu Akademii. Trzeba przyznać, że były to jedynie zarysy koncepcji, a nie projekty ustaw. Skończyło się tym, że gdy weszła w życie ustawa PSWN, Akademia została trochę z boku zmian systemowych.

Członkowie PAN oraz jej Zarząd rozumieli, że tego stanu rzeczy nie da się utrzymać. Prof. Jerzy Duszyński, ówczesny prezes PAN, powołał wówczas kolejny zespół doradczy na czele z prof. Pawłem Rowińskim, wiceprezesem PAN, który opracował projekt nowej ustawy o Akademii. Trzymano go w tajemnicy, budując przemyślaną koncepcję promocji reformy, gdy Polskę nawiedziła pandemia i zabroniono organizacji spotkań zbiorowych. W sytuacji utajnienia projektu członkowie Komitetu Polityki Naukowej pod kierownictwem prof. Marcina Nowotnego z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie przedstawili własną koncepcję radykalnej reformy PAN, polegającej na odłączeniu instytutów od Akademii i utworzenia z najlepszych z nich centrum naukowego im. Marii Curie-Skłodowskiej. Spotkało się to z wielkim oburzeniem Zarządu Akademii, ale doprowadziło do ujawnienia gotowego projektu ustawy o PAN, który – jak się okazało – zmieniał najwięcej w sferze zarządczej, porządkując szereg spraw, które sprawiały kłopoty. W międzyczasie Akademią wstrząsnęło kilka „afer” opisywanych przez media w całym kraju (np. dotycząca studiów doktorskich w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN). Zapewne to one zmusiły Zarząd PAN – i słusznie! – do przemyślenia funkcjonowania Akademii w aspekcie zarządczym. Ustawa przedstawiona przez zespół profesorów Duszyńskiego i Rowińskiego wzbudziła protesty pracowników instytutów naukowych PAN. Porozumienie Instytutów Naukowych PAN przedstawiło własną wizję reformy Akademii, w której akcentowano niezależność tych placówek. Także ministerstwo nauki nie odniosło się do niej pozytywnie. Entuzjastyczną recenzję wystawił jej kolejny Komitet Polityki Naukowej po kierunkiem prof. Marka Pawełczyka z Politechniki Śląskiej. Ta sekwencja wyda-

rzeń z ostatnich lat pokazuje, jak trudna jest reforma tak skomplikowanej instytucji jak PAN.

Minister nauki powołał w końcu własny zespół, który dostał zadanie stworzenia nowej ustawy o PAN. Rzeczniczka Ministerstwa Edukacji i Nauki, Adrianna Całus-Polak, podała informację, że projekt ministerialnego zespołu został przedstawiony ministrowi w końcu marca. Nie został on jednak podany do publicznej wiadomości. Wiadomo jedynie, że zespół zawczasu konsultował się z przedstawicielami PAN. Minister Włodzimierz Bernacki poinformował mnie ostatnio, że projekt ten nie znalazł uznania w oczach Zarządu Ministerstwa Edukacji i Nauki i raczej nie będzie procedowany.

Gdy na początku 2023 roku Zarząd PAN przeszedł w nowe ręce, problem reformy był jednym z jego pierwszych zadań. Do końca marca profesorowie Marek Konarzewski, prezes PAN i Aleksander Welfe, wiceprezes PAN, przedstawili ministrowi nauki nowy projekt ustawy o Akademii, bazujący w wielu miejscach na wypracowanych dotychczas rozwiązaniach, ale ze sporym oryginalnym wkładem. Także on spotkał się z zaniepokojeniem instytutów naukowych. Projekt ten przewiduje włączenie dyrektorów instytutów do organów kolegialnych PAN z czynnym głosem, ale równocześnie proponuje pewne formy kontroli Zarządu PAN i korporacji nad placówkami. Jak poinformował mnie min. W. Bernacki, projekt ten wymaga szerszych konsultacji środowiskowych, co zapewne będzie miało miejsce na przełomie maja i czerwca. Poinformował mnie też, że w zasadzie nie ma szans na procedowanie tego projektu w obecnej kadencji Parlamentu RP.

Moim zdaniem, nie oznacza to, że praca zespołu PAN i dyrektorów instytutów naukowych zrzeszonych w PIN PAN poszła na marne. Wprost przeciwnie. Obserwując przeróżne pomysły dotyczące szkół

wyższych i nauki, widzę, jak powoli docierają one do świadomości samych naukowców, jak układają się w wyobraźni ludzi i przestrzeni prawnej, by czasami w końcu znaleźć akceptację w tej czy innej postaci. Czasami giną w niepamięci, a niekiedy po długich dyskusjach wracają jako przemyślane i dopracowane koncepcje.

W ostatnich latach powstał pomysł powołania Akademii Kopernikańskiej. To był wyraz niezadowolenia z działalności istniejących akademii, propozycja nowego spojrzenia na taką instytucję, stworzoną z silnym komponentem międzynarodowym (członkowie to pół na pół uczeni polscy i zagraniczni), co ma być wykorzystane m.in. do promocji polskiej nauki i kultury za granicą. Plany wyglądają ambitnie. AK rozpoczęła w tym roku działalność; jeszcze nie w pełni ją rozwinęła, dopiero się rozkręca. Zobaczmy, jak się zrealizuje w praktyce (wywiad z sekretarzem generalnym AK, prof. Krzysztofem Górskim, w FA 4/2023).

Mamy w tej chwili w kraju trzy akademie. Polska Akademia Umiejętności emanuje dostojnością. Polska Akademia Nauk poszukuje drogi reformy. Akademia Kopernikańska stara się zbudować swoje struktury i rozpocząć działalność na pełną skalę. Pierwsza instytucja jest po prostu prywatnym stowarzyszeniem, wspieranym przez państwo. Dwie kolejne to państwowe instytucje naukowe, co z jednej strony zapewnia im finansowanie, a z drugiej wymusza formalne relacje zależności od władz państwowych, w pewnych aspektach od premiera RP, w innych – ministra nauki. Trzy akademie muszą teraz znaleźć swoje miejsca na wspólnej, całkiem przestronnej arenie życia naukowego kraju.

Piotr Kieraciński



Fot. Źródło: Wikipedia

O przyszłości politechnik w Polsce

Prof. Błażej Skoczeń, były przewodniczący Komisji Ewaluacji Nauki, współautor kilku ostatnich ewaluacji działalności naukowej w Polsce i ekspert francuskiego systemu ewaluacji, pisze jakie perspektywy wyłaniają się przed polskimi uczelniami technicznymi po ewaluacji działalności naukowej w latach 2017-2021.

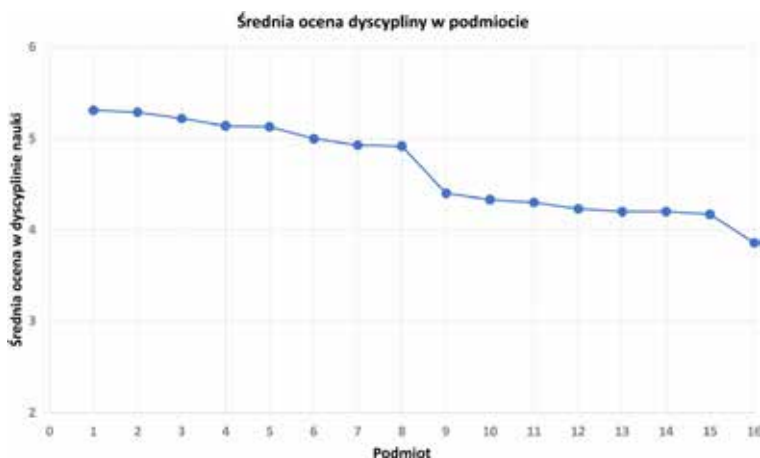
W ostatniej ewaluacji jakości działalności naukowej, politechniki odniosły spektakularny sukces. Trzy spośród nich uzyskały we wszystkich reprezentowanych przez siebie dyscyplinach nauki co najmniej kategorię A. Politechniki, za wyjątkiem jednej, nie uzyskały co prawda tak wysokiego odsetka miejsc medalowych (kategorii A+) jak uniwersytety czy instytuty PAN, ale tak wyrównany wynik w poszczególnych dyscyplinach musi robić wrażenie. Uczelnie techniczne pokazały więc klasę, a przy tak wyrównanych osiągnięciach niezwykle trudno je uszeregować.

Przypisane do poszczególnych dyscyplin kategorii naukowe stanowią swoistą wizytówkę podmiotu, świadcząc o liczbie reprezentowanych dziedzin nauki i dyscyplin oraz o ich poziomie. Dyscypliny nauki w podmiocie to przede wszystkim grupy naukowców do nich przypisane. Tworzą one swoiste bieguny kompetencji lub szkoły naukowe rozwijające się w danej instytucji. Tak więc sekwencja symboli (np.: A, A, B+, B, A, A+, B+) stanowi wyróżnik podmiotu i zarazem kod zawierający informację o jego sile naukowej w poszczególnych dyscyplinach. Czy można zatem na tej podstawie porównać jednostki naukowe do siebie, wiedząc, iż każda z nich reprezentuje odmienną listę dyscyplin, do których przypisano kategorie? Istnieje taka możliwość, o ile przyjmijemy, że każda kategoria to w gruncie rzeczy wartość, którą można – podobnie jak w systemach edukacyjnych – zapisać w postaci liczby np.: A+ to 6, A to 5, B+ to 4, B to 3, a C oznacza 2. Stosując taki system oceny, można wyznaczyć średnią wartość, jaką dany podmiot uzyskał w reprezentowanych przez siebie dyscyplinach nauki, bez względu na ich liczbę. Mamy zatem do dyspozycji jedną liczbę, która reprezentuje średnią wartość przypadającą na dyscyplinę rozwijaną w podmiocie. Jest to więc miara niezwykle uproszczona, ale ma ważną zaletę – jest wielkością intensywną, czyli przypadającą na pojedynczą dyscyplinę. Dzięki takiej mierze można uszeregować uczelnie reprezentujące różne dyscypliny, a nawet dziedziny nauki, w kolejności od najwyższej do najniższej notowanej. Na wykresie pokazano średnie wartości (oceny) wyliczone dla podmiotów, które noszą w nazwie politechnikę.

Z powyższej analizy wyłaniają się zatem dwie grupy takich podmiotów: I grupa z oceną w pobliżu lub powyżej 5 oraz II grupa z oceną w pobliżu lub powyżej 4. Generalnie, średnia ocena dyscypliny w politechnikach wypada na ogół powyżej 4, co wskazuje na znaczącą mobilizację w sektorze uczelni technicznych w kontekście ewaluacji. Warto zauważyć, iż spośród 8 politechnik, które znalazły się w I grupie, aż 6

spełnia warunki ustawowe, które pozwalają używać nazwy uniwersytet. Jeden podmiot jest na najlepszej drodze do sukcesu w tej materii, a tylko jedna politechnika ogranicza się wyłącznie do dyscyplin należących do dziedziny nauk inżynierijno-technicznych. Ta kwestia ma kluczowe znaczenie dla postrzegania podmiotu jako wielodziałowego, mającego szerszy wymiar aniżeli dziedzina nauk inżynierijno-technicznych. Nie jest bowiem tajemnicą, iż politechniki pozbawione dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych (matematyka, fizyka, chemia etc.) czy też dziedziny nauk humanistycznych lub społecznych (filozofia, ekonomia, socjologia etc.), zbliżają się niebezpiecznie do wyższych szkół inżynierskich o profilu monokulturowym, w których przedmiotów z zakresu nauk ścisłych zamiast matematyków czy fizyków uczą inżynierowie. Aby się przekonać, na czym polega nowoczesna politechnika o profilu wielodziałowym, warto zajrzeć do programu badań naukowych oraz programu kształcenia jednej z najlepszych politechnik w Europie, jaką wciąż pozostaje Szkoła Politechniczna (L'École Polytechnique) w Paryżu.

Jaka przyszłość czeka zatem uczelnie o profilu politechnicznym i w jakim kierunku powinny zmierzać? Wydaje się, że dla uczelni z I grupy dobrym kierunkiem działania jest ubieganie się o status uczelni badawczej. Wśród pierwszej ósemki znajdują się już 3 uczelnie badawcze (laureaci programu IDUB), a kolejne 2 politechniki znalazły się w poczekalni (druga dziesiątka programu IDUB). Pozostałe politechniki – korzystając z dobrego wyniku w ewaluacji – mogą przystąpić do tego programu w najbliższej jego odsłonie. Innym kierunkiem rozwoju może być przystąpienie do międzynarodowej ewaluacji połączonej z akredytacją, np. w systemie francuskim (akredytacja HCÉRES – Wysoka Rada ds. Ewaluacji Badań Naukowych i Szkolnictwa Wyższego, Francja, Paryż), który reprezentuje holistyczne podejście do oceny podmiotu, a pozytywny wynik akredytacji otwiera europejskie rynki akademickie i stwarza możliwość współpracy z najlepszymi jednostkami w Europie. Jedna z politechnik z grupy I poddała się ewaluacji i akredytacji wg. systemu HCÉRES, uzyskując w 2020 roku certyfikat z wynikiem bardzo dobrym. Innym ważnym problemem politechnik pozostaje niewątpliwie umocnienie szkół doktorskich, z uwagi na bardzo wąski strumień absolwentów zainteresowanych dalszym kształceniem i uzyskaniem stopnia naukowego doktora (najwyższy, 8 poziom kształcenia wg. Polskiej Ramy Kwalifikacji). Brak doktorantów to przede wszystkim mocno ograniczony sektor badań naukowych, ponieważ – jak uczy doświadczenie – intensywność prac badawczych jest ściśle związana z liczbą projektów badawczych oraz liczbą osób zaangażowanych w badania naukowe, w tym doktorantów. Dość powiedzieć, że w porównywalnych pod względem wielkości i potencjału politechnikach w Europie, np. w szwajcarskiej EPFL (École Polytechnique Fédérale de Lausanne), na ponad 12 tys. studentów (dane z roku 2021) przypadało około 2,4 tys. doktorantów, co świadczy o sile badawczej i dynamice rozwoju tego ośrodka. O takim odsetku doktorantów, sięgającym niemal 20% kształconych studentów, polskie uczelnie techniczne mogą tylko marzyć. Jeśli zatem pytamy o przyszłość najlepszych politechnik w kraju, to wydaje się, iż dążenie do uzyskania statusu uczelni badawczej, uzyskanie lub umocnienie statusu uniwersytetu o profilu technicznym, poddanie się ewaluacji i akredytacji międzynarodowej, a także umocnienie szkół doktorskich oraz zwiększenie liczby doktorantów, to dobre pomysły na najbliższe lata. W dobie nowoczesnych uczelni technicznych trzeciej generacji, o mocnym profilu innowacyjnym, tego właśnie należałoby życzyć najlepszym polskim politechnikom.



Ewaluacja nie jest celem

Prof. Teofil Jesionowski, rektor Politechniki Poznańskiej i przewodniczący Konferencji Rektorów Polskich Uczelni Technicznych, przedstawia komentarze do ostatniej ewaluacji, okraszając je kilkoma wskazaniem na przyszłość.

Politechniki zrobiły spory skok w ewaluacji, osiągnęły sukces, na który solidnie zapracowały: systematycznie, metodycznie i organicznie. Politechniki są pragmatyczne. Wolność akademicka jest nam bardzo bliska, ale chcemy widzieć na końcu efekt wdrożenia w gospodarce tego, nad czym pracujemy.

Uczelnie badawcze nie pokazały w tej ewaluacji efektywności, jakiej mamy prawo się po nich spodziewać; mimo zwiększonych środków, którymi dysponowały. Ci, którzy gonią peleton, zrobili większy postęp. Podobnie było w grupie politechnik: mniejsze – jak Politechnika Lubelska czy moja uczelnia – zrobiły większy progres. Niemniej jednak gratuluję sukcesu Politechnice Wrocławskiej, uczelni bardzo silnej i dużej oraz Politechnice Gdańskiej, także jednej z najlepszych w kraju.

Zadowolonych z ewaluacji jest niewielu. Uczelnie o dużej „masie krytycznej” i formacie stanęły przed wyzwaniem znacznie większym niż uczelnie niewielkie o niedużej liczbie małych dyscyplin. Tam, gdzie liczba N wynosi kilkaset, naprawdę trudno znaleźć wyrównany poziom wszystkich pracowników. Znacznie łatwiej osiągnąć sukces ewaluacyjny w małych zespołach, gdzie każdego można niejako monitorować. Obecny system nie pozwolił na „zasypanie” dziur efektywnością liderów, a tych jest zawsze tylko kilka procent. Ewaluacja preferowała dyscypliny małe bądź średnie. Osoby, które nie prowadzą efektywnej działalności naukowej nigdy nie wniosą dużej wartości dodanej. To wskazówka co do kierunku zmian, w którym powinniśmy pójść w politechnikach.

W obecnej ewaluacji zmieniono zasadę punktowania ochrony własności intelektualnej. Punktowano nie tyle samo zgłoszenie patentowe, co uzyskane patenty. To sensowne rozwiązanie. Potrafiśmy zgłaszać osiągnięcia do ochrony, ale to nie powinno być podstawowym sukcesem inżyniera.

Punktujemy tysiące czasopism. Powinniśmy jednak być tu znacznie bardziej rygorystyczni. Jeśli mówimy o doskonałości naukowej, to nie schodzimy poniżej pewnego poziomu. Proponuję, aby w przyszłości stworzyć dwie listy. Elitarną listę międzynarodową, np. w oparciu o bazę Scopus – i tu brałbym pod uwagę tzw. wskaźnik oddziaływania Impact Factor, bo wpływ czasopisma znacząco się liczy, oraz listę czasopism polskojęzycznych, bo one są także potrzebne, ale do innych celów; są dobre, ale to nie jest obszar międzynarodowej rozpoznawalności.

Najwięcej zastrzeżeń mam do sposobu punktowania projektów naukowych, czyli kryterium drugiego. Przyjęta metoda, polegająca na przyznawaniu punktów na podstawie wartości finansowej projektu, jest niewłaściwa. Ważne jest, co ten projekt wnosi do nauki, a nie to, ile za niego zapłaci agencja grantowa czy określona firma. Są dyscypliny, jak nauki medyczne, gdzie funkcjonują niezwykle kosztowne projekty i branie pod uwagę potężnych nakładów wcale nie pokazuje wartości naukowej projektów. Nie wartość finansowania projektu, ale jego jakość naukowa powinna być punktowana w ewaluacji, no i ich liczba. Niestety, widzieliśmy, że w praktyce przypisywaliśmy różne projekty pod działalność naukową, tylko dlatego, że były lepiej wyceniane. Zauważyliśmy, że granty NCN są zwykle wielokrotnie słabiej finansowane od tych z NCBR. Czy jednak są mniej wartościowe naukowo? Nie! Czasami wręcz przeciwnie. Czy łatwiej je zdobyć? Nie! A zatem w przyszłości punktujemy nie pozyskane środki, ale wartość naukową projektów.

Trzecie kryterium, czyli wpływ społeczny badań naukowych, powinno pozostać eksperckie, jednak musimy zapobiegać konfliktowi interesów wśród ekspertów. Tym razem nie zawsze to się udało. Byli wśród nich przewodniczący dyscyplin i inne osoby funkcyjne pracujące na uczelniach czy innych ocenianych instytucjach. W takiej sytuacji nie możemy liczyć na bezstronność. Może eksperci powinni być tylko zagraniczni?

Jednym z ważnych wyzwań jest wspólna ocena dyscyplin z różnych instytucji (uczelnie, instytuty PAN, centra naukowe, jednostki B+R). Warto zwrócić uwagę na ich specyfikę i zadania ustawowe.

Powinniśmy uporządkować sprawy kadrowe na politechnikach. Obecny system prawny nie tylko nie sprzyja temu, ale nawet uniemożliwia swobodne kreowanie polityki kadrowej. Niestety, Prawo pracy jest całkowicie niespójne z Prawem o szkolnictwie wyższym i nauce. Rektor nie ma żadnego skutecznego narzędzia, by pracownika z niewielkimi osiągnięciami naukowymi przenieść na inne stanowisko. Potrzebujemy większej elastyczności w polityce zatrudnienia. Szanuję każdego pracownika, ale potrzeba nam w nauce najlepszych. Przeciętni nie podniosą naszej kreatywności.

Pewnie nasze uczelnie techniczne mają poważny mankament: powinniśmy znacznie więcej współpracować z gospodarką. Oczywiście, do tego potrzebny jest silny finansowo przemysł, który ma zapotrzebowanie na badania. Odczuwamy już skutki rozwoju naszej gospodarki, która zaczyna poszukiwać innowacji, żeby uzyskać przewagę konkurencyjną na rynku, i na szczęście poszukuje ich u nas. Wciąż jest tego mało, ale pojawia się. Może uczelnie techniczne powinny być ewaluowane także za współpracę z gospodarką? I znów, nie chodzi o ilość pozyskanych środków, bo np. w niektórych sektorach zlecenia są wysokonakładowe, a w innych dyscyplinach mniej kosztowne, ale bardzo innowacyjne, a o liczbę konkurencyjnych badań zrealizowanych na podstawie takich zleceń nam chodzi.

Myślałbym na przyszłość o pewnej rewolucji w ewaluacji, czyli wspólnej ocenie kształcenia i nauki. Uczelnie, które chciałyby być oceniane jako excellence, powinny poddać się ocenie zagranicznego panelu eksperckiego. Koszty związane z ewaluacją byłyby znacząco mniejsze, a ocena sprawiedliwsza. Mówiąc o kosztach, nie mam na myśli samej Komisji Ewaluacji Nauki i jej ekspertów, ale te wszystkie osoby w uczelniach, które przygotowywały instytucje do oceny. W ogóle nie uwzględniamy tego, mówiąc o kosztach ewaluacji.

Chciałbym jednak podkreślić, a to mówili to wszyscy rektorzy uczelni technicznych podczas niedawnego spotkania KRPUT w Lublinie, że powinniśmy po prostu solidnie pracować, nie oglądając się na ewaluację. To tylko narzędzie, a nie nasz cel. Najważniejszym celem uczelni jest dobre kształcenie wysoko wykwalifikowanych kadr, powiązane z badaniami prowadzonymi na najwyższym światowym poziomie. Ewaluacja nie jest celem żadnego z tych zadań. Jednak, aby edukacja i nauka była zauważalna w naszym ekosystemie, potrzeba mądrości społeczeństwa i determinacji oraz strategii państwa.

Notował Piotr Kieraciński

Obywatelska, akademicka, praktyczna

W dyskusjach o reformie Polskiej Akademii Nauk kilkakrotnie sugerowano zaangażowanie lub wręcz włączenie potencjału pracowników instytutów PAN do dydaktyki akademickiej. Propozycja przybierała różne postaci, a co najmniej dwukrotnie pojawiła się idea powołania uniwersytetu PAN. Pierwszy raz w latach 90. XX wieku, a zatem na początku transformacji ustrojowej i w okresie pierwszej wielkiej reformy nauki i szkolnictwa wyższego, a kolejny – pod koniec drugiej dekady XXI wieku. Praktyczną formą realizacji tego pomysłu było powstanie uczelni wywodzących się wprost z instytutów PAN, co miało miejsce w pierwszym ze wskazanych okresów. Powstało ich wówczas pięć, a trzy działają do dziś (nie wliczam w to Szkoły Nauk Społecznych, utworzonej w 1992 r., która jest po prostu nazwą studium, a obecnie szkoły doktorskiej Instytutu Filozofii i Socjologii PAN). Jako pierwsza w 1993 r. powstała Szkoła Nauk Ścisłych. W rejestrze uczelni niepublicznych MEiN figuruje pod numerem 16. jako zlikwidowana. Przetrwiała jednak w formie Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Szkoły Nauk Ścisłych (tak się dokładnie nazywa) Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Warszawska Szkoła Biznesu rozpoczęła działalność w tym samym roku co SNŚ i ma w rejestrze MEiN nr 24. Obecnie w likwidacji. Jako trzecia powstała w 1996 r. Wyższa Szkoła Informatyki Stosowanej i Zarządzania, w rejestrze pod numerem 87. W tym samym roku utworzono Szkołę Wyższą Psychologii Społecznej, zarejestrowaną w MEiN pod numerem 95. Obecnie jest to SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny, który należy do największych i najlepszych uczelni niepublicznych. Najmłodszym (i ostatnim) dzieckiem ruchu tworzenia uczelni niepublicznych afiliowanych przy instytutach PAN jest Collegium Civitas, zarejestrowane pod numerem 129. Uczelnia została wymyślona w Instytucie Studiów Politycznych PAN, którego inicjatorem, podobnie jak uczelni, był prof. Edmund Wnuk Lipiński. CC widział jako uczelnię obywatelską, która ma kształtować pewien typ formacji obywatelskiej. Jego pomysłem była też oryginalna łacińska nazwa uczelni, która w ubiegłym roku obchodziła 25-lecie istnienia.

Collegium Civitas otrzymało zgodę na działanie w sierpniu 1997 roku, a pierwsza inauguracja roku akademickiego odbyła się w listopadzie. Na pierwszy rok przyjęto 24 osoby na stosunki międzynarodowe i socjologię. – Do dzisiaj mamy kontakt z tymi osobami – mówi

dr hab. Stanisław Mocek, profesor uczelni i rektor CC. W moim artykule pt. *Rozwiązaniem jest uniwersytet*, zamieszczonym w FA 2/2001, prof. Jadwiga Koralewicz, ówczesna rektor CC, mówi, że szkoła ma dwóch ojców: profesorów Edmunda Wnuka-Lipińskiego oraz Wojciecha Roszkowskiego (oba byli dyrektorami ISP PAN). – I jedną matkę – dodaje prof. Mocek – czyli właśnie prof. Koralewicz, obecnie prezydent Collegium Civitas. To dzięki jej determinacji i ogromu pracy uczelnia dość szybko stała się znaczącym miejscem na mapie wyższego szkolnictwa niepublicznego.

W pierwszym roku CC mieściło się na ul. Smoluchowskiego. Potem w typowej mieszkalnej willi na Żoliborzu. Absolwenci do dziś wspominają to miejsce z rozrzewnieniem. Kolejna znajdowała się na ulicy – nomen omen – Naukowej. – W ogrodzie odbywały się dni narodowe. Studenci stosunków międzynarodowych interesowali się różnymi krajami. Zapraszano przedstawicieli ambasad. Zawsze był motyw kulinarny, debaty – wspomina rektor CC. W 2003 roku uznano, że nie ma sensu budować własnej siedziby, a dobrze będzie ulokować uczelnię w rozpoznawalnej lokalizacji. Wybrano Pałac Kultury i Nauki, gdzie CC mieści się do dzisiaj. – Mimo znacznego czynszu, jesteśmy w centrum Warszawy, w punkcie niezwykle rozpoznawalnym, prestiżowym i z wielu powodów wygodnym – mówi prof. Mocek.

Struktura uczelni kształtowała się stopniowo. Wraz ze wzrostem liczby studentów trzeba było tworzyć kolejne działy i instytucje uczelnicze. Struktura uczelni jest dwójaka: to 4 katedry, które odpowiadają za dydaktykę i 3 instytuty odpowiedzialne za badania naukowe. Collegium Civitas jest uczelnią bezwydziałową. – Wzorowaliśmy się na reformie SGH – mówi rektor. – Chodziło z jednej strony o łatwość zarządzania, a z drugiej o zapewnienie studentom dostępu do zajęć z puli całej uczelni. Tak jest do dzisiaj. Studenci mają część zajęć obowiązkowych, kierunkowych: 30% na danym kierunku i 30% do wyboru oraz pozostałe do wyboru z zasobu całej uczelni.

– Nie korzystamy z możliwości zatrudniania doktorów na stanowiskach profesorów. Zależy nam, żeby nasi pracownicy robili habilitacje. Dbamy o to, aby do habilitacji była książka. Chcemy utrzymać poważny status akademicki, ale budujemy kadrę osób współpracujących, które mają unikalne doświadczenia zawodowe. Na różnych formach umów zatrudniamy ok. 500 osób, a około stu na etatach – mówi rektor CC.

System RADON podpowiada, że uczelnia zatrudnia dziś 234 nauczycieli akademickich i innych osób prowadzących zajęcia oraz działalność naukową. W tej grupie 95 wykładowców posiada stopnie naukowe; 31 z nich to samodzielni pracownicy nauki, w tym 7 profesorów tytularnych, a 64 – doktorzy.

– Początkowo, gdy działaliśmy pod patronatem PAN, mieliśmy wyraźny profil akademicki. Wtedy kadrę stanowili głównie profesorowie z ISP PAN. Uczelnia powstała przecież po to, aby ludzie, którzy mieli doświadczenie w pracy naukowej, mogli także uczestniczyć w dydaktyce. Dzisiaj dostosowujemy programy kształcenia do rynku pracy, a zatem zatrudniamy wielu praktyków: dziennikarzy, dyplomatów, specjalistów od marketingu i nowych mediów. Osoby ze statusem naukowym zatrudniamy na stanowiskach naukowo-dydaktycznych – tłumaczy politykę kadrową CC rektor Mocek.

Kiedy inne uczelnie redukują liczbę studentów w związku z sytuacją demograficzną, w CC trwa szczyt zainteresowania kształceniem. Obecnie jest tam ponad 3 tysiące studentów, najwięcej w historii uczelni. – Ta obecnie duża liczba wynika także z uruchomienia rocznych studiów pomostowych po ukraińsku na dwóch kierunkach (stosunki międzynarodowe i zarządzanie) – tłumaczy prof. Mocek. Do CC zgłosiło się kilkuset Ukraińców, którzy nie znają dobrze polskiego. Cały



rok uczą się go, aby na drugi rok przejść na studia polskojęzyczne lub anglojęzyczne. Te ostatnie pojawiły się w latach 2003-2004 na stosunkach międzynarodowych, początkowo głównie dla absolwentów matur międzynarodowych, ale wkrótce zaczęli się pojawiać studenci zagraniczni. Dziś stanowią 35% ogółu. Pochodzą z 70 krajów, w tym tak dalekich i egzotycznych jak Malediwy, Brazylia i Meksyk, choć najwięcej jest Ukraińców. Najczęściej wybierają zarządzanie i stosunki międzynarodowe. Rektor podkreśla, że inną grupą są obcokrajowcy, a inną studenci anglojęzyczni – tych jest 25%.

Pierwsze uprawnienia magisterskie CC uzyskało po trzech latach, a zatem w 2000 roku, na socjologii. Teraz kształci na magisterskich stosunkach międzynarodowych, socjologii i zarządzaniu oraz na I stopniu na dziennikarstwie i nowych mediach. Każdy z kierunków można studiować po angielsku.

Pierwsze uprawnienia do nadawania stopnia doktora uczelnia otrzymała w 2005 r. z socjologii. – Wtedy znaleźliśmy się w KRASP

– wspomina rektor Mocek. Od tego czasu prowadzone są, wspólnie z Instytutem Studiów Politycznych PAN, dwuletnie studia podyplomowe, po których można robić doktorat. Rektor potwierdza moje przekonanie, że – tak jak w całym kraju – znacznie więcej osób przystępuje do doktoratu, niż go realizuje. – Problemy, które było widać na studiach doktoranckich, przeniosły się teraz do szkół doktorskich. Szkoły nie sprawdzały się przy tak niskim stypendium. W naszym programie doktoranci muszą płacić, ale za to wolno im pracować. Teraz doktorat robi się nie tylko z powodu planów kariery akademickiej. Większość chce po prostu wzmocnić swoją pozycję zawodową – mówi prof. Mocek. W wyniku ostatniej ewaluacji CC uzyskało kategorie B+ w dyscyplinach nauki socjologiczne oraz nauki o polityce i administracji. Ma zatem dwa uprawnienia do doktoryzowania i tyleż do habilitowania.

Piotr Kieraciński

Przymusowe współautorstwo

Plagiaty to jeden z największych problemów w różnych środowiskach naukowych. Niemniej, w sferze publikacyjnej można wyodrębnić również inne kwestie. I mimo, że część z nich jest bardzo dobrze znana, warto je ciągle przypominać. Marek Porcusz Katon usilnie powtarzał, że Kartaginę należy zniszczyć. Dziś można niniejsze zachowanie przenieść w sferę niektórych praktyk naukowych i wzorem Rzymianina powtarzać trochę bardziej zawiłą maksymę: „a poza tym uważam, że kierownicy katedr i zakładów nie powinni być (bez poważnego wkładu) dopisywani do publikacji naukowych swoich podwładnych”.

Trudno określić skalę problemu, tzn. sytuacji, w których kierownicy jednostek oczekują, aby pracownicy „dopisywali” ich do listy współautorów swoich prac. Pod względem ilościowym nie jest ona zapewne porażająca. Jednak niewątpliwie da się to zjawisko zauważyć. Wydaje się, że w niektórych dyscyplinach praktyka ta występuje w większym stopniu niż w innych. Różnie się też ją ocenia, od postaw bardziej pryncypialnych, przez pobłażliwą obojętność, aż do wskazywania, że „jakieś racje za tym stoją”. Zapewne poszczególne przypadki są zróżnicowane, ale generalizując, można wyodrębnić dwa modele zachowań: bardziej i mniej radykalny.

Model bardziej radykalny zasługuje na zdecydowane potępienie, przekładające się w wymiarze praktycznym nawet na wszczęcie postępowań dyscyplinarnych na uczelniach. To sytuacje, gdy kierownik katedry/zakładu wprost komunikuje swoim pracownikom, że oczekuje automatycznego dopisywania do każdej publikacji każdego pracownika jednostki. Może się zdarzyć również, że nie komunikuje tego wprost, jednak poprzez konkretne działanie jednoznacznie daje to do zrozumienia. Owo „dawanie do zrozumienia” może przybierać różne formy, np. utrudnianie sfinansowania publikacji. Usprawiedliwienia powyższych praktyk bywają zróżnicowane. Można je streścić w następujących hasłach: „przecież zawsze tak było” (zgodnie z powyższym dopisywanie kierownika katedry do artykułu to jakaś forma *savoir vivre*’u); „przy pracy nad publikacją jest wykorzystany sprzęt katedralny” (zgodnie z powyższą narracją kierownik katedry zdaje się być właścicielem tegoż sprzętu); „kierownik ma tyle innych obowiązków, że to mu się po prostu należy”.

Zapewne jednostkowych usprawiedliwień dopisywania nieuprawnionych współautorów może być więcej. Wszystkie jednak one prowadzą do jednego efektu: bezprawnego przywłaszczenia przez kierownika pracy innych osób.

W modelu mniej radykalnym kierownik jednostki nie formułuje takich oczekiwań. Proponuje natomiast swoim pracownikom inny rodzaj współpracy, w której jego realny wkład jest wątpliwy. Występują różne warianty takiej sytuacji, np.: „etap początkowy”, gdy kierownik wymyśla pomysł badań, a pracownicy katedry go realizują (na zasadzie dawnego „ja rzucam pomysły, a wy je łapcie”). Oczywiście, gdy takie inicjowanie badań polega na szczegółowej analizie aktualnej literatury i wyczerpującym przedstawieniu swojego pomysłu zespołowi, jest to zrozumiałe, niebudzące wątpliwości. Jednak jeśli przedstawienie pomysłu polega jedynie na ogólnym, hasłowym wskazaniu kierunku badań, to trudno pozytywnie ocenić taką praktykę. Owszem, może ogólne sugestie od Einsteina lub Skłodowskiej-Curie byłyby wartościowe. Zaryzykuję jednak tezę, że nie wszystkie ogólne sugestie będą zawierały znaczącą wartość. Czy czasem nie będą stanowiły jedynie próby usilnego uzasadnienia udziału kierownika w artykule? Inna forma delikatnej sugestii to „etap końcowy”, czyli sprawdzanie gotowej publikacji. Tutaj znów, jeżeli przy okazji weryfikacji publikacji włączający się na tym etapie kierownik znacząco ją poprawi, uzupełni, sytuacja nie budzi wątpliwości. Jednak są wypadki, w których wkład w końcową wersję pracy polega na nanieśieniu przecinków i innych zmian, równie przełomowych z perspektywy wyników badań. To zdecydowanie mniej stosowne.

Obie wersje nacisku lub sugestii nieuprawnionego współautorstwa mogą przenosić i upowszechniać złe praktyki, zwłaszcza wśród młodych pracowników naukowych. Doktoranci, ale również młodzi doktorzy zasługują na szczególną opiekę, w tym bezinteresowną pomoc ze strony swoich szefów. Rolą szefów jest „zarażenie” swoich podopiecznych pasją naukową. Rzecz jasna często to oznacza wyrażanie dużych wymagań i oczekiwań, co nie musi być wykorzystywaniem stosunku zależności podległego pracownika. Szef w ten sposób przestaje być mistrzem, mentorem, ale osobą oczekującą, że młody pracownik będzie załatwiał własnym kosztem jego prywatne interesy.

Zjawisko nieuprawnionego współautorstwa nie jest może powszechne i na pewno nie zdarza się w większości katedr/zakładów. Istnieją różne jego odcienie, a każda sytuacja jest inna. Nie można ich zbyt łatwo wrzucać do jednego worka. Niemniej, przypadki spełniające w pełni opisane powyżej przesłanki, zdecydowanie zasługują na krytykę.

Dr hab. Maciej J. Nowak, prof. ZUT, kierownik Katedry Nieruchomości, Wydział Ekonomiczny, Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie

Kraina studiów zaawansowanych

„To nie jest bałagan, tylko bardzo skomplikowany porządek”.

(A.A. Milne, *Kubuś Puchatek*)

Świat staje się coraz bardziej skomplikowany. Nie tyle trudniej jest przeżyć, bo jednak spodziewana długość życia globalnie ciągle rośnie, ale odpowiedzieć na pytanie: jak przeżyć i nie postradać przy tym zmysłów. Nadmiar informacji nie sprzyja ich trafnej analizie i przyswajaniu. Nie ma już pojedynczych mózgów ogarniających całość wiedzy. Nauka przestała oznaczać mądrość, a współczesny system jej uprawiania zdecydowanie preferuje specjalistów – takich co wiedzą prawie wszystko, o prawie niczym. Można się zżymać na rzeczywistość, ale od tego niewiele się zmieni. Specjaliści są wszak potrzebni, choćby w tworzeniu wysokowydajnych procesów produkcyjnych. Ta śrubka, ten zegarek, ta taśma, ten odczynnik i to urządzenie. Nie ma co się doszukiwać powiązań z całością świata, czy nawet wszechświata, tylko robić swoje, porządnie, nawet z poszukiwaniem kolejnych ważnych detali. I z tej ważności detali zupełnie nie kpię, jednak warto mieć na uwadze i to, aby w zapale do uzyskanie perfekcyjnego detalu, nie stracić obrazu całości.

Na poziomie indywidualnym i tak każdy z nas ma jakieś założenia, przewidywania, poglądy. Na pewno nie jest tabula rasa ani w domu, ani w terenie, ani w laboratorium. Może nawet mieć syndrom teścia i znać się na wielu rzeczach, ze zdrowiem, polityką, skokami narciarskimi i pogodą na czele. Czy od takiego podejścia, obejmującego połączenie wąskiej specjalizacji, z dość szerokim acz płytkim wyobrażeniem, nasz świat będzie lepszy? Codziennosc podpowiada, że jest zgoła inaczej. Polaryzacja ekonomiczna i polityczna społeczeństwa, kryzys zdrowia psychicznego, zanieczyszczenie środowiska i choroby cywilizacyjne dają o sobie znać każdego dnia. Niektórzy widzą zagrożenia i starają się wskazywać potencjalne rozwiązania, bo przecież nie gotowe odpowiedzi. Wiedzą jednakże, że w pojedynkę niewiele da się zrobić: ani poprawnie postawić całościowej diagnozy, ani zasugerować skutecznej terapii. W ten sposób nawiązują do pewnej intelektualnej tradycji, sięgającej lat 30. ubiegłego wieku, a związanej z powstaniem Instytutu Studiów Zaawansowanych (Institute of Advanced Studies) w Princeton w USA. Odegrał on wielką rolę w transferze myśli z Ameryki do Europy, ale przede wszystkim sprawdził się w trakcie zimnej wojny. Od tego czasu na konto IAS pieniądze popłynęły szerszymi strumieniami, bo chętnie płaciły i osoby prywatne, i instytucje państwowe. Płaciły, ale w zasadzie niewiele mogły wymagać. Pracującym w instytucie badaczom nie stawiano bowiem żadnych celów poza czystą pracą umysłową, kierowaną jedynie ciekawością. Nie musieli wyklądać ani deklarować sukcesu w postaci publi-

kaucji czy patentu. Na tym polegał urok badań w IAS Princeton: prawie wszystko możesz, niewiele musisz, ale będzie świetnie, jeśli się uda. Przynajmniej tak głosiła legenda i wielu naukowców „chciało do Princeton”. Małe miejsce w stanie New Jersey wszystkich tęgich głów nie

pomieści, więc w wielu miejscach na świecie powstawały kopie amerykańskiego instytutu, które przyjmowały podobne nazwy, właśnie owych „instytutów studiów zaawansowanych”. W samych Niemczech jest ich kilka, jest w Pradze, a nawet w Warszawie (!), choć rzecz jasna to tylko pewien ułamek amerykańskiej siły – nie ta skala finansowa i nie ten rozmach organizacyjny, co w sposób oczywisty przekłada się na liczbę zapraszanych badaczy.

Model funkcjonowania instytutów bowiem pozostał praktycznie niezmienny. Zapraszamy do jakiegos miejsca naukowców z różnych krajów i z różnych dziedzin, raczej zaawansowanych naukowo, o ustabilizowanej pozycji, niż nowicjuszy. Może niekoniecznie mają świeże spojrzenie na sprawę, ale za to już nie muszą, a często nawet nie chcą się ścigać o pierwszeństwo odkryć. Chcą tylko spotykać się z innymi, dyskutować, próbować łączyć spojrzenia z różnych dziedzin, wyłączenie po to, by mieć pełniejsze spojrzenie na rzeczywistość. Lubią podjąć się inter-, a nawet transdyscyplinarne, a przynajmniej powinni je szanować. Niektórzy powiedzą, że to wspaniałe wakacje, a inni, że ucieczka od akademickiej codzienności i spraw rodzinnych. Może i tak, zwłaszcza, że niektóre miejsca całkiem dobrze się reklamują: godziwym stypendium, zadbanymi budynkami i urokliwą okolicą.

Instytut Studiów Zaawansowanych (IAS) TUM w Garching pod Monachium najbardziej ujmuje powiedzeniem *risking creativity*, czyli ryzykowna kreatywność. Oznacza to w praktyce tyle, że zachęca badaczy, by robili rzeczy na pograniczu dziedzin, bardzo ryzykowne, spekulatywne, nawet jeśli szansa na osiągnięcie spektakularnego rezultatu nie jest wielka. W przeciwieństwie do amerykańskiego protoplasty, IAS TUM zachęca, by robić to w połączeniu z macierzystymi jednostkami, a nie wyłącznie z grupą wspólnie spędzających czas naukowców. Na realizację zamierzeń ma się trzy lata. Jeśli projekt się powiedzie, po tym czasie oferują dodatkowe środki na kolejny rok, zapraszają na seminarium i warsztaty w ciekawe miejsca, pokazują modele współpracy z biznesem. To wszystko w dość ciepłymi warunkach nowoczesnych ścian instytutu, z cudowną kantiną, biblioteką, pufami, na których można nawet uciąć drzemkę. Jednak pomysł na IAS to przede wszystkim ludzie, a przepis na sukces to skonfrontowanie kreatywnych osobowości pochodzących z różnych stron świata i odmiennych tradycji intelektualnych i próba stworzenia intelektualnej mieszanki wybuchowej. Ich kompetencje się uzupełniają i mam wrażenie, że działają lepiej niż układy lokalne, budowane z różnymi ograniczeniami etatów, kompetencji i niemożnością pozbycia się ludzi, którzy nie pomagają, a czasami nawet przeszkadzają.

Muszę wyznać, że trochę mi brakuje większych interakcji, ale może przyjdą, bo mam wrażenie, że osoby spotkane na korytarzu instytutu na razie dopiero łapią oddech i jeszcze nie mogą uwierzyć w to, co się tutaj dzieje. Że nikt nie łązi, nie marudzi, że nie ma planów, zadań, sprawozdań, ponagleń. Chce się żyć, rozmyślać i nawet na chwilę pójść do biblioteki, zobaczyć co jest w nowym „Science”, „Nature”, „The Science of Nature”, czyli starym pocziwym „Naturwissenschaften”, do którego to czasopisma wielu badaczy ma wręcz nabożny stosunek. Czy przypadkiem nie ma tam nowego artykułu kolegi z biurka? Jeśli nie ma, to można wrócić do swojego gabinetu, zajrzeć w znacznie nowocześniejsze, bo wydawane elektronicznie „Nature and Science of Sleep” (taki tytuł naprawdę istnieje i z paru przyczyn chciałbym w nim kiedyś coś opublikować), zadumać się i spojrzeć na szczyty Alp.

Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski pracuje

w Katedrze Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Obecnie jest stypendystą Hans Fisher Senior Fellowship w IAS TUM.



Psychoterapeuci czekają na standardy

Około 14 tys. osób praktykuje w Polsce psychoterapię. Część z nich robi to, nie mając ani specjalistycznego wykształcenia, ani odpowiednich certyfikatów. Od dłuższego już czasu środowisko naukowe postuluje ustawowe uregulowanie zawodu. Prace nad kształtem tego aktu rozpoczęto w parlamencie w lutym. Jednocześnie Ministerstwo Zdrowia proceduje rozporządzenie do ustawy o ochronie zdrowia psychicznego, które wprowadzi specjalizację z psychoterapii. Ma to być kolejna specjalizacja w obszarze medycyny. Głównym wyzwaniem jest stworzenie programu kształcenia i określenie kryteriów akredytacyjnych dla ośrodków, które będą prowadziły specjalizację. – Nie mamy w tej chwili kontroli nad tym, kto mieni się psychoterapeutą. Wysyłając pacjenta, chcemy być pewni, że nie trafi do kogoś, kto prowadzi jakąś eksperymentalną terapię – mówi prof. Piotr Gałęcki z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, konsultant krajowy w dziedzinie psychiatrii.

Stworzenie programu specjalizacji w psychoterapii będzie jednak o wiele trudniejsze niż w psychiatrii czy psychologii. W tej drugiej specjalizacja odnosi się do absolwentów jednolitych studiów, co w dużej mierze ułatwiło jej wprowadzenie. Swoim zasięgiem obejmuje ona specjalistyczne kształcenie psychologów. Program był tworzony przez ekspertów wywodzących się z różnych środowisk, w tym także akademickich. – Chodziło o to, by w praktyce klinicznej integrować wiedzę praktyczną z teoretyczną – podkreśla prof. Bernadetta Lzydorczyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, konsultant krajowy w dziedzinie psychologii klinicznej.

W psychoterapii może być o wiele trudniej, już choćby z tego powodu, że zgodnie z rozporządzeniem, do szkolenia będą przystępować osoby z tytułem magistra, magistra inżyniera lub równorzędnym, uzyskanym na studiach: lekarskich, pielęgniarskich, psychologicznych, pedagogicznych, socjologicznych, resocjalizacyjnych. Ich baza do specjalizacji będzie różna. Trudno się spodziewać, by absolwenci kierunków społecznych byli przygotowani w obszarze medycyny czy psychosomatyki tak jak np. medycy. Ale wątpliwości jest więcej. – Nie chodzi o to, by jedynie stworzyć specjalizację, lecz by szkolić na niej terapeutów w nurcie, który jest skuteczny i oparty na dowodach. Do tego potrzeba pieniędzy. W psychologii klinicznej badania wymagają mniejszych nakładów, bo obejmują jeden pomiar. Tutaj mamy do czynienia z procesem dynamicznym. Z naukowego punktu widzenia nie będziemy w stanie odpowiedzieć na pytanie, co jest skuteczne, a co nie, jeżeli nie będzie pieniędzy na badania, które taką skuteczność są w stanie zweryfikować – zauważa prof. Michał Harciarek z Uniwersytetu Gdańskiego, przewodniczący Komitetu Psychologii PAN.

Nad uwzględnieniem w szkoleniu aspektu psychoterapii krótkoterminowej apeluje z kolei dr hab. n. med. Michał Lew-Starowicz, kierownik Kliniki Psychiatrii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Ma to być, obok promowania interwencji grupowych, jeden z elementów udrażniania systemu i zwiększania tym samym dostępu do opieki. Ważny też, jeśli chodzi o terapeutów, którzy reprezentują różne wykształcenie podstawowe, jest nacisk na psychopatologię w procesie szkolenia. – Ci, którzy nie mają doświadczenia klinicznego, nie muszą mieć wiedzy na ten temat. Mogliby ją zdobyć poprzez praktykę i dostęp do kontaktu klinicznego z pacjentem. W gabinecie wiedzieliby, jak udzielić wsparcia w zakresie psychopatologii.

Prof. Roman Cieślak, rektor Uniwersytetu SWPS, wskazuje na istotną rolę

uczelni z kategorią A+ w dyscyplinie psychologia (obok kierowanej przez niego, to również uniwersytety Warszawski i Jagielloński). – W kontekście planowanych zmian chcemy, aby głos naszych uczelni był słyszany i brany pod uwagę. Społeczna odpowiedzialność uniwersytetów ma na celu przyczynienie się do tego, byśmy mogli dostarczać pomocy psychologicznej czy psychoterapeutycznej w formie, która jest potwierdzona naukowo pod względem skuteczności i efektywności – zaznacza.

Prof. Zbigniew Izdebski, pełnomocnik rektora UW ds. utworzenia kierunku lekarskiego, odpowiada, by również w procesie kształcenia medyków uświadamiać ich, czym jest oferta psychoterapeutyczna w procesie wspomagania leczenia człowieka. – Nie odkryję Ameryki, jeśli powiem, że w Polsce lekarze w zdecydowanej większości nie doceniają roli psychologa w swoim zespole, nie potrafią w sposób właściwy korzystać z jego wiedzy i umiejętności. A teraz dojdzie jeszcze psychoterapeuta. Dobrze, gdyby program specjalizacyjny, który powstanie, sprzyjał humanizacji procesu leczenia.

Zdaniem prof. Wiesława Cudały, kierownika Kliniki Psychiatrii Dorosłych Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, przy tworzeniu programu należy skupić się na tym, by zaoferować pacjentowi optymalną interwencję terapeutyczną. Musi uwzględniać evidence-based medicine, ale też być zharmonizowany z obszarem opieki zdrowotnej. – Pozwoli wtedy na wykształcenie kompetentnego członka wielospecjalistycznego zespołu, współdzielącego odpowiedzialność za dobrostan człowieka, którym przyszło nam się zajmować – dodaje.

W całym procesie organizacji kształcenia specjalistów kluczową rolę ma do odegrania Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Jego dyrektor, prof. Ryszard Gellert, wyjaśnia, że akredytacja danej jednostki nie będzie jego samowolną decyzją, lecz wynikiem spełnienia warunków zdefiniowanych przez ekspertów. Ci zostaną wybrani ze środowiska. – My nie decydujemy, ile godzin w ramach szkolenia ma być z tej czy innej dziedziny. To jest właśnie zadanie ekspertów, którzy przekażą nam propozycję programu, a CMKP sprawdzi, na ile pozostaje ona zgodna z obowiązującymi aktami prawnymi.

Zanim w wyniku środowiskowej dyskusji powstanie program specjalizacyjny, przyjęte zostanie ministerialne rozporządzenie. – Naszym zadaniem jako regulatora jest stworzenie przestrzeni formalno-prawnej do działania, bo wciąż jej brakuje, mimo że nauka psychoterapii w ostatnich latach bardzo się rozwinęła. Chcemy to nadrobić i dostosować do dynamiki tego, co się dzieje zarówno w nauce, jak i w praktyce psychoterapii. Regulacje mają uporządkować to, co dzieje się obecnie na rynku i sprawić, by było to czytelne dla pacjentów – deklaruje dr Piotr Bromber, wiceminister zdrowia.

Rozporządzenie nie zamyka prac nad ustawą o zawodzie. Jej kształt ma być znany jeszcze w tym półroczu.

Mariusz Karwowski



O standardach w kształceniu psychoterapeutów dyskutowano na Uniwersytecie SWPS.

Ewolucja i ewaluacja

Dr hab. Stanisław Mocek, prof. CC, rektor Collegium Civitas, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Niepublicznych, członek Prezydium KRASP, przedstawia kształtowanie się elity niepublicznych uczelni w wyniku uzyskiwania uprawnień akademickich i w kontekście ewaluacji działalności naukowej.

Procesowi transformacji ustrojowej, rozpoczętemu w 1989 roku, towarzyszyły zmiany w szkolnictwie wyższym i nauce. Oprócz uczelni państwowych (w obecnej nomenklaturze: publicznych), powstawać zaczęły uczelnie niepaństwowe (dziś: niepubliczne), które tworzą rozwijający się i dynamiczny sektor niepublicznego szkolnictwa wyższego. Początkowo rozwój ten miał charakter żywiołowy, ale w krótkim czasie zaczął podlegać regulacjom podobnym do tych, którym podlegały uczelnie państwowe. Dopóki nie zaczęto ich stosować, żywiołowość i masowość kształcenia na uczelniach niepaństwowych w Polsce, ale i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, odbiła się w sposób negatywny na jakości kształcenia, a co za tym idzie na gorszej reputacji i zgeneralizowanej nieprzychylniej opinii o całym prywatnym szkolnictwie wyższym, często niesprawiedliwej w stosunku do nielicznych, jak na skalę zjawiska, uczelni, które od początku dbały o wysoką jakość kształcenia, badań naukowych i usług edukacyjnych. To one są obecnie członkami lub są stowarzyszone z KRASP i mają podobne cele, jak uczelnie z czołówki rankingów krajowych; pretendują też do rankingów międzynarodowych. W latach 1991-2020 powstało w Polsce 375 uczelni niepublicznych. W końcu roku 2022 wśród 362 wszystkich uczelni w Polsce, jest ok. 230 niepublicznych.

Dynamika prywatyzacji szkolnictwa wyższego w Polsce nie miała odpowiednika w Europie Środkowo-Wschodniej. Zjawisko to bywało określane jako jedno z największych osiągnięć transformacji ustrojowej i rozwoju postkomunistycznej Polski. Wraz z tymi przeobrażeniami przebiegały od początku lat 90. inne zjawiska, które w istotny sposób wpływały na rozwój sektora prywatnego w systemach edukacyjnych krajów rozwiniętych, przede wszystkim proces umasowienia, globalizacji, rozwoju nowych technologii informatycznych i komunikacyjnych, komercjalizacji i urynkowania, coraz ściślejszych związków uczelni z biznesem. W innych krajach regionu powstawały w tym samym czasie uczelnie prywatne, ale w dużo mniejszym wymiarze i niejako na wzór uczelni państwowych.

Z czasem doszło do wyodrębnienia się w kategorii uczelni niepublicznych grupy tych, które uzyskały status akademicki, czyli uprawnienia do nadawania stopni naukowych. To one pełnią wiodącą rolę w tym sektorze szkół wyższych. Większość powstała w latach 90. XX wieku i od dawna zajmuje najwyższe miejsca w rankingach szkół niepublicznych, przede wszystkim w rankingu „Perspektyw”, ale także w rankingach międzynarodowych, np. „Financial Times”. Na tej podstawie zostały one przyjęte do Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

Obecnie członkami KRASP jest 10 uczelni niepublicznych, ale jest też 8 uczelni, które czekają na przyjęcie i mają status uczelni stowarzyszonych z KRASP. Jedna z nich otrzymała już rangę uniwersytetu, a kilka spełnia warunki przysługujące akademii i posługuje się tymi nazwami. Uczelnie te wykazują się nie tylko wysokim poziomem kształcenia studentów w języku polskim i angielskim, ale przede wszystkim wysokim statusem naukowo-badawczym. Pod wieloma

względami są one konkurencyjne w stosunku do uczelni publicznych, a kilka z nich studenci traktują jako uczelnie pierwszego wyboru. Absolwenci uczelni niepublicznych należących do KRASP odnoszą sukcesy na rynku pracy, uzyskując zatrudnienie już na studiach lub zaraz po nich oraz wysoki poziom wynagrodzeń. W nikłym stopniu nadwyrężył ich kondycję niż demograficzny, co oznacza stabilną pozycję na mapie szkolnictwa wyższego i coraz większą renomę za granicą.

Profesor Jadwiga Koralewicz, prezydent Collegium Civitas, stawia tezę, że grupa uczelni akademickich, wchodzących w skład

KRASP, może być zaliczana do kategorii semi-elites szkół prywatnych, którą wyszczególnił i zdefiniował w swoich pracach nad prywatnym szkolnictwem wyższym w różnych częściach świata Daniel C. Levy, wybitny znawca i badacz procesów prywatyzacji szkolnictwa wyższego w Europie Środkowo-Wschodniej.

Weryfikacją poziomu naukowego i badawczego uczelni niepublicznych, podobnie jak i publicznych, stały się wyniki ewaluacji działalności naukowej. Uczestniczyło w niej 29 uczelni niepublicznych, z których 5 nie uzyskało żadnej kategorii B+, a 3 uzyskały kategorię B+ w jednej dyscyplinie. Pozostałe zdobyły co najmniej dwie kategorie B+ lub wyższe. Zatem w wyniku ewaluacji działalności naukowej za lata 2017-2021 liczba uczelni niepublicznych pretendujących do KRASP (w jednej z możliwych form) wynosi 21. To o 3 więcej w stosunku sytuacji obecnej. To niecałe 10% uczelni niepublicznych w Polsce. Liczba akademickich uczelni niepublicznych nie ulega więc zasadniczemu powiększeniu w stosunku do okresu poprzedniego. Status akademicki posiadają te same uczelnie, które miały go wcześniej, ale dołączyło do tego grona kilka uczelni z Warszawa i innych dużych miast.

Ten ewolucyjny trend świadczy o tym, że status akademicki w jakimś sensie jest niezależny od takiego czy innego systemu ewaluacyjnego. Kryterium przyjęcia do KRASP jest posiadanie uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora lub równorzędnego w co najmniej dwóch dyscyplinach. Oznacza to, że akademickie uczelnie niepubliczne stanowią stabilny krąg, a niektóre za chwilę będą z racji wielkości i liczebności pretendowały do rangi uniwersytetów. A inne stają się akademiami, aczkolwiek w tym względzie nastąpił zamęt terminologiczny, ponieważ na podstawie zapisów Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce akademiami nauk stosowanych stały się też wyższe uczelnie zawodowe.

Można powiedzieć, że dziesiąta część uczelni niepublicznych stała się w znaczeniu ogólnokrajowym, ale mającym także coraz wyraźniejszy wymiar międzynarodowy, liderami całego sektora niepublicznego. Ze strategicznego punktu widzenia uczelnie te wyraźnie postawiły na osiąganie wysokiego poziomu zarówno kształcenia, jak też i nauki. Będą one także w zasadniczy sposób wpływały na rozwój w ramach transformacji technologicznych, cyfrowych, energetycznych i klimatycznych w społecznościach lokalnych, regionach i środowiskach, podejmując ambitne wyzwania cywilizacyjne i kulturowe. Można więc uznać to za kolejny etap rozwoju sektora niepublicznego po 30 latach od jego powstania.



Arboretum ma 100 lat

Arboretum Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego to jeden z największych i najstarszych tego typu ogrodów w Polsce. W tym roku mija 100 lat od jego powstania.

Arboretum jest jednostką organizacyjną Leśnego Zakładu Doświadczalnego SGGW w Rogowie. Położone jest w dawnym siedlisku leśnym i ma charakter parku leśnego. Znajdują się tam jedne z najbogatszych i najciekawszych kolekcji drzew i krzewów Europy Środkowo-Wschodniej. Całości dopełniają leśne powierzchnie doświadczalne z obcymi gatunkami drzew leśnych i alpinarium – ulubione miejsce zwiedzających. Obecnie ma ono powierzchnię ok. 54 hektarów.

Teren stał się własnością Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego 5 lipca 1919 roku, gdy minister rolnictwa i dóbr publicznych przekazał uczelni do celów naukowych część lasów Nadleśnictwa Skierniewice. Ta wkrótce przekazała się części obszaru, zostawiając sobie tereny obecnego Nadleśnictwa Rogów, gdzie w 1923 roku została zbudowana siedziba Lasów Doświadczalnych SGGW, a prof. Edward Chodźicki założył pierwszą powierzchnię doświadczalną w Arboretum, na której posadził daglezję zieloną (*Pseudotsuga menziesii*). Dziś są to najwyższe w okolicy Rogowa drzewa, mające ponad 45 m wysokości.

Przed wojną na terenie Arboretum zakładano wyłącznie powierzchnie doświadczalne. Posadzono około 100 gatunków drzew obcego pochodzenia. Powierzchnia ogrodu wynosiła wtedy 61,58 ha. Po II wojnie światowej liczba gatunków zmalała do 51 z powodu braku opieki i dwóch bardzo mroźnych zim. W 1947 roku opiekę merytoryczną nad Arboretum przejęła Katedra Botaniki Leśnej SGGW, którą kierował prof. Roman Kobendza. W 1951 roku kierownikiem placówki został inż. Henryk Eder. Sporządził on mapy geodezyjne, wyznaczył sieć dróg, założył szkółkę, zbudował zaplecze gospodarcze i szklarnię – mnożarkę. Podjął się założenia alpinarium i parku dendrologicznego wg projektu Włodzimierza Senety. W parku znalazły się głównie rośliny ozdobne, tj. krzewuski, żylistki, jaśminowce, tawuły, magnolie, jałowce, żywotniki. W 1952 roku H. Eder wydał pierwszy katalog nasion (*Index seminum*) i zapoczątkował wymianę nasion z ponad 400 ogrodami botanicznymi i arboretami na całym świecie. Potem powiększano kolekcje i publikowano wyniki uprawy i introdukcji nowych gatunków. Wybudowano szklarnie i zmodernizowano szkółkę kontenerową. W 2005 roku zmodernizowano układ stawów i strumyków w alpinarium.

Najważniejszą kolekcję ogrodu stanowią drzewa, krzewy i krzewinki rosnące i zimujące w gruncie na terenie ogrodu. Kolekcje dendrologiczne Rogowskiego arboretum są jednymi z największych i najcenniejszych w Polsce. Duża powierzchnia ogrodu pozwala na uprawę większości taksonów w wielu powtórzeniach i w dużej liczbie egzemplarzy pochodzących z różnych stanowisk naturalnego występowania i różnych ogrodów. Daje to unikalne możliwości obserwacji i badań całych populacji roślin.

Kolekcje znajdują się na terenie leśnym, na żyznych i kwaśnych glebach płowych, wśród osłaniających je wysokich sosen, dębów, grabów. Przeważają w nich gatunki leśne, cienioznośne i kwasolubne.

Mniej licznie reprezentowane są rośliny kserotermiczne, światłożądne i o odmiennych preferencjach glebowych. Rośliny sadzone są w układzie ekologicznym, tzn. według ich wymagań w stosunku do nasłonecznienia, osłony przed wiatrami, wilgotności, typu gleby.

W rogowskim Arboretum jest też ok. 130 poletek doświadczalnych o średniej powierzchni 0,1 ha (0,05-0,5 ha), które zajmują obszar ponad 18 ha. Posadzono na nich 75 różnych gatunków drzew obcego pochodzenia, z czego większość (ponad 50) to rośliny iglaste. Drzewa, których wyniki uprawy w Europie są wyjątkowo dobre, posadzono na większej liczbie powierzchni po to, aby sprawdzić ich wrażliwość na różnorodne warunki glebowe, oświetleniowe. Chodzi przede wszystkim o trzy szybko rosnące gatunki północnoamerykańskie: daglezję zieloną (*Pseudotsuga menziesii*), żywotnika olbrzymiego (*Thuja plicata*) i jodłę olbrzymią (*Abies grandis*). Uprawia

się tam również kilka innych gatunków jodeł (*Abies sp.*), świerków (*Picea sp.*) i modrzewi (*Larix sp.*).

Dopiero po kilkudziesięciu latach uprawy poszczególnych gatunków, dokonuje się wstępnej oceny ich przydatności w gospodarce leśnej.

Oprócz funkcji naukowych rogowskie Arboretum ma ogromne znaczenie rekreacyjne i edukacyjne.

(p)

Źródło: Arboretum SGGW. Fotografie Piotra Banaszcza na 4 stronie okładki.



Fot. Źródło: Wikipedia

Z głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

Mamy

naszego Kolegi – Łukasza Gołębia.

Nie znajdujemy słów,
aby opisać towarzyszący nam smutek.
W tych trudnych chwilach jesteśmy
z Łukaszem i Jego Bliskimi.

Łukaszowi i Rodzinie składamy
najszczerze wyrazy współczucia.



Dyrekcja, pracownicy i Rada Naukowa
Instytutu De Republica

Pięć nowych uniwersytetów

Jednym z najważniejszych i bardzo widocznych skutków ewaluacji wyników działalności naukowej za lata 2017-2021, który zmieni pejzaż polskiej nauki, będą nowe uniwersytety. Pierwszy już powstał. Federacja Naukowa WSB–DSW, pierwsza tego rodzaju instytucja powołana na podstawie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, i jedna z dwóch dotychczas powstałych, otrzymała w wyniku ewaluacji działalności naukowej kategorię A w pięciu dyscyplinach i kategorię B+ w dwóch, przy czym mieszczą się one w trzech dziedzinach. Dodatkowo dwie dyscypliny ewaluowała Wyższa Szkoła Bankowa w Toruniu, uzyskując kategorię B+. Po wejściu w skład Federacji WSB–DSW w końcu 2022 roku jej wyniki stały się wynikami całej Federacji, która w rezultacie ma 5 kategorii A i 3 B+ w 3 dziedzinach. Wypełnia to wymogi ustawowe do uzyskania statusu uniwersyteckiego. Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce jasno określa, że wyrazu „uniwersytet” w nazwie może użyć uczelnia, która posiada co najmniej kategorię B+ w minimum 6 dyscyplinach należących do 3 dziedzin nauki lub sztuki oraz uzyska zgodę ministra edukacji i nauki (ta ścieżka dotyczy uczelni niepublicznych, publiczne tworzy się ustawą sejmową). Federacja czym prędzej złożyła stosowny wniosek w Ministerstwie Edukacji i Nauki i 3 kwietnia uzyskała prawo do postępowania się zastrzeżoną ustawowo nazwą „uniwersytet”.

Co to oznacza w praktyce, tłumaczy Paweł Zygałowski, prezes Teb Akademia, firmy założycielki uczelni tworzących Federację Naukową WSB–DSW: – Wszystkie uczelnie, które są członkami federacji na podstawie decyzji ministra nauki, mogą używać nazwy „uniwersytet”. Federacja pozostaje jako odrębny podmiot prawa, zgodnie z ustawą. To uczelnie, które są jej członkami, mają prawo do używania w nazwie słowa zastrzeżonego „uniwersytet”. De facto mamy więc do czynienia z pięcioma uniwersytetami z jednej federacji. Tak mówi ustawa.

Federacja Naukowa WSB–DSW grupuje pięć niepublicznych uczelni, których założycielem jest firma Teb-Akademia. Stworzyły ją w 2019 roku Wyższe Szkoły Bankowe w Gdańsku, Poznaniu, Toruniu i Wrocławiu oraz Dolnośląska Szkoła Wyższa z Wrocławia. Obecnie zatem mamy faktycznie 5 niepublicznych uczelni, które mogą używać nazwy „uniwersytet”. Są to: Uniwersytet WSB Merito w Gdańsku, Uniwersytet WSB Merito w Poznaniu, Uniwersytet WSB Merito w Toruniu, Uniwersytet WSB Merito we Wrocławiu, Uniwersytet Dolnośląski DSW we Wrocławiu. Z Federacją stowarzyszona jest Uczelnia WSB Merito w Warszawie. Na to także jest stosowny dokument – zatwierdzony przez ministra nauki statut Federacji.

W wyniku ewaluacji działalności naukowej Federacja Naukowa WSB–DSW otrzymała 5 kategorii A i 3 B+, co oznacza, że ma teraz 8 uprawnień akademickich do doktoryzowania i habilitowania. W dziedzinie nauk społecznych otrzymała kategorie A w dyscyplinach: ekonomia i finanse, nauki o komunikacji społecznej i mediach, nauki o zarządzaniu i jakości oraz pedagogika, a także kategorie B+ w dyscyplinach psychologia i nauki o bezpieczeństwie. W dziedzinie nauk humanistycznych językoznawstwo uzyskało kategorię A, a w dziedzinie nauk medycznych i nauk o zdrowiu – nauki o kulturze fizycznej kategorię B+. – Pięć kategorii A uzyskaliśmy w tych dyscyplinach, w których wcześniej mieliśmy uprawnienia do doktoryzowania – podkreśla P. Zygałowski. Podkreśla, że uczelnie Teb Akademia budowały status akademicki sukcesywnie.

Najstarsze uprawnienia doktorskie uzyskała w 2005 roku Dolnośląska Szkoła Wyższa – z pedagogiki. Jest też jedyną uczelnią w Federacji, która miała prawo do habilitowania z pedagogiki jeszcze przed ewaluacją. Z obu uprawnień czynnie korzystała. – Największe doświadczenia w doktoryzowaniu ma DSW – mówi prezes Teb Akademia. Uczelnia prowadziła studia doktoranckie, a po zmianie ustawy

szkołę doktorską. Jednak uprawnienia wynikające z wyników ewaluacji przynależą do Federacji. – W tej chwili przenosimy zatem szkołę doktorską na Federację, bo to ona jest podmiotem uprawnień akademickich – mówi Zygałowski. Realizowane są też doktoraty z wolnej stopy. DSW wydała dotychczas ponad 100 doktoratów z pedagogiki i kilkanaście z zakresu mediów i komunikacji publicznej. Pozostałe szkoły doktoryzowały od kilku do kilkunastu osób. DSW habilitowała 1-2 osoby rocznie, zarówno z uczelni, jak i spoza niej. Dotychczas uczelnie tworzące Federację nadały 178 doktoratów i 22 habilitacje.

– Planujemy jedną szkołę dokorską w całej Federacji. Warunki ekonomiczne są takie, że trudno wyobrazić sobie bardzo szeroki zakres działania. Każdy słuchacz musi otrzymać stypendium. To ogromne zobowiązania finansowe, sięgające pół miliona złotych na jedną osobę w całym okresie przygotowania doktoratu. Częściowo pokrywamy te koszty z grantów i subwencji – mówi Zygałowski. – Na pewno nie rzucimy się na to szeroką ławą. W szkole doktorskiej federacji Naukowej WSB–DSW jest 8 dyscyplin. Prowadzone są też doktoraty z wolnej stopy, ale ich koszty pokrywają sami doktoranci albo instytucje, które ich przysyłają.

Federacja naukowa WSB–DSW zatrudnia ok. 2 tys. pracowników. W tej liczbie jest 900 nauczycieli akademickich i ok. 1100 innych pracowników. W grupie nauczycieli jest 70 profesorów tytularnych, 150 doktorów habilitowanych, 474 doktorów i 209 magistrów. Około 3 tys. wykładowców praktyków prowadzi zajęcia na podstawie umów zleceń. Jak zapewnia P. Zygałowski, 90% etatowych pracowników naukowo-dydaktycznych to kadra zatrudniona w podstawowym miejscu pracy. – Dbamy o rozwój naukowy kadry – mówi szef Teb Akademia. – Wiele osób awanse przechodziło już w naszych uczelniach. Przykładem jest prof. Paweł Rudnicki, który jest szefem szkoły doktorskiej w DSW, a teraz będzie ją organizował w całej Federacji. I doktorat, i habilitację robił w DSW. Dr hab. Marcin Kalinowski zrobił habilitację już w trakcie pracy w WSB w Gdańsku, a teraz jest prezydentem Federacji. Każdego roku kilku, a nawet kilkunastu pracowników uczelni tworzących Federację robi doktorat lub habilitację u siebie bądź w innych uczelniach, gdy uczelnia federacji nie ma odpowiednich uprawnień. W ciągu 10 lat awanse naukowe uzyskało 174 wykładowców uczelni Federacji.

Paweł Zygałowski czeka na decyzje dotyczące minimów kadrowych. – Zobaczymy, jakie minima będą obowiązywać. To, o czym mówi się obecnie, daje nam możliwość tworzenia rad dyscyplin w pedagogice, komunikacji społecznej i mediach, ekonomii i finansach oraz naukach o zarządzaniu i jakości – rady mam ukonstytuowane. Dwie kolejne są w trakcie konstituowania się, a dwie kolejne zaczynamy budować. Zmierzamy do stanu, by wszystkie uprawnienia były w pełni aktywne – dodaje. – We wszystkich dyscyplinach doszliśmy na koniec okresu ewaluacyjnego do 12 N i będziemy się starali utrzymać taką sytuację. W uczelniach Federacji każda dyscyplina ma radę z przewodniczącym na czele oraz koordynatora – to on odpowiada za efekty pracy naukowej i ewaluację. Owa druga funkcja wynika z faktu, że uczelnie zlokalizowane są w 12 miejscowościach. Ma to swoje dobre strony, bo naukowcy podejmują wiele badań interdyscyplinarnych. – To dawało nam w kategorii efektów społecznych premię za interdyscyplinarność – mówi P. Zygałowski.

Uczelnie Teb Akademia zarządzane są inaczej niż uczelnie publiczne. Senaty są kilkuosobowe, zwykle tworzy je 5-7 osób, i stanowią rodzaj zarządu szkoły. Rektorzy są powoływani przez założyciela na wniosek kanclerza po uzyskaniu opinii Senatu, tak stanowią statuty uczelni. – Rządzimy się hybrydowo, łącząc tradycję akademicką i biznesową – mówi P. Zygałowski. Założyciel wyraża zgodę

na zatwierdzenie planu rzeczowo-finansowego szkoły, określa pewne kierunkowe parametry ekonomiczne, ramy biznesowe, ale to Senat podejmuje decyzję o zatwierdzeniu tego planu. O sprawach dydaktycznych decydują Senaty i rady akademickie. Kluczowe decyzje personalne, 5-6 głównych stanowisk w uczelni, należą do kompetencji założyciela. Jeśli chodzi o sprawy naukowe, kompetencje ma teraz federacja. Rektorzy muszą się tu podzielić z nią kompetencjami. – Mamy statuty i regulaminy, które określają, kto co może i musi, za co odpowiada. Staramy się mieć wszystko porządnie opisane. To system naszego prawa wewnętrznego – mówi szef Teb Akademia. Głównym organem kolegiальnym Federacji jest Zgromadzenie Federacji, które skupia kanclerzy. Z kolei Kolegium Rektorów ma kompetencje związane z procedurami awansowymi. – Staramy się wyraźnie oddzielić zarządzanie sferą biznesową i naukową, choć obie spotykają się w Senacie. To jest wypadkowa funkcjonowania tego typu uczelni.

W uczelniach Federacji kształcą się ponad 100 tys. osób, w tym tys. studentów zagranicznych z 80 państw. Na studiach I stopnia jest 67,6 tys. osób, a na II stopniu jest ich 18,7 tys. Z kształcenia podyplomowego korzysta 9,5 tys. osób, a 515 uczęszcza na studia MBA. P. Zygarewski zaznacza, że w ostatnich latach uczelnie Federacji odnotowują wysoką dynamikę przyrostu liczby studentów stacjonarnych. Dziś stanowią oni 23% studentów I stopnia i 27% II stopnia. Koszty prowadzenia doktoratów sprawiają, że tu liczby nie są imponujące.

– Na podstawie uprawnień akademickich możemy w siedzibach tworzyć kierunki autonomicznie, a w filiach w pełnej procedurze zgody ministra po zasięgnięciu opinii PKA – tłumaczy Zygarewski. Obecnie uczelnie Federacji oferują 145 kierunków I stopnia, 72 II stopnia i 17 jednolitych magisterskich.

Uczelnie Federacji Naukowej WSB–DSW działają w 12 miastach, gdyż mają liczne filie. Uniwersytet WSB Merito w Poznaniu bazuje na długoterminowych najmach budynków zlokalizowanych w samym centrum miasta. W tej chwili rewitalizuje kamienicę naprzeciwko Starego Browaru. Poznańska uczelnia ma filię w Szczecinie, gdzie ma swój własny budynek o powierzchni ok. 4 tys. m². W Chorzowie jest właścicielem nieco większego obiektu. W Gdańsku jeden budynek należy do założyciela, a uczelnia buduje drugi obiekt o powierzchni 8 tys. m². Kolejny od dwudziestu lat wynajmuje od miasta. Również w Gdyni wynajmuje budynek. W Toruniu Uniwersytet WSB Merito dysponuje kampusem z kilkoma budynkami, który jest własnością założyciela. W Bydgoszczy wynajmuje kampus, a filia uczelni toruńskiej w Łodzi ma swój własny budynek. Także stowarzyszona uczelnia warszawska ma własny budynek, ale potrzebuje kolejnego, bo ten zdecydowanie nie wystarcza. Uniwersytet WSB Merito we Wrocławiu dysponuje budynkami założyciela i własnym obiektem o powierzchni ok. 10 tys. m². Realizowany w dwóch etapach. Filia w Opolu ma własny budynek o powierzchni 4 tys. m². Uniwersytet Dolnośląski DSW Merito ma we Wrocławiu 3 budynki, w tym 1 własny i 2 wynajmowane przez wiele lat od miasta. Łączna powierzchnia własnych budynków uczelni wynosi 60 tys. m². Obecnie uczelnie Federacji realizują dwie duże inwestycje w Gdańsku i we Wrocławiu oraz trzecią, w mniejszej skali, w Poznaniu.

Uczelnie federacji intensywnie pozyskują zewnętrzne środki finansowe. Łącznie zdobyły już 365 mln zł, w tym 302 mln z Priorytetu 3 Szkolnictwo wyższe EFS POWER, 33 mln z innych programów EFS, 11 mln z NAWA, 2 mln z Erasmusa i 17 z innych źródeł. W najlepszym pod tym względem roku stanowiły one 20% budżetu uczelni. Przykład Erasmusa jest ciekawy, bowiem rocznie do uczelni Federacji przyjeżdża 200 osób z innych krajów, a wyjeżdża za granicę tylko 100 przedstawicieli uczelni.

Sytuacja pod względem grantów naukowych jest zróżnicowana zależnie od dyscypliny: są takie, które nie mają ich w ogóle, ale i takie, które wykorzystały swój ewaluacyjny limit punktów za granty. Najbardziej zaawansowany w pozyskiwaniu grantów jest Uniwersytet

Dolnośląski DWS Merito. W dorobku ewaluacyjnym za lata 2017-21 uczelnie Federacji wykazały 14 grantów NCN o wartości 57 mln zł i 51 usług badawczych za 4,4 mln zł. Na finansowanie szkoły doktorskiej pozyskano grant w programie marszałkowskim, na doktoraty związane z pedagogiką i komunikacją społeczną o charakterze regionalnym, dotyczące Dolnego Śląska.

– Staramy się, aby nasze badania miały wpływ społeczny. Pedagodzy tworzyli specjalne gry rozwijające dzieci ze spektrum autyzmu. W komunikacji społecznej i mediach budowaliśmy działanie interdyscyplinarne wspomagające komunikację personelu medycznego z osobami z chorobami onkologicznymi. WSB Wrocław jest organizatorem Kongresu Firm Rodzinnych. Większość kierunków ma rady biznesu lub ich odpowiedniki, z którymi konsultujemy programy kształcenia. Wiele programów i specjalności jest realizowanych we współpracy z konkretnymi instytucjami.

– Staramy się znaleźć miejsce dla refleksji naukowo-praktycznej w obszarach, które służą nam samym i naszemu otoczeniu – mówi P. Zygarewski. Niegdyś zorganizowano cykl konferencji marketingu w szkolnictwie wyższym czy dotyczących konsolidacji szkolnictwa wyższego. – To były gorące tematy, które nas wówczas bardzo interesowały – mówi szef Teb Akademia. Zostały po tych konferencjach ciekawe monografie. Gdy przyszedł Covid 19, kształcenie zdalne nie było dla nas tajemnicą i zaskoczeniem, bo od wielu lat próbowaliśmy je rozpoznać. Podróżowaliśmy za granicę, aby zobaczyć, jak to działa. Jako uczelnia niepubliczna byliśmy w sytuacji, gdy studenci czesne płacą za coś, a nie tylko za wpis na listę studentów. Przystawiliśmy się na kształcenie zdalne w kilka dni. Inwestowaliśmy wiele w przygotowanie kadry. Pojawił się mentoring w środowisku naszej kadry. Myślano niemal niezależnie od decyzji władz, jak podciągnąć tych, którzy słabiej sobie radzą w przygotowaniu materiałów dydaktycznych do zajęć w formie zdalnej.

Uczelnie Federacji realizują działalność sportową. Jako przykład można podać silny klub AZS w Uniwersytecie WSB Merito w Toruniu. W Akademickich Mistrzostwach Polski w sezonie 2021/22 jego reprezentanci zdobyli 2 miejsce w kategorii uczelni niepublicznych w trójbój siłowym, Tę sama pozycję zajęli w kolarstwie górskim, a 2 i 3 miejsce w judo. Triumfowali za to w strzelectwie. Zajęli też 2 miejsce w klasyfikacji generalnej podczas Akademickiego Pucharu Europy w Trójbój Siłowym Klasycznym. Federacja wspiera też działalność artystyczną studentów. Własny chór ma Uniwersytet WSB Merito w Poznaniu, a na Uniwersytecie Dolnośląskim DSW Merito działa teatr studencki. Wspierana jest też działalność Samorządu Studentów uczelni Federacji.

Piotr Kieraciński



Pożegnanie z PIAST-em?

W 1930 roku rodzeństwo Louis Bamberger i Caroline Bamberger Fuld postanowiło przekazać swoje oszczędności Uniwersytetowi w Princeton. Stanowiły one załóżkę funduszy, na bazie których powstał Instytut Studiów Zaawansowanych (Institute of Advanced Studies). Pomysł przedstawił pedagog i reformator amerykańskiego szkolnictwa wyższego Abraham Flexner. Była to pierwsza instytucja tego typu na świecie. Pomysł był trudny do zaakceptowania. Badacze mieli dostawać miejsce i pieniądze, ale nie narzucano im żadnych ograniczeń formalnych co do prowadzonych badań ani wymogów rozliczania się z ich efektów. Mogli się oddać namysłowi i debatować na interesujące ich tematy. Mieli uprawiać naukę dla niej samej, nie oglądając się na czyjekolwiek potencjalne korzyści. Swoje przemyślenia przekazywali kolegom z instytutu pod namysł i dyskusję. A. Flexner, gdy skończył prace w instytucie, napisał słynny esej *The Usefulness of Useless Knowledge*. Formalnie instytut jest niezależny od władz uniwersyteckich, działa samodzielnie. IAS w Princeton dysponuje obecnie endowmentem (czyli funduszem) o wartości ponad 785 mln dolarów. Wśród pierwszych „wykładowców” byli m.in. Albert Einstein i Kurt Gödel. Każdego roku pryncetoński IAS przyjmuje ok. 190 badaczy z blisko stu ośrodków z 20-30 państw całego świata. Dotychczas pracowało w nim ponad 5 tys. uczonych, wśród nich laureaci Nagrody Nobla, nagród Wolfa i Templetona oraz Medalu Fieldsa. Było tam także wielu Polaków, m.in. Alfred Tarski (logik), Leopold Infeld (fizyk), Bohdan Paczyński (astronom), Witold Hurewicz (matematyk), Roman Smoluchowski (fizyk), Lech Kalinowski (historyk sztuki), Andrzej Mostowski (matematyk), Piotr Piotrowski (historyk sztuki).

Pomysł Flexnera był co najmniej kontrowersyjny, zatem nie od razu został podjęty przez inne ośrodki. Kolejny IAS powstał dopiero ćwierć wieku po IAS w Princeton – w 1954 roku w Kalifornii na Uniwersytecie Stanforda (co za zbieg okoliczności, że pierwsze takie instytucje tworzone w najlepszych uniwersytetach świata!). Kolejny powstał w Palo Alto. Około trzydziestu lat temu idea dotarła do Europy. Na naszym kontynencie jako pierwsza wyzwanie podjęła Holandia.

W ubiegłych latach w Hamburgu powstały dwa IAS-y, jeden uniwersytecki, a drugi prywatny. Idea pączkuje i rozprzestrzenia się. Na świecie działa teraz ponad sto tego typu instytucji, najwięcej w USA. W Europie jest ich kilkadziesiąt. Powstała nawet organizacja zrzeszająca europejskie IAS-y. To sieć Network of European Institutes for Advanced Study – NETIAS, która skupia 26 instytutów z Europy i Izraela. Wśród członków organizacji jest PIAST, czyli Polski Instytut Studiów Zaawansowanych (Polish Institute of Advanced Studies). By do sieci przystąpić, trzeba też mieć własną siedzibę gwarantującą stypendystom – przynajmniej 12 rocznie – dobre warunki do pracy oraz stabilne finansowanie. To ostatnie okazało się najtrudniejsze.

Prof. Przemysław Urbańczyk, archeolog, przebywał w Instytucie Studiów Zaawansowanych w Collegium de Lyon we Francji. – Zgłosiłem na konkurs temat „Badanie zwyczajów pogrzebowych homo sapiens”. Przez dziesięć miesięcy pozwolili mi tam siedzieć i czytać oraz robić notatki. Nie miałem żadnych obowiązków administracyjnych. Czasami zapraszano mnie z wykładami na różne francuskie uniwersytety – wspomina. Jego książka *Trudna historia włok*, będąca wynikiem tego pobytu, ukazała 5 lat po powrocie do Polski. We Francji zrodził się pomysł utworzenia takiej instytucji w Polsce. Polska Akademia Nauk wydawała się najbardziej odpowiednim do tego środowiskiem, a dwóch kolejnych prezesów – profesorowie Michał Kleiber i Jerzy Duszyński – odniosło się do projektu przychylnie. W 2017 roku powstał Polski Instytut Studiów Zaawansowanych. Ponieważ tego typu placówka nie mieści się w tradycyjnej strukturze PAN, PIAST znalazł się w grupie jednostek pomocniczych.

– Koncepcja PIAST-a jest tak radykalnie różna do tego, co znamy, że nie mieściła się w typowej strukturze PAN, dlatego podlegamy bezpośrednio prezesowi. Mamy niewiele wspólnego z typowym instytutem naukowym. Nie ma stałych współpracowników poza administracją, a to oznacza 2 i 1/4 etatu, czyli absolutne minimum. Nie ma planów naukowych, etatów naukowych. Wszystko jest puszczane na

żywiół, nie ma ograniczeń tematycznych i geograficznych. Mamy odrębny regulamin, bazujący na tej samej idei, która została sformułowana ponad 90 lat temu w Princeton Institute for Advanced Studies – mówił mi kiedyś prof. Urbańczyk. Wspomniana wyżej 3/4 etatu to właśnie on, dyrektor PIAST-a.

PIAST siedzibę otrzymał od PAN. Początkowo były to pokoje w Instytucie Sztuki PAN. Od 2019 roku placówka dysponuje dwoma piętami w gmachu Instytutu Psychologii na ul. Jaracza. Jest tam 12 pokoi, 10 jednoosobowych i 2 dwuosobowe, zatem w razie potrzeby może tu równocześnie pracować 14 osób. Instytut musiał przyjąć 12 osób rocznie, bowiem jest to minimum wymagane





przez NETIAS. W każdym pokoju jest biurko z komputerem. Jest też pokój socjalny, gdzie na lunchach spotykali się stypendyści, mała sala wykładowa oraz pomieszczenie administracyjne, zawsze otwarte. Instytut dysponuje mieszkaniami służbowymi PAN, które zostały wyremontowane dla jego potrzeb. Środki na działalność to wielka bolączka. Każdego roku Akademia przeznaczała na instytut ok. 1,7 mln zł. Działalność PIAST-a finansowo wspomogło początkowo Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Fundacja Fulbrighta ustanowiła dwa stypendia.

Konkursy PIAST-a rozstrzygała powołana przez prezesa PAN międzynarodowa rada Scientific Advisory Board złożona z sześciorga cudzoziemców i czterech Polaków. Nie ma preferencji dla żadnych tematów. Ważne, by były one interesujące, nowoczesne i możliwe do zrealizowania w ciągu pięciu albo dziesięciu miesięcy. Nikt z pracowników instytutu nie bierze udziału w procedurze selekcyjnej, aby cały proces był w pełni transparentny. Rada PIAST-a dopuściła jednak zaproszenie od czasu do czasu wybitnego naukowca, który ze względu na swój wysoki status międzynarodowy nie startuje w takich konkursach, za to jego obecność poprawia rozpoznawalność instytutu na świecie. Selekcja stypendystów odbywała się tylko na podstawie oceny projektu i dotychczasowego dorobku, zgodnie z zasadami ustalonymi jeszcze przez Flexnera. Każdy wniosek oceniany jest przez dwóch recenzentów, zwykle zagranicznych. Potem odcina się część najsłabiej ocenionych kandydatów, ale w ten sposób, żeby zostało około dwa razy więcej kandydatów niż jest miejsc. Rada dostaje recenzje, dyskutuje i decyduje. Recenzje muszą być konkretne, nie muszą być długie. We wniosku są trzy pytania: o cv (musi być doktorat, publikacje, dotychczasowy dorobek), projekt (to najważniejsze) i zasadność jego realizacji w PIAST.

Wymogiem podstawowym był doktorat. Przyjmowano wnioski od dwóch grup kandydatów: juniorów – od trzech lat po doktoracie, i seniorów – 10 lat po doktoracie; 4 stypendia przyznawano w formie postdoków, a 8 dla profesorów. W najlepszym roku było 6 zgłoszeń na jedno miejsce. Wtedy trzeba było znaleźć ponad 120 recenzentów.

Dla wygody stypendystów pobyt można podzielić na dwa okresy pięciomiesięczne. Każde stypendium jest indywidualnie negocjowane

przez dyrektora. Jego wysokość zależy od pozycji materialnej beneficjenta. Mniej dostanie ten, który ma stabilną pozycję z pensją, bo np. jest na sabatticalu, a więcej ten, kto w czasie pobytu w Polsce nie ma żadnych innych źródeł dochodów.

Mieszkania zapewniła stypendystom Akademia we własnych obiektach. Część wynajmowano na rynku. Stypendyści mieli prawo przyjeżdżać z rodzinami. W 2022 roku była jedna rodzina czteroosobowa i dwie trzyosobowe. Były także dwie sytuacje, że partnerzy byłych stypendystów aplikowali i przyjeżdżali z... byliymi stypendystami. Przyjeżdżali też na stypendia znajomi i przyjaciele z rodzimych uniwersytetów stypendystów. PIAST stał się rozpoznawalny na świecie. W ciągu 5 lat istnienia PIAST przyjął 93 stypendystów z 28 państw. Najwięcej z Ukrainy (13), USA (12), Włoch (9), Rosji (8), Francji (7), Niemiec i Rumunii (po 6).

Wszyscy pracujący w instytucie spotykali się w południe na lunchu. Jak w dobrych brytyjskich uniwersytetach przy takich okazjach miały miejsce interesujące dyskusje. Raz, czasami dwa razy w tygodniu w PIAST odbywały się seminaria, na których stypendyści przedstawiali swoje projekty: co robią lub co zrobili podczas pobytu w Polsce. Występowali też dawni stypendyści instytutu, którzy bardzo chętnie go odwiedzali przy różnych okazjach. W pracach, które publikują, pojawiają się podziękowania dla PIAST-a. Niestety, nie przekłada się to na afiliację instytutu w publikacjach, co stanowi dla władz Akademii argument przeciwko tej placówce.

– Proszę wszystkich stypendystów, żeby w publikacjach powstałych w wyniku pobytu w PIAST podawali o tym informację. W ciągu pięciu lat powstało ok. 30 książek i ponad 120 artykułów, które wspominają instytut. Stypendyści powiadomili nas o ponad 300 publikacjach będących wynikiem pobytu w PIAST – mówi prof. Urbańczyk.

Warto powrócić do początku. Otóż pierwszą w Polsce próbę utworzenia IAS podjęła wiele lat temu pewna uczelnia niepubliczna. Nie przetrwała ona próby czasu, a zapewne też nie spełniała nigdy warunków stawianych takim instytucjom. Potem był PIAST. Teraz pojawiają się kolejne takie próby na uczelniach badawczych, a także w jednym społeczno-politycznym stowarzyszeniu. Choć dumnie noszą nazwę instytutów studiów zaawansowanych, trudno wyobrazić sobie, że uda im się spełnić warunki stawiane przez NETIAS.

Po pięciu latach PIAST wydawał się być instytucją ustabilizowaną. Przez pierwsze trzy lata chodziło o to, żeby zaistnieć na rynku międzynarodowym, pokazać, że Polska jest miejscem atrakcyjnym dla takiego przedsięwzięcia. Covid wiele zmienił, choć mimo epidemii ludzie przyjeżdżali i pracowali; urodziło się jedno dziecko. Jednak okazało się, że PAN z trudem znosi wydatek rzędu 1,5-2% swojego budżetu na badania, które nikomu nic nie dają. Już poprzednie władze PAN zapowiedziały kontrolę, a obecnie ją zrealizowały. Każdego roku ogłaszany był konkurs na granty. W tym roku zamiast konkursu jest kontrola, której wyniki zadecydują o losie instytutu. Sprawy finansowe okazały się najtrudniejsze. Także dla władz PAN, która sama boryka się z problemami finansowymi.

Naukowcy lubią instytuty studiów zaawansowanych, które dają pełną swobodę poszukiwań i debaty, zapewniając miejsce i środki. Jednak ktoś za to musi płacić. Władze Akademii uważają, że nie powinno to obciążać jej budżetu. Czy to oznacza koniec PIAST-a, miejsca, które dopiero zaczęło uzyskiwać rozpoznawalność? Gdy na świecie powstają kolejne IAS-y, my zamknijemy ten jedyny, który zaczął być rozpoznawany, choćby przez uczestnictwo w NETIAS? Czy Polski nie stać na sfinansowanie tego niewielkiego w końcu przedsięwzięcia? PIAST pozostawał na uboczu polskiego życia naukowego. Gdyby zniknął, chyba nikt nie zauważyłby jego braku. Będą tylko dziwić podziękowania w zagranicznych książkach i artykułach powstałych podczas pobytu w Warszawie.

Piotr Kieraciński

Medalowy urodzaj na planszy

Lepszego początku roku Gloria Klughardt nie mogła sobie wymarzyć. Najpierw w lutym sięgnęła w Tallinie po dwa złote medale juniorskich Mistrzostw Europy w szermierze. W turnieju indywidualnym przegrywała już z reprezentantką Izraela Nicole Feygyn 2:8, by ostatecznie odrobić straty i zwyciężyć 15:14. Później poprowadziła jeszcze polską drużynę do finału, w którym wyższość naszych zawodniczek musiały uznać Francuzki. To jednak nie był koniec sukcesów. W kwietniu szpadzistka AZS AWF Kraków stanęła na najwyższym stopniu podium mistrzostw świata juniorów w bułgarskim Płowdiwie. W finale zawodów drużynowych Polki wygrały z Amerykankami.

– Może dziwnie to zabrzmieć, wzięwszy pod uwagę mój wiek, ale na ten moment czuję się wyjątkowo spełniona. To największe jak dotąd osiągnięcia w mojej karierze – przyznaje w podcaście Cafe AZS Gloria Klughardt, która ze szpadą ma do czynienia od II klasy gimnazjum.

Wspomina, że na początku rywalizowała z... młodszym bratem, również szermierzem, który wcześniej zaczął treningi i zachęcił ją do wejścia na planszę. W ten sposób dzielili wspólną pasję, motywowali się wzajemnie do lepszych wyników, ale i... walczyli ze sobą na szpady. Często takie bratersko-siostrzane pojedynki „na niby” były bardziej zacięte niż podczas zawodów. Z czasem to ona zaczęła przejmować prymat w rodzinie. Zdobyte ostatnio medale tylko to potwierdziły.

– Na końcowy sukces składa się wiele czynników: odpowiednie ustawione treningi sportowe, przygotowanie mentalne, ważna jest także prawidłowa dieta oraz regeneracja między treningami a zawodami. I jeszcze spokojna głowa, jeśli chodzi o naukę – wylicza studentka fizjoterapii na krakowskiej AWF.

W tym ostatnim aspekcie z pomocą przychodzi Narodowa Reprezentacja Akademicka. Choć oderwanie od sportu, zwłaszcza po długich zgrupowaniach czy wyjazdach na zawody, może dać chwilę oddechu, Gloria zwraca uwagę, że łączenie studiów, zwłaszcza na

kierunkach medycznych, z czynnym uprawianiem sportu nie należy do łatwych zadań. Wiąże się to zazwyczaj z wieloma wyrzeczeniami, a także ograniczonym czasem na przygotowanie się do egzaminów. Fizjoterapię wybrała nieprzypadkowo – w odniesieniu do sportu to studia z przyszłością i niewykluczone, że po zakończeniu kariery będzie chciała się tym zająć zawodowo. Na razie doświadcza zalet tej nauki od drugiej strony, jako czynna sportsmenka.

– NRA dała mi możliwość nadrobienia zaległości, które powstają w trakcie wyjazdów. Dzięki indywidualnym spotkaniom z wykładowcami mogę lepiej zrozumieć niektóre tematy z zajęć. Mam po prostu więcej czasu na przyswojenie niektórych treści. Studiuję bez żadnych obaw, że przez zawody czy zgrupowania będę mieć problemy z zaliczeniem przedmiotów – tłumaczy pochodząca z Lubina zawodniczka.

Uczelnia o typowo sportowym profilu umożliwia studentom wybór przedmiotów nie tylko pod kątem ich zainteresowań, ale również trudności w realizacji zajęć w stosunku do planów startowych. Program NRA pozwala dodatkowo na zorganizowanie tego w taki sposób, aby w jak najmniejszym stopniu kolidowało z karierą, a wręcz było jej podporządkowane. Daje też studentowi możliwość położenia większego nacisku na te przedmioty, które go rzeczywiście interesują. Prowadzący zajęcia w formule indywidualnej są z kolei w stanie dostosować je i poszerzyć zakres wiedzy z danego przedmiotu właśnie pod kątem konkretnego studenta. We wszystkim pomagają tutorzy, z których każdy ma pod swoją opieką kilku sportowców i odpowiada za kontakt między nimi a wykładowcą.

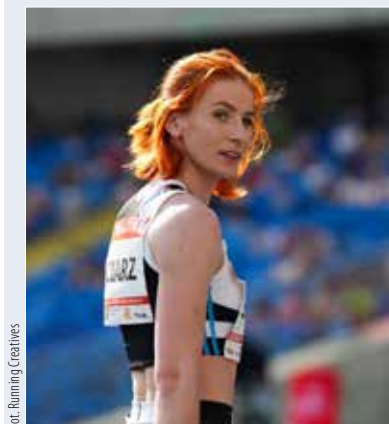
– Na naszej uczelni sportowcy mogą skonfrontować swoje doświadczenia i odczucia zawodnicze z teorią i wiedzą, którą nabywają w trakcie zajęć, oraz przenieść to do praktyki, np. porównując reakcje fizjologiczne własnego organizmu podczas treningu w warunkach normoksji („normalnego” ciśnienia” – przyp. MK) z treningiem w hipoksji, czyli przewyższenia odpowiadającego wysokości około



Gloria Klughardt

Fot. Ewa Milun-Walczak

Studiują na AWF Kraków i zdobywają medale



Fot. Running Creatives

Klaudia Siciarz (płotkarka): NRA bardzo ułatwia przygotowania do sezonu startowego. Zwłaszcza, jeżeli jestem na obozie, kiedy nie ma mnie fizycznie w Krakowie na zajęciach.



Fot. Ewa Milun-Walczak

Maksym Chudzicki (tenisista stołowy): Dzięki NRA mogę przygotowywać się w spokoju do mistrzostw Europy, które odbędą się we wrześniu. Moim celem są przyszłoroczne igrzyska.



Fot. Archiwum

Katarzyna Wełna (wioślarka): Obecność w kadrze wiąże się z wyjazdami od 250 do 280 dni w roku. Od kiedy ruszyła NRA, jest mi o wiele łatwiej połączyć sport wyczynowy ze studiowaniem.

2,5 tys. m n.p.m. – mówi dr Marek Bawelski z Zakładu Fizjologii i Biochemii AWF w Krakowie.

W tej chwili w Narodowej Reprezentacji Akademickiej jest 44 studentów i studentek AWF Kraków. Pod tym względem uczelnia należy do liderów ostatniej odsłony programu (ustępuje tylko katowickiej AWF, która ma 161 reprezentantów). Zresztą od momentu jego uruchomienia w 2019 roku cieszy się pod Wawelem sporą popularnością: w premierowej odsłonie wzięło udział 12 sportowców-studentów AWF w Krakowie, a w kolejnej już 31.

– Gdyby nie NRA, oni nie mieliby możliwości, aby uczestniczyć w zajęciach. A tak mogą łączyć się ze mną z różnych części świata, a ja mam możliwość przeprowadzenia z nimi wykładów oraz zaliczeń. Dzięki takiej formie są w stanie realizować w życiu obie pasje bez uszczerbku dla którejkolwiek z nich. W ogóle uważam, że tylko dobry naukowo sportowiec może osiągać znakomite wyniki również na sportowym polu – podsumowuje dr hab. Łukasz Tota, prodziekan Wydziału Wychowania Fizycznego i Sportu z AWF w Krakowie.

Mariusz Karwowski

Narodowa Reprezentacja Akademicka

Blisko 30 mln zł przeznaczono dotąd na realizację programu, który umożliwia łączenie studiów z karierą sportową. Wspólne przedsięwzięcie Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Akademickiego Związku Sportowego wystartowało w 2019 roku. W premierowej odsłonie wsparciem zostało objętych 414 studentów z 42 uczelni, w tym 37 publicznych i 5 niepublicznych. Na ten cel przeznaczono wówczas 7,1 mln zł. W kolejnym sezonie już 502 studentów z 38 uczelni (w tym 6 niepublicznych) miało możliwość skorzystania z dodatkowych zajęć, na organizację których rozdysponowano łączną kwotę około 9,5 mln zł. Po raz trzeci powołania do NRA ogłoszono w czerwcu 2022 roku. Otrzymało je 562 żaków z 33 uczelni publicznych oraz 5 niepublicznych. Trafiła do nich rekordowa suma 10 mln zł.

W programie biorą udział uczelnie posiadające co najmniej 200 studentów studiów stacjonarnych, na których kształcą się zawodnicy szkolenia olimpijskiego, medaliści igrzysk olimpijskich, igrzysk europejskich, mistrzostw świata seniorów i mistrzostw Europy seniorów, uniwersjad i akademickich mistrzostw świata oraz studenci-sportowcy z niepełnosprawnościami, w tym osoby niedosłyszące i studenci sportowcy posiadający klasy sportowe – mistrzowską międzynarodową i mistrzowską.

NRA wspiera proces kształcenia studentów-sportowców, którzy nie ukończyli jeszcze 30 roku życia. Uczelnie otrzymują dofinansowanie na organizację dodatkowych zajęć dydaktycznych. Roczne wsparcie na jedną osobę wynosi maksymalnie 18 tys.

zł i dodatkowo do 10% kosztów pośrednich. Koszty bezpośrednie obejmują pulę do 100 godzin zajęć indywidualnych lub grupowych (liczba godzin lekcyjnych po 45 minut $\times$ stawka przeliczeniowa 180 zł brutto) w formie indywidualnej organizacji studiów. Mowa tu o indywidualnym przygotowaniu i doborze treści oraz form kształcenia w zakresie pozwalającym na kontynuowanie i rozwijanie kariery sportowej z uwzględnieniem ustalonych dla danego kierunku efektów uczenia się.

MK



Rozmowa z prof. Markiem Konarzewskim, prezesem Polskiej Akademii Nauk, biologiem

Uzyskać masę krytyczną

Nie sądzę, żeby dyrektorzy instytutów mieli powody do obaw, że usytuowanie instytutów zaproponowane w naszym projekcie stanowi dla nich jakieś zagrożenie. Stwarza je głównie absolutnie niezadowalający, i to od lat, poziom finansowania.

Kiedy pan był ostatnio w lesie, np. na wilkach?

W ostatnią niedzielę.

Znajduje pan czas na swoje hobby.

Tak. Ostatnio były dobre dni na taką aktywność.

Bo była akurat pełnia.

Była pełnia. To sprzyja takim obserwacjom.

Fotografował pan coś?

Ostatnio przyrodę nieożywioną.

Czego pan używa do fotografowania?

Jak pan może wie, są dwie kultury fotograficzne. Ja jestem użytkownikiem Nikona. Obiektywy o ogniskowej od 28 do 600 mm.

I to wystarczy do fotografowania zwierząt?

Tak, wilków też. Ale trzeba mieć silne plecy, bo sprzęt jest ciężki, a jest go sporo.

Używa pan statywu?

Właściwie monopodu. Przy stabilizacji obrazu w aparacie i obiektywach to wystarczy.

Ma pan jakiś ulubiony strój do lasu? Czy żeby obserwować zwierzęta, koniecznie trzeba być ubranym w strój zbliżony do myśliwskiego, w barwy ochronne?

Nie. Jest rzeczą drugorzędną, w co się ubieramy. Przede wszystkim trzeba kochać i rozumieć przyrodę. Większość dużych zwierząt w ogóle kolorów nie rozpoznaje. Wilki czy jelenie są ślepe na kolory. Nawet jeśli ubierzemy się w bardzo jaskrawe ubranie, to z punktu widzenia zwierzęcia to są tylko odcienie szarości. Nie o barwę ubrania chodzi, ale raczej o nasze zachowanie. Trzeba się zachowywać spokojnie, cicho, najlepiej pozostawać bez ruchu, bo na wszelki ruch zwierzęta są bardzo czułe. Nie brać do lasu kawy, a ubrań przeznaczonych na wyjście do lasu nie prac w typowych środkach piorących o intensywnym zapachu, obcym środowisku leśnemu. Właściwie należy prac taką odzież w środkach pozabawionych dodatków zapachowych. To my jesteśmy w lesie gośćmi, a czasami nawet intruzami, a nie odwrotnie. Chodzi o to, żeby nie przeszkadzać swoją obecnością jego mieszkańcom.

Kiedyś pracował pan w instytucie PAN i zajmował się właśnie zwierzętami. Do tego hobby bardziej pasuje tamto stanowisko niż obecne na uniwersytecie.

Zmieniłem optykę badawczą. Przeniosłem się z badań terenowych do laboratorium i zacząłem się bardziej koncentrować na pytaniach niż na obiektach. Mamy pytanie, szukamy odpo-

wiedniego podejścia badawczego, aby zaprojektować właściwe doświadczenia i uzyskać odpowiedź. Nauczyłem się tego na stażu podoktorskim w Stanach Zjednoczonych, co było dla mnie formacyjnym doświadczeniem, dlatego jestem zwolennikiem długookresowych wyjazdów zagranicznych na staże naukowe, bo one meblują głowę. W moim przypadku to się sprawdziło.

Czy miało to jakiś wpływ na to, że potem pracował pan w dyplomacji?

Spędziłem dwa i pół roku w Los Angeles w laboratorium Jareda Diamonda. Dziś ma 87 lat i nie jest aktywny, ale w tamtych czasach był u szczytu swoich możliwości badawczych. Jest człowiekiem wielu talentów, czego mu pozazdrościłem. Stwierdziłem, że warto w życiu naukowym robić kilka rzeczy równolegle. Być może moje amerykańskie doświadczenia wpłynęły też na to, że w pewnym momencie znalazłem się w dyplomacji.

Lepiej się pan czuje w laboratorium czy w lesie?

Proza pracy laboratoryjnej jest bardzo nużąca. To są w większości przypadków powtarzalne czynności i nie mają wiele wspólnego z potocznym pojęciem romantyzmu nauki. W lesie jest generalnie milej, ale trzeba pamiętać, że czasami pracuje się w upale czy ulewie i wtedy nie jest tak przyjemnie. Można nawet zatęsknić za laboratorium. Każde środowisko ma swoje plusy i minusy.

Czy i jakie są korelacje między tymi dwoma rodzajami badań?

Oczywiście. Wielokrotnie łączyłem obie formy pracy naukowej. Dzięki temu uzyskujemy wiele interesujących wyników, poznajemy zależności. Badania laboratoryjne prowadzi się dlatego, że to bardzo uproszczone środowisko, kontrolowane w najdrobniejszych szczegółach, a zatem uzyskane wyniki są pewne, jednoznaczne i powtarzalne. Zupełnie inaczej jest w badaniach terenowych. Przy braku kontroli nad warunkami jesteśmy w stanie obserwować znacznie szerszą paletę zjawisk, co ma ogromne znaczenie, bo możemy dzięki temu wychwycić zależności, których w laboratorium nie da się odtworzyć. Zatem i jedno, i drugie jest bardzo potrzebne. Jestem zwolennikiem łączenia obu typów badań i starałem się to do niedawna robić. Żałuję, że coraz trudniej jest znaleźć młodych ludzi, którzy byliby zainteresowani badaniami terenowymi. Kiedyś było odwrotnie. Teraz wszyscy chcą sekwencjonować DNA, natomiast nikt nie ma ochoty chodzić po lesie.

Mamy w polskich lasach wiele obszarów doświadczalnych, w tym w Puszczy Białowieskiej.

Tak, te powierzchnie, zakładane kilkadziesiąt lat temu, pozwalają nam na wychwycenie zależności, których nigdzie

indziej nie byłibyśmy w stanie odkryć. Chodzi także o zmiany klimatu i ich wpływ na środowisko. Co moglibyśmy o tym powiedzieć, gdybyśmy nie mieli punktów odniesienia w czasie i to nie w ciągu kilku miesięcy czy nawet lat, ale właśnie dekad? Takie obserwacje dają bardzo miarodajne wyniki, które umożliwiają nam wskazanie długofalowych trendów.

Czy dzisiaj poleciłby pan młodym badani terenowe i czy ma pan następców w tym obszarze?

Bardzo bym polecał, gdyż została zachwiana równowaga między używaniem bardzo redukcjonistycznych narzędzi, z których korzystamy w laboratorium, w stosunku do holistycznego podejścia charakterystycznego dla badań terenowych. Trzeba spróbować to równoważyć. Ta równowaga przechyliła się w kierunku badań prowadzonych w zbyt uproszczonych warunkach, które nie pozwalają nam na zrozumienie zjawisk, którymi się zajmujemy. Pasjonowałem się sposobami gospodarowania energią przez zwierzęta. Gdyby to robić tylko za pomocą modeli zwierzęcych, czyli np. modyfikowanych genetycznie szczepów myszy, to osiągniemy znakomite rezultaty, ale bardzo fragmentaryczne, podczas gdy te same zależności obserwowane w terenie, mimo ich zakłócania przez zmienne warunki zewnętrzne, umożliwiają znalezienie interakcji między różnymi czynnikami, których w ogóle nie widać w laboratorium.

Czy popularność badań laboratoryjnych nie jest związana z tym, że łatwiej o uzyskanie w przewidywalnym czasie wyników, które mogą być podstawą np. awansu naukowego?

Ależ oczywiście. To zapewne zasadniczy powód. Mając pełną kontrolę nad środowiskiem laboratoryjnym, możemy zaprojektować czas badań, ale także choćby własne wakacje. Znacznie łatwiej jest powtarzać eksperymenty, czyli uzyskać weryfikację wyników przez siebie, ale i inne zespoły. W warunkach terenowych czasami w ogóle nie da się uzyskać powtarzalności ze względu na zmienność warunków środowiskowych. Od wielu lat z grupą przyjaciół naukowych badamy zależności między liczebnością populacji drobnych gryzoni zasiedlających dolinę Biebrzy a poziomem wylewów rzeki. Zależnie od ilości wody turzycy zjadane przez gryzonie są w stanie skumulować więcej bądź mniej krzemionów w swoich tkankach. Rośliny bronią się w ten sposób przed zwierzętami. Ta zależność daje się wychwycić dopiero wtedy, gdy zbierze się dane z kilkunastu lat. Taka jest perspektywa czasowa badań terenowych.

I spójrzmy na to z perspektywy doktoranta...

No właśnie. To jest różnica między laboratorium a badaniami w terenie, które wymagają znacznie więcej cierpliwości i czasu. Publikację o tej samej wartości, z perspektywy awansu naukowego, można szybciej i pewniej uzyskać w laboratorium.

Czy doświadczenia z pracy w instytucie PAN pozostawiły dobre wspomnienia?

Tak, lata spędzone w Zakładzie Badania Ssaków w Białowieży – wówczas już przekształcał się w instytut – bardzo dobrze wspominam, były bardzo owocne. Miałem wtedy doktoranta Karola Zuba, który dzisiaj jest profesorem, i dwie doktorantki, dzisiaj bardzo mocno osadzone w nauce. Przez wiele lat zajmowaliśmy się łasicami, a interesował nas ich unikalny tryb życia i wysokie tempo metabolizmu, czyli przetwarzania energii. Łasice są długie i cienkie, a z tego powodu łatwo tracą ciepło, muszą zatem dużo jeść. Są małe, ale bardzo drażliwe. Gdyby były większe, bałbym się wchodzić do lasu. Interesowały nas strategie przetwarzania tych zwierząt. To była praca łącząca badania terenowe z laboratoryjnymi. Mieliśmy wiele łasic z obrożami telemetrycznymi, co pozwalało nam obserwo-

wać ich zachowanie, a jednocześnie podawaliśmy im izotopy – to są metody, które stosuje się też u ludzi, zupełnie nieszkodliwe dla łasic – a poziom metabolizmu mierzyliśmy w laboratorium. To ciekawe doświadczenia z ciekawym zwierzęciem, które dawały interesujące wyniki.

Od lat pracuje pan na Uniwersytecie w Białymstoku. Jak pan porówna te dwa miejsca pracy?

To dwa różne światy. Praca na uniwersytecie to w dużej mierze dydaktyka. Obciążenia dydaktyczne pracowników naukowych uniwersytetu sprawiają, że nie są tak efektywni, jak badacze z instytutów stricte naukowych, których pracownicy mają za główne zadanie prowadzenie badań. Praca dydaktyczna zajmuje znacznie więcej czasu, niż by to wynikało z pensum dydaktycznego. Stąd na badania jest go znacznie mniej. To jest główna różnica. Praca na uczelni ma jednak inne ogromne zalety, a jedną z ważniejszych jest kontakt z młodymi, bardzo wymagającymi ludźmi. No i w tym sporym gronie jest możliwość doboru współpracowników, co w instytutach jest niemożliwe, a przynajmniej bardzo trudne.

Czy praca w instytucie PAN pozwala panu lepiej rozumieć obawy, które dyrektorzy takich placówek wyrażają teraz w związku z projektem ustawy o PAN?

Mam nadzieję, że tak, ale nie do końca podzielam te obawy. Mam pewien przywilej polegający na tym, że mój punkt widzenia jest nieco szerszy. Kierując tak dużą instytucją jak Polska Akademia Nauk, sytuuję ją w całym krajobrazie polskiej nauki. Jesteśmy tylko niewielką, choć mam nadzieję, że ważną, jej częścią. On się składa jednak głównie z uczelni. Nie sądzę, żeby dyrektorzy instytutów mieli powody do obaw, że usytuowanie instytutów zaproponowane w naszym projekcie stanowi dla nich jakieś zagrożenie. Stwarza je głównie absolutnie niezadowolający, i to od lat, poziom finansowania. To problem systemowy, z którym borykamy się od dawna. Niestety nie dorobiliśmy się systemu pro jakościowego. Obowiązujący obecnie umożliwia trwanie w bylejakości. Promuje ilość przeciwko jakości. Jakże rozciągława okazała się kategoria B+ w ostatniej ewaluacji!

Kategorie A i A+ też okazały się dość pojemne.

Ten system ewaluacji nie spełnia nadziei, które w nim pokładaliśmy.

Czy po objęciu stanowiska i poznaniu Akademii już z perspektywy tej funkcji zmienił pan pogląd na różnicowanie sposobu oceny instytutów PAN i dyscyplin uczelni? Jeden z dyrektorów instytutów pokazywał symulację, w której spełnienie postulatów KRASP odnośnie do współczynnika czasu dla uczelni i PAN oznaczałoby, że większość instytutów utraciłaby uprawnienia akademickie.

Nie, nie zmieniłem. To powinno zostać zróżnicowane. W idealnym świecie chciałbym, żeby ewaluacja była prowadzona w sposób ekspercki przez instytucję podobną do Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Ewaluowałaby ona podmioty, które chciałyby się poddać ocenie. Do czego nam jest potrzebna ewaluacja? W zasadzie do nabywania uprawnień akademickich, czyli praw do doktoryzowania. Pozostałe elementy, jak choćby finansowanie powiązane z kategorią, mogłyby być rozwiązane w zupełnie inny sposób. Jestem jednak realistą i nie spodziewam się w najbliższych latach ewaluacji eksperckiej. Pozostaniemy w takim niedoskonałym kształcie oceny, jaki znamy. Warto myśleć o założeniach ewaluacji okresu po 2025 roku, ale budowanie czegośkolwiek, co będzie za lat pięć, jest w naszej sytuacji obciążone bardzo dużym ryzykiem. Jednak podejmujemy taki trud, oczywiście z KRASP-em i uczelniami.

Szedł pan do wyborów z określonymi zamiarami, ale po ewaluacji stanął pan wobec trzech instytutów PAN z kategorią C.

Dwa z nich już w zasadzie nie istnieją, zostały w międzyczasie zlikwidowane, a Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych IMOL znalazł się w tym gronie z innego powodu, został bardzo pokrzywdzony. Prof. Agnieszka Chacińska odwoływała się od decyzji; ja też rozmawiałem na ten temat z ministrami Przemysławem Czarneckim i Włodzimierzem Bernackim. No i jestem dobrej myśli. Czekamy na ostateczne rozstrzygnięcie, które zdjęłoby z IMOL-u odium kategorii C. Przypomnę, że to jedyny instytut w Polsce, którego radą naukową kieruje noblista; ta młoda placówka zdobyła niedawno cztery duże granty NCN.

W tej dodatkowej puli środków na płace w instytutach PAN znalazły się środki na uzupełnienie subwencji IMOL.

To też dobrze wróży instytutowi.

Po co są akademie nauk, a zwłaszcza Polska Akademia Nauk?

Można to pytanie sformułować tak: dlaczego w dużych krajach zachodnich istnieją akademie nauk? Otóż wszystkie te państwa: Anglia, Francja i inne, uważały, że warto stworzyć organizacje szczególnie wybitnych naukowców. Zapewne z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby można było uzyskać pewną masę krytyczną do namysłu nad najważniejszymi sprawami, by osiągnąć korzyści, jakie płyną z przyrostu wiedzy, które nie byłyby tak duże, gdyby tych naukowców pozostawiono samym sobie, w pewnym sensie odizolowanych. A po drugie, takie ciała są źródłem pewnej wiedzy dla społeczeństwa i dla decydentów. Polska Akademia Nauk ma dokładnie te same cele i jest to zapisane w ustawie o PAN. Mamy też w PAN 70 instytutów, które swoją działalnością obejmują wszystkie dziedziny wiedzy, a prowadzą badania podstawowe, nienastawione bezpośrednio na żadne benefity, choć czasami to się przekłada na konkretne korzyści materialne.

Pominął pan element prestiżu.

On jest oczywiście. Kryterium członkostwa w PAN jest nie tylko doskonałość naukowa, ale także otwartość na to, by swoją wiedzą i doświadczeniami dzielić się z innymi w możliwie efektywny sposób. Zatem nie o samą wiedzę chodzi, ale też o to, aby uczynić ją użyteczną dla otoczenia, zarówno tego bliskiego, naukowego, jak i szerszego, społecznego. Tę część aktywności akademii chciałbym podkreślić.

Czy Polska Akademia Nauk powinna służyć państwu i społeczeństwu polskiemu?

Ależ oczywiście. Jesteśmy zanurzeni w międzynarodowym świecie naukowym, co daje nam możliwość wymiany informacji i czerpania inspiracji od najlepszych na świecie, ale robimy to po to, by wiedzę i doświadczenia wykorzystać tu na miejscu, w Polsce. Polska jest naszym bezpośrednim polem oddziaływania. Mam nadzieję, że także rząd, władze kraju. W tę stronę chciałbym Akademię poprowadzić.

Kiedy dokonywano pierwszych reform Akademii, w latach 90. XX wieku, dziennikarze byli zapraszani nie tylko na posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego PAN, ale także na posiedzenia Prezydium PAN, gdzie stał z boku stolik dziennikarski. Czy myśli pan o powrocie do większej otwartości Akademii na otoczenie?

Oczywiście. Myślę, że to był jeden z powodów mojego sukcesu w wyborach, w których prezentowałem program otwartości. Stał się on za bardzo wsobni i w związku z tym nie mamy prawa oczekiwać poparcia od społeczeństwa płacącego podatki. Nie jestem pewien, czy czytelnicy „Forum” byliby zainteresowani technicznymi sprawami poruszonymi na posiedzeniach Prezydium PAN, ale już na czerwcowe Zgromadzenie

Ogólne na pewno państwa zaprosimy. Będzie ono o tyle istotne, że zaprezentujemy na nim oficjalnie projekt ustawy, będziemy rozmawiać o statucie, o istotnych sprawach w Polsce. Będę robił wszystko, i mam nadzieję, że będę w tym skuteczny, żeby zgromadzenia były okazją do tego, by w atrakcyjny sposób rozmawiać o nauce w gronie szerszym niż tylko akademicy.

Powstało bardzo dużo pomysłów na Polską Akademię Nauk. Jednym z nich było odłączenie instytutów. PAN ma skomplikowaną i rozbudowaną strukturę.

To nie jest struktura skomplikowana. Każdy jej element jest na właściwym miejscu. Na przykład komitety PAN zrzeszają badaczy, w ogromnej części ludzi spoza Akademii, w większości z uczelni, z określonych obszarów wiedzy, czasami bardzo specjalistycznych. My tę strukturę utrzymujemy, dbamy, aby zbliżone aktywności się nie dublowały. Mamy kilka rodzajów komitetów: komitety problemowe tworzone są w celu rozwiązania konkretnych problemów; w sposób ciągły funkcjonują komitety naukowe, a tworzenie komitetów narodowych wymuszane jest potrzebami naszej współpracy międzynarodowej. Każdy rodzaj komitetu ma swoje uzasadnienie i nie jest efektem jakiejś nieuzasadnionej proliferacji. Nie widzę żadnej nadmiarowej struktury, choć na poziomie wydziałów planujemy likwidację rad kuratorów, które były dotąd podstawowym narzędziem relacji między instytutami a korporacją.

A wyobraża pan sobie Akademię bez instytutów?

Obawiam się, że pokusa stworzenia sieci instytutów będzie zawsze związana z niebezpieczeństwem zawłaszczania takiej struktury przez władze polityczne. Ogromną wartością Akademii w jej obecnym kształcie jest to, że stanowi ona pewien samorząd. Instytuty PAN są oceniane i przekształcane przez środowisko naukowe. Oczywiście musimy te decyzje komunikować ministerstwu i uzyskiwać jego aprobatę, ale zasadniczo robimy to sami. Gdyby powstała sieć instytutów, wszystko jedno jak nazwanych, ciałem nadzorującym je i decydującym o większości spraw będzie ministerstwo. Uważam, że to złe rozwiązanie i przestrzegam przed tym dyrektorów, którzy marzą o takiej sytuacji. Dążenie do kompletnej niezależności instytutów jest nierealistyczne.

Czy i ile jest w PAN wciąż nierozwiązanych spraw własnościowych, jak np. w CBK PAN?

W przypadku CBK mieliśmy do czynienia z bardzo trudną sytuacją, gdyż byliśmy zmuszeni do zaspokojenia roszczeń własnościowych wynikających z wyroku sądowego. Realizując go, Akademia wsparła instytut wykupem spornej działki, umożliwiając w ten sposób dalsze funkcjonowanie jednostki naukowej. Podobnych problemów, wynikających z nieuregulowanych stanów prawnych i stosunków własnościowych, mamy więcej i jesteśmy zdeterminowani, by doprowadzić je do finału. Liczę tu na nowego kanclerza PAN. Sądzę, że gdy za cztery lata zapyta mnie pan o stan spraw własnościowych Akademii, będziemy się mieli czym pochwalić. Chcemy z najbliższymi współpracownikami być ludźmi od rozwiązywania spraw trudnych.

Proszę powiedzieć o rozwoju działalności międzynarodowej PAN. Macie kilka stacji zagranicznych w ważnych miastach europejskich, ale są też miejsca, gdzie taka stacja aż się prosi i od lat się o niej mówi.

Powinniśmy prowadzić stacje we współpracy z szerszym otoczeniem, gdyż sami nie wykorzystamy ich potencjału, a one powinny być miejscami otwartymi dla całej polskiej społeczności naukowej. Jestem po zaawansowanych rozmowach z rektorem Uniwersytetu Warszawskiego na temat naszej placówki w Rzymie. Być może dzięki tej kooperacji uda się nadać sta-

cji taką formę, że jej funkcjonowanie będzie obejmowało nie tylko PAN, ale i UW, a może także innych partnerów. Jeśli to się sprawdzi, pójdziemy dalej w tę stronę. Bardzo bym chciał namówić partnerów uniwersyteckich na zmianę geograficzną. Bardzo potrzebujemy takiej placówki w Stanach Zjednoczonych. Mam nadzieję, że uda się stworzyć tam przyczółek polskiej nauki. To musi być zlokalizowane w miejscu bardzo naukowo aktywnym, może w Nowym Jorku bądź na zachodnim wybrzeżu USA. To będzie miało sens tylko wtedy, gdy taka placówka będzie służyła całej polskiej społeczności naukowców, a nie tylko Akademii. Takie działania muszą być organizowane i prowadzone we współpracy i ze wsparciem Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Takie miejsce powinno być też motorem wizerunkowej polityki Polski.

Przez długi czas w KRASP myślano o włączeniu instytutów PAN do uczelni, ale także o tym, by tylko uczelnie miały prawa do nadawania stopni naukowych.

Tego myślenia już nie ma. Przy takim odpływie studentów jak obecnie pozyskiwanie dodatkowych pracowników, którym trzeba zapewnić pensum, nie bardzo ma sens, a nawet z finansowego punktu widzenia jest niemożliwe. To zapewne główny powód, dla którego ten pomysł od dawna nie jest brany pod uwagę.

Podjął pan ciekawą myśl, bo przecież mamy stosunkowo nie-dużą liczbę badaczy w relacji do liczby mieszkańców.

To prawda. Czeka nas gruntowne przemyślenie systemu finansowania nauki. Obecnie mamy zbyt ściśle związane etatowości z liczbą godzin dydaktycznych. Może pora to zweryfikować?

Mamy w Polsce trzy akademie. Widzi to pan jako pole współpracy czy konkurencji?

Mamy dość ścisłą współpracę z Polską Akademią Umiejętności. Mamy 72 wspólnych członków. Jesienią organizujemy ich spotkanie, gdyż chcemy wypracować jeszcze ściślejsze relacje. Natomiast na razie trudno powiedzieć coś o działalności Akademii Kopernikańskiej, zatem jeszcze nie wiemy, jak się ułożą wzajemne relacje.

Przy Prezydium PAN afiliowana jest Rada Towarzystw Naukowych. To bodaj jedyna zinstytucjonalizowana forma wsparcia tych instytucji. Jak widzi pan ich rolę?

To bardzo ważne instytucje, zwykle społeczne, szczególnie towarzystwa regionalne o znaczeniu nie do przecenienia właśnie w regionalnych ośrodkach. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Polska Akademia Nauk jest jedyną instytucją, która usiłuje jakoś organizacyjnie je wspierać. Postawiliśmy na to, aby nie oglądać się na subsydia z budżetu państwa, lecz starać się zdobywać własne środki finansowe z rynku nauki i nowych technologii – widzimy taką możliwość na podstawie obecnej ustawy o PAN, a nasz projekt rozszerza perspektywę. Chcielibyśmy je przeznaczyć na wsparcie towarzystw naukowych i komitetów PAN. Naprawdę straciłem nadzieję na to, że dożyję czasów, gdy państwo spełni swoją rolę w zakresie finansowania towarzystw naukowych i nauki w ogóle.

Czy podobnie pan myśli o Polskim Instytucie Studiów Zaawansowanych PIAST?

W obecnym kształcie PIAST jest nie do utrzymania z tej prostej przyczyny, że PAN nie stać na instytucję, która w swoim zamierzeniu miała się sama finansować, a tymczasem w ciągu pięciu lat wydaliśmy na nią dziesięć milionów złotych, a jej samej nie udało się pozyskać znaczących środków na funkcjo-



Fot. Janusz Kupytanowicz

Prof. Marek Konarzewski (ur. w 1961 r.) jest biologiem ewolucyjnym i fizjologiem. Bada ptaki i ssaki. Pracuje w Katedrze Ekologii Ewolucyjnej i Fizjologicznej Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku oraz na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Zatrudniony był też w Zakładzie Badania Ssaków PAN. Pracował w ambasadzie RP w Waszyngtonie, pełnił funkcję doradcy Ministra Spraw Zagranicznych ds. nauki i technologii. Jest prezesem Polskiej Akademii Nauk. Jest autorem kilkudziesięciu prac naukowych i książki wydał m.in. album poświęcony Puszczy Knyszyńskiej. Przetłóżył książkę „Strzelby, zarazki, maszyny” Jareda M. Diamonda, w którego zespole naukowym w Los Angeles odbył staż podoktorski.

nowanie. Wszystkie inne instytucje, które wchodzą w skład PAN, są w stanie uzyskać spore środki zewnętrzne.

A nie patrzy pan na to w ten sposób, że Akademia jest dobrym miejscem na funkcjonowanie takiego przedsięwzięcia? Wszędzie na świecie i w Europie są takie instytucje, do których badacze przyjeżdżają i swobodnie pracują.

Mówimy o centrum badań zaawansowanych, które powinno gromadzić najlepszych badaczy o światowej renomie i dzięki ich pracy, książkom i artykułom afiliowanym w instytucie powinno mieć spory wpływ na pozytywny wizerunek PAN i Polski. Takim bardzo prostym probierzem aktywności każdej instytucji jest ślad pozostawiony przez badaczy np. w Web of Science. W tej bazie znaleźliśmy tylko 6 publikacji afiliowanych przy tym instytucie.

Ale znam też publikacje, w których są podziękowania dla PIAST-a.

Jestem świeżo po lekturze takiego podziękowania, w którym PIAST potraktowany został jako fundator przytulnego miejsca zamieszkania na warszawskiej starówce. Taki ślad pamięciowy pozostał stypendyście PIAST-a po pobycie w Polsce! Jestem tym zbulwersowany. Nie widzę szansy uratowania tego przedsięwzięcia w obecnym kształcie. Przy skromnym budżecie Akademii nie jesteśmy w stanie go finansować.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Rozmowa z prof. Aleksandrem Welfe, wiceprezesem Polskiej Akademii Nauk

Z myślą o wspólnocie

Ustawa ma stworzyć nową jakość w Polskiej Akademii Nauk poprzez zbudowanie obszaru wspólnoty instytutów i członków korporacji. Chcemy to uzyskać, przekazując poważne uprawnienia decyzyjne dyrektorom instytutów, a równocześnie zapewniając członkom korporacji pewien wpływ na działania instytutów.

Jestem trochę zaskoczony: jeszcze niedawno mówiło się, że nie ma szans na procedowanie projektu ustawy o Polskiej Akademii Nauk w najbliższym czasie, przed wyborami, a tymczasem powstają co najmniej dwa takie projekty, w tym jeden zgłoszony przez władze PAN.

Projekt, który przedstawiliśmy, kosztował nas ogromny wysiłek. Nie mówię o tym dlatego, że brałem w jego powstaniu udział, ale to jest po prostu fakt. Nie inwestowalibyśmy pracy w coś, czego przyszłości nie widzimy. Przygotowaliśmy spójny dokument, który opisuje naszą wizję funkcjonowania Polskiej Akademii Nauk nie w horyzoncie dwóch lat, ale lat dwudziestu. To jest projekt prawdziwie wspólnotowy. Jesteśmy przekonani, że budowanie takiej wspólnoty ma sens i że przyda się ona nie tylko Polskiej Akademii Nauk, ale całemu środowisku naukowemu w Polsce. Traktujemy ten projekt niezmiernie serio.

Rzeczywiście w przestrzeni publicznej pojawiła się taka myśl, że ani ten, ani żaden inny projekt ustawy o PAN najprawdopodobniej nie będzie procedowany w tym roku. Miałby tego dowodzić kalendarz sejmowy. Do wyborów zostały cztery posiedzenia sejmu, o ile nie będzie posiedzeń nadzwyczajnych. Jest wiele ustaw, które obecny rząd chce procedować, a ustawa o Polskiej Akademii Nauk niewątpliwie nie znajduje się na szczycie listy priorytetów. Tak uzasadnia się w przestrzeni medialnej ową negację możliwości procedowania ustawy o PAN. Jednak to nie wyklucza, że minister nauki zdecyduje się na przedłożenie tego projektu jeszcze w tej kadencji Sejmu.

Dlaczego nowy projekt ustawy o PAN był niezbędny?

On był wręcz konieczny! Jako instytucja, Polska Akademia Nauk wymaga nowego spojrzenia i po prostu reformy. Taka potrzeba była artykułowana nie tylko w samej Akademii, o czym świadczy praca wykonana przez poprzedni zarząd PAN, ale także przez zewnętrzne środowiska naukowe i polityczne, w tym ministrów nauki z ostatnich lat. Podkreślano, że Polska Akademia Nauk jako instytucja nie została w sposób kompleksowy zreformowana po okresie komunizmu. Były pewne zmiany w ustawie, poprawki, ale nie całościowa reforma. Polska Akademia Nauk to centrum naukowe, centrum excelencji naukowej, zarówno poprzez korporację, jak i instytuty naukowe. Świat rozwija się nadzwyczaj dynamicznie, że wspomnę o sztucznej inteligencji, która z pewnością stworzy zupełnie nową sytuację także w nauce, a my w Akademii tkwimy

wciąż w starych ramach prawnych. Instytucja, która chce być centrum doskonałości naukowej, musi nadążać za zmianami otoczenia, w którym działa. Dlatego głębsza reforma jest niezbędna, a może ją zapewnić tylko całkowicie nowa ustawa.

Czytając państwa projekt, odniosłem wrażenie, że ma on charakter porządkujący i usprawniający sferę zarządzania PAN. Struktura Akademii pozostaje niezmienniona.

Zupełnie się nie zgadzam z takim spojrzeniem. Nasz projekt jednak buduje nowe relacje między podmiotami tworzącymi Akademię, dalece wykraczające poza zwykłą sferę zarządzania. Pozostawienie struktury podobnej do aktualnej to tylko pozór tego, że w naszym pomysle nie ma zasadniczej zmiany. W tej ustawie budujemy zupełnie nowe relacje między elementami tej struktury, przypisując im nowe miejsce w Akademii, ale też likwidujemy niektóre struktury, a w zamian tworzymy inne, nadając im niezmiernie ważną rolę. Nasz projekt buduje wspólnotę, co będę się starał pokazać i uzasadnić. Zwłaszcza włącza instytuty ściślej do sfery decyzyjnej, a zatem podmiotowej, Polskiej Akademii Nauk. To przenikanie się korporacji i instytutów i wpływ tych ostatnich na funkcjonowanie korporacji został fundamentalnie zmieniony.

Ma pan na myśli powołanie Zgromadzenia Dyrektorów Instytutów PAN. Jednak istnieje Rada Dyrektorów Jednostek Naukowych PAN.

Nie odważyłbym się sugerować czegoś, co nie ma pokrycia w faktach. Nie chodzi tu o zmianę nazwy. To jednak zupełnie inne organy, o odmiennej strukturze i roli. Rada Dyrektorów to tylko organ doradczy, którego opinie mogą być wzięte pod uwagę, ale nie muszą. Natomiast Zgromadzenie Dyrektorów Instytutów PAN to grono, które uczestniczy w Zgromadzeniu Ogólnym PAN i decyduje o wyborze władz Akademii, czyli absolutnie życiowej, najbardziej fundamentalnej sprawie. Prerogatywy tego ciała są daleko idące. Będzie ono współdecydować o istnieniu instytutów naukowych PAN, o tworzeniu nowych placówek, ich łączeniu czy wygaszaniu. Nie będą to decyzje samych członków korporacji, ale właśnie grona dyrektorów instytutów PAN. To po stronie samych instytutów leży inicjatywa. Takich prerogatyw nie ma w najmniejszym stopniu obecna Rada Dyrektorów. Prezydium Zgromadzenia Dyrektorów wchodzi do Prezydium PAN, a to przecież ono decyduje o tym, co się dzieje w tej instytucji pomiędzy Zgromadze-

niami Ogólnymi. To nie jest żadna fasada, to nie jest na niby, to zapewni instytutom realny wpływ na całą Akademię.

Dajecie zatem instytutom realny wpływ na zarządzanie Akademią, ale równocześnie znacząco zwiększacie zakres kontroli wydziałów PAN nad działalnością instytutów.

To daleko idąca nadinterpretacja.

Ale takie właśnie obawy wyrazili dyrektorzy instytutów.

Wspólnota polega na tym, że każda z jej części musi wzajemnie na siebie oddziaływać, czasami też ustępować w pewnych kwestiach. Tylko wtedy wspólnota jest autentyczna. Ta ustawa daje dyrektorom instytutów kompetencje w zakresie funkcjonowania korporacji, ale jednocześnie członkom korporacji daje pewne kompetencje wpływania na to, co się dzieje w instytutach. Nie może być tak, że jedna część realnie wpływa na funkcjonowanie drugiej, a ta druga nie ma nic do pierwszej. Określenie „kontrola” nie oddaje charakteru kompetencji członków Akademii w stosunku do instytutów PAN. Chodzi o to, aby te 350 osób wyłonionych z grona ponad szesnastu tysięcy profesorów tytularnych na podstawie dorobku naukowego, w procedurach najbardziej selektywnych jak można sobie wyobrazić – a zatem są to najlepsi z najlepszych – mogło okresowo wnikać w sposób funkcjonowania instytutów, na przykład oceniając kierunki badawcze czy inspirując nowe. Taka współpraca mogłaby pomagać dyrektorom. W tej chwili jest tak, że instytutem kieruje dyrektor wraz z zastępcą lub kilkoma. To nie jest grono nieomyślne. Jeśli uzyska ono wsparcie w postaci głosu kilku czy kilkunastu doświadczonych profesorów, którzy w swoim życiu realizowali niejedną projekt naukowy, kierowali różnymi instytucjami naukowymi, to nie jest to element naciśku, ale forma pomocy. Gdyby dyrektor nie zgadzał się z sugestiami takiej komisji, to mamy propozycję procedury odwoławczej, która toczy się w samej Akademii. Proponujemy powołanie specjalnej komisji rozjemczej. Niczego nikt nie narzuca. To raczej wsparcie, a nie kontrola. Nie chodzi nam o szukanie błędów, ale pomoc. Stan obecny jest taki, że instytuty są kontrolowane w momencie, gdy zarządzany jest audyt, czyli głęboka kontrola, która wynika najczęściej z zauważonych problemów. Tymczasem w projekcie ustawy proponujemy, żeby otworzyć dyskusję na temat funkcjonowania instytutu we własnym środowisku, a ewentualnie dopiero potem odwoływać się do czynników zewnętrznych, czyli audytora. Traktujemy to jako ostateczność, a nie jako normalny element kontroli instytutów. Trzeba dyskutować o problemach instytutów wtedy, gdy się one pojawiają, a nie neutralizować ich skutki po czasie. Każda placówka ma szereg problemów, które lepiej jest przedyskutować na bieżąco.

Nie dziwi mnie, że musi istnieć interakcja między instytutami a korporacją. Jeśli placówki badawcze chcą mieć markę PAN, to muszą się zgodzić na jakąś formę nadzoru nad swoimi programami badawczymi czy polityką naukową. Jednak każdy instytut ma radę naukową.

Jedno nie wyklucza drugiego. Rada naukowa zbiera się co miesiąc lub częściej, i dyskutowane są tam najróżniejsze kwestie, procedowane są wnioski awansowe. Rady działają na bieżąco. W ustawie proponujemy dodatkowy element, który uzupełnia, a czasami może wyręczać rady naukowe – procedurę uruchamianą raz na jakiś czas. Nie chodzi o to, aby nękać instytuty – bo i z takim sformułowaniem się spotkałem – ale by je wspomagać. Dyrektorzy instytutów, szczególnie ci, którzy mocno kontestują proponowane zmiany, pytają: a co instytuty mają z istnienia i nadzoru korporacji? Rzeczywiście w chwili obecnej bardzo niewiele i dlatego zapisaliśmy w projekcie ustawy pewne



Prof. Aleksander Welfe (ur. w 1960 r.) zajmuje się teorią ekonometrii, modelowaniem ekonometrycznym oraz wykorzystaniem modeli do prognozowania procesów ekonomicznych i analiz symulacyjnych alternatywnych polityk gospodarczych. Jest twórcą serii makromodeli gospodarki narodowej Polski opartych na danych kwartalnych i pierwszego w historii makromodelu opartego na danych miesięcznych. Współpracował z Lawrence R. Kleinem, laureatem nagrody Nobla z ekonomii, czego rezultatem jest wspólna książka *Principles of Macroeconometric Modeling*.

Jest związany zawodowo z Uniwersytetem Łódzkim, gdzie kieruje Katedrą Modeli i Prognoz Ekonometrycznych. Pracuje także w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W przeszłości wykładał na University of Pennsylvania i Stanford University. Był doradcą prezesa NBP w latach 2007–2017, członkiem i przewodniczącym Naukowej Rady Statystycznej.

Jest członkiem Polskiej Akademii Nauk od roku 2007 r. Kierował Oddziałem PAN w Łodzi. Obecnie jest wiceprezesem PAN. Należy też do Akademii Europeenne des Sciences, des Arts et des Lettres.

formy interakcji, które wspomagałyby działalność instytutów i dawały im wpływ na korporację.

W projekcie nie ma instytucji rad kuratorów. Czy ocena ich działalności jest negatywna?

Nie, to wynika z czegoś innego. Wprowadziliśmy w tym projekcie pozycję członka seniora. Członek Akademii, który ukończy 75 rok życia, będzie mógł korzystać z przywileju członka seniora. Sprowadza się to do tego, że pozostaje on dalej członkiem Akademii, bo członkostwo jest dożywotnie, co wiąże się także z otrzymywaniem świadczenia pieniężnego przysługującego członkom PAN, może uczestniczyć we wszystkich spotkaniach Akademii, ale bez głosu stanowiącego. Z przywileju bycia członkiem seniorem można zrezygnować, składając co roku odpowiednią deklarację. Członkowie, którzy nie przekroczą wspomnianego wieku, są członkami czynnymi. Osoby, które złożyły deklarację, pozostają również członkami czynnymi, ale to oznacza konieczność uczestniczenia we wszystkich pracach Akademii, a zatem w ocenianiu instytutów, w radach naukowych placówek PAN, posiedzeniach organów kolegiałnych PAN – Zgromadzeniu Ogólnym przede wszystkim, ale

także posiedzeniach wydziałów oraz oddziałów PAN z głosem stanowiącym, w komisjach nagród PAN itd. Rady kuratorów zatem tracą sens, bo to są po prostu członkowie PAN poniżej 70. roku życia z poszczególnych wydziałów, którym podlegają konkretne instytuty. Tymczasem obecnie członkowie czynni biorą udział w ocenie instytutów.

Czy ta ocena będzie dotyczyć merytorycznej treści badań naukowych?

Oczywiście, a dlaczego nie? Przecież to jest podstawowa treść istnienia placówek naukowych. Gdybyśmy oceniali tylko warunki lokalowe instytutów, to byłby czysty nonsens. Akademicy mają przede wszystkim oceniać kierunki badań i ich wyniki, ale inne aspekty działalności placówek też, np. sposób zarządzania czy konflikty personalne, które wpływają na działalność.

Mówiąc o członkach czynnych, nie wspominał pan o obowiązku prowadzenia badań naukowych i składania sprawozdań z tej

działalności. Dyrektorzy wyrażali obawy, że będziecie zmuszali instytuty do wprowadzania projektów członków PAN spoza tych placówek do swoich programów badań.

No nie! Tak się tego nie robi. Zespoły naukowe tworzy się na innych zasadach. Gdybyśmy próbowali robić to na siłę, nic by z tego nie wyszło, takie osoby zostałyby wypchnięte na margines. Nikomu w głowie coś podobnego nie powstało. Czy wyobraża pan sobie, że moglibyśmy nakazać laureatowi grantu ERC zatrudnić w takim projekcie kogoś, kogo nie chce, kto mu nie jest potrzebny? To nonsens.

Obawę budzi kompetencja wydziałów do konsolidacji instytutów.

Jak rozumiem, wyprowadzono z tego tezę, że wydział będzie zmuszał instytuty do łączenia się. Wracam do początku naszej rozmowy: to Zgromadzenie Dyrektorów Instytutów może coś takiego sugerować, a nie sam wydział. Oddalam te wątpliwości. Chodziło raczej o nazwanie kompetencji wydziału do koordynacji działalności instytutów.



Projekt upraszcza strukturę członkostwa PAN.

Dotychczasowy podział był elementem pewnej historii. Akademia Umiejętności, która działała na terenie zaboru austriackiego, powoływała członków rzeczywistych i korespondentów, ponieważ chciała mieć ogólnokrajowy charakter. I ten schemat przeniesiono wprost na PAN. Część środowiska traktowała to jako tradycję wartą utrzymania, a część wskazywała, że to tylko historyczny anachronizm. W większości akademii na świecie nie ma takiego podziału. Poszliśmy za tą drugą myślą, dlatego proponujemy, żeby nie było podziału na członków korespondentów i rzeczywistych, a status wszystkich dotychczasowych członków PAN będzie zrównany. Za to proponujemy tym, którzy są starsi i nie prowadzą już działalności naukowej, mają trudności w podróżowaniu, status członka seniora, który pozostawia pewne przywileje, wynikające z członkostwa w PAN, ale nie narzuca obowiązków. Oczywiście pozostają też członkowie zagraniczni, których nie chcemy obciążać obowiązkami regularnej pracy na rzecz PAN.

W pierwszej wersji projektu pojawiła się dziwna propozycja cezur 72 lat. O co chodziło?

Nie ma okrągłych liczb. To tylko złudzenie. One są takie tylko w określonych systemach liczenia. Nie chodzi zatem o żadne okrągłe liczby. W szkolnictwie wyższym profesorowie odchodzą na emeryturę w wieku siedemdziesięciu lat. Mamy wielu członków, którzy przechodzą na emeryturę, ale są w pełni aktywni. Mogliby wówczas poświęcić swój czas i energię Akademii. Zaproponowaliśmy, aby w PAN ta granica wieku została podwyższona. Propozycja 72 lat okazała się zbyt nieśmiała i ostatecznie w projekcie pojawił się wiek 75 lat.

Członkowie zagraniczni nie mają niektórych przywilejów.

To są najwybitniejsi uczeni, największe figury nauki światowej, często nobliści, których honorujemy członkostwem. Ale to działa w obydwie strony: oni także nas nobilitują, przyjmując członkostwo w PAN. Korzystamy z ich głosu doradczego, czasami są powoływani do komisji konkursowych. Nie chcemy ich jednak obciążać obowiązkiem regularnej pracy na rzecz korporacji. Jesteśmy dumni z tego, że wśród członków zagranicznych mamy gwiazdy światowej nauki.

Każdy członek PAN dostaje uposażenie, którego wysokość określa minister edukacji i nauki w rozporządzeniu. Obecnie jest to 2,5 tysiąca złotych. Państwo proponują, aby to świadczenie było zwolnione z podatku.

Zwolnienie z podatku ma pewien aspekt organizacyjno-praktyczny. Pozwala nie uwzględniać go w rozliczeniu podatkowym, co dla wielu osób stanowi jakiś problem. Jeśli to uposażenie nie będzie opodatkowane, nie będzie konieczności wypełniania dodatkowych formalności przez członków PAN pozostających na emeryturach. Nie kwestionuję tego, że dla wielu osób w Polsce kwota 2,5 tysiąca złotych jest znacząca, jednak punktem odniesienia wynagrodzenia członków PAN jest wynagrodzenie profesora uczelni publicznej.

Wśród instytucji, z którymi ma współpracować PAN, nie wymieniono Akademii Kopernikańskiej, choć wskazano np. Polską Akademię Umiejętności.

Tam po prostu nie ma pełnej listy, a jedynie wskazano przykładowe instytucje, np. PAU, bo to najstarsza tego typu instytucja. Ale chcemy też współpracować z towarzystwami naukowymi, a tych jest wiele.

W projekcie jednego z artykułów zgrabnie opisano, że płace dyrektorów instytutów nie podlegają tzw. ustawie kominowej.

Polska Akademia Nauk nie jest wyspą, do której nie docierają skutki innych przepisów. Zapisaliśmy to w tym celu,

aby konflikt, który niegdyś miał miejsce w PAN, już się nie powtórzył.

Wróćmy do wspomnianej przez pana komisji rozjemczej.

To ma być płaszczyzna dalszej debaty w przypadku różnicy stanowisk np. między korporacją czy jej reprezentacjami a środowiskiem instytutów PAN. Konflikty pojawiają się same, a ta instytucja nie tylko ma je rozwiązywać, ale poprzez dyskusję zapobiegać im. Wiele znaczy sformułowanie „rozjemcza” – to słowo klucz. Jej skład po połowie wybierają przedstawiciele korporacji i instytutów, gdyż ma to być organ wspólnotowy Akademii. Treść naszej rozmowy snuje się wokół potencjalnego dysonansu między korporacją uczonych, a środowiskiem instytutów PAN – widać zatem, że takie rozwiązanie jest potrzebne.

Wśród typów komitetów PAN są naukowe, problemowe i narodowe. Zainteresował mnie ten ostatni typ.

Komitet narodowy jest potrzebny do tego, żeby Polska Akademia Nauk mogła uczestniczyć w niektórych organizacjach międzynarodowych. Musimy mieć ciało o odpowiedniej do tego nazwie. Chodzi tu raczej o określenie o charakterze organizacyjnym niż jakieś konotacje merytoryczne słowa „narodowy”. Odbiegając od samego pytania: chcemy zmniejszyć, wzmocnić rolę ekspercką komitetów PAN. Komitety są reprezentacjami mikrośrodków naukowych, zwykle dobrze wyodrębnionych, ale nie są odzwierciedleniem dyscyplin. Te małe środowiska nie mają żadnej reprezentacji poza komitetami PAN. To one mogą być naszą ekspercką siłą. Będziemy chcieli stworzyć sieć komitetów – to kwestia bliskiej przyszłości, czerwcowego posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego PAN. Myślę, że już jesienią będziemy mogli na ten temat powiedzieć znacznie więcej.

Dużo miejsca poświęciliście w ustawie komercjalizacji wyników badań naukowych.

Ponieważ taka jest przyszłość nauki, zarówno uczelni, jak i instytutów naukowych. Do tej pory nie zajmowaliśmy się tym serio, a tymczasem dobre poustawianie kwestii własności intelektualnej, co do kogo należy i komu za co należą się honoraria, może przynieść wiele dobrego i poszczególnym instytutom, i całej Akademii.

Czy sztywne ustanowienie stanowisk we wszelkiego typu instytutach PAN to dobre rozwiązanie?

Próbowaliśmy zapisać początkowo coś innego, m.in. chcieliśmy wpisać do grupy stanowisk „pracownika wspomagającego naukę”. Okazało się, że nie można tego zrobić, bo w innych ustawach, nie tylko dotyczących obszaru nauki, nie ma takiego stanowiska i będzie trudno skoordynować akty prawne, a one muszą ze sobą współbrzmieć.

Mimo ustanowienia pewnych prerogatyw dla korporacji, nie ma w tym projekcie propozycji, aby to prezes PAN dysponował środkami na badania dla instytutów naukowych.

Bo to byłby powrót do sytuacji sprzed lat, czego stanowczo nie chcemy. Instytuty mają podmiotowość prawną, co uważamy za ważną zdobycz okresu transformacji ustrojowej. Ta ustawa ma stworzyć nową jakość w Polskiej Akademii Nauk poprzez zbudowanie obszaru wspólnoty instytutów i członków korporacji. Chcemy to uzyskać, przekazując poważne uprawnienia decyzyjne dyrektorom instytutów, a równocześnie zapewniając członkom korporacji pewien wpływ na działania instytutów, przynajmniej na poziomie doradczym.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Rozmowa z prof. Grzegorzem Marcem, dyrektorem Instytutu Badań Literackich PAN,
członkiem Porozumienia Instytutów Naukowych PAN

Ta ustawa nas nie satysfakcjonuje

Wydział PAN, do którego przypisany jest instytut, jak również prezes PAN będą mogli ponad głowami dyrekcji instytutu i jego rady naukowej decydować o kształcie naukowym, organizacyjnym i finansowym jednostki.

Instytuty naukowe Polskiej Akademii Nauk podnoszą ostatnio kwestię utrzymania własnej podmiotowości prawnej. Taka sytuacja, czyli podmiotowość prawna instytutów PAN, ma dość krótką historię.

Jestem zbyt młody, by te procesy odtworzyć z pamięci, zatem przedstawię sytuację na podstawie starannie przestudiowanych dokumentów prawnych i historycznych, a także licznych rozmów ze starszymi od siebie przedstawicielami naszego środowiska. Otóż proces ten przebiegał równolegle z demokratyzacją całego kraju po przemianach systemowych w roku 1989. Już wtedy rzeczą coraz bardziej oczywistą było to, że model, na którym ufundowana była Akademia – a był to model całkowicie scentralizowany, z centralistycznym zarządzaniem i finansowaniem, z instytutami tworzonymi dla wybitnych uczonych wchodzących w skład Akademii – nie odpowiada nowym okolicznościom. Od 1990 roku pojawiały się różne pomysły na reformę PAN, w tym najbardziej skrajny w postaci propozycji jej likwidacji. W mojej ocenie nie wszedł on w życie głównie ze względu na to, że w instytutach tkwił niezwykle potencjał naukowy, który można było i należało wykorzystać oraz rozwijać w nowym demokratycznym państwie na korzyść państwa i jego obywateli. Przełomem pod tym względem była ustawa z 1997 r. Z inicjatywy zmarłego niedawno prof. Leszka Kuźnickiego, wówczas prezesa PAN, przygotował ją prof. Zbigniew Radwański, niegdyś wiceprezes PAN, prawnik, człowiek o wielkim autorytecie naukowym, który był m.in. przewodniczącym Rady Legislacyjnej przy premierze Tadeuszu Mazowieckim. Ustawa ta wprowadziła fundamentalne dla autonomii instytutów przepisy. Stanowiła, że instytuty mają osobowość prawną, własne mienie i nie odpowiadają za zobowiązania Akademii, ale i odwrotnie: Akademia nie bierze na siebie zobowiązań instytutów. Zakończyła się też wówczas trwająca dekady centralizacja finansowania, polegająca na wydzielaniu środków na działalność instytutów bezpośrednio przez władze PAN, co w wielu przypadkach opóźniało rozwój tych placówek.

Ta ustawa zlikwidowała też stanowisko sekretarza naukowego PAN, który miał rangę ministerialną, zasiadał w rządzie i decydował o pieniądzach.

Tak, ale to były dopiero zręby, na których została zbudowana ustawa o PAN z 2010 r., jeszcze mocniej podkreślająca

odrębność instytutów od innych placówek PAN, a jednocześnie podejmująca nowe okoliczności funkcjonowania nauki polskiej, m.in. w związku z wejściem Polski do Unii Europejskiej i pełnym otwarciem dla polskich jednostek naukowych europejskiego rynku grantów badawczych. Ta sytuacja została przez bardzo wiele instytutów dobrze wykorzystana. Zaczęły się szybko rozwijać, z pozyskiwanych środków grantowych budowały nowoczesne laboratoria i bazy badawcze, wprowadzały innowacyjne programy naukowe. Instytuty PAN to jednostki stosunkowo małe w porównaniu z wydziałami i instytutami uczelni, ale przez to niezwykle elastyczne, potrafiące szybko reagować na nowe problemy naukowe i zmiany cywilizacyjne. Jednocześnie nie są one jednorodne i bardzo się od siebie różnią, dlatego przy jakichkolwiek próbach reformowania ich struktury powinno się zacząć od rozpoznania tej różnorodności, a także jej historycznych i naukowych uwarunkowań. Np. instytuty humanistyczno-społeczne, jak Instytut Badań Literackich, często wykonują coś, co my nazywamy zadaniami statutowymi, których ze względu na obciążenia dydaktyczne nie mogą w takim stopniu realizować uczelnie: są to np. wieloletnie programy dokumentacyjne, bibliograficzne czy edytorskie. Przykładowo, realizowana w IBL Polska Bibliografia Literacka, podstawowe źródło referencyjne nie tylko w badaniach polonistycznych, jest równolatką Instytutu, a na podkreślenie zasługuje fakt, że IBL jest jedną z ledwie kilku jednostek naukowych PAN, które są starsze od samej Akademii.

Znane jest pańskie krytyczne stanowisko w sprawie projektu reformy, który napisał zespół pod kierunkiem prof. Marka Konarzewskiego, prezesa PAN.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że impulsy naprawcze, które w 1997 r. dały instytutom autonomię badawczą, finansową i prawną, wyszły od władz Akademii. Tymczasem po 2010 r. w Akademii zaczęły powstawać wyłącznie projekty, które te pozytywne tendencje całkowicie odwracały, i których skutek dla instytutów, a w konsekwencji dla polskiej nauki, byłby opłakany. Niestety dotyczy to również projektu, który obecny prezes PAN przekazał ostatnio władzom Ministerstwa Edukacji i Nauki. Cieszę się, że w swojej opinii, popartej przez Radę Naukową IBL PAN, opublikowanej także na portalu forumakademickie.pl, nie jestem odosobniony. Podobne głosy wyszły z innych instytutów,

przede wszystkim zaś od Rady Dyrektorów Jednostek Naukowych, która jest ciałem doradczym prezesa PAN. List otwarty w tej sprawie zawiera ponad 100 podpisów, w tym prawie 30 podpisów dyrektorów, którzy uważają, że projekt ten nie służy rozwojowi instytutów Akademii. Osobiście uważam, że odwracanie wspomnianych demokratycznych tendencji byłoby poważnym błędem, i że – wprost przeciwnie – to właśnie na nich należy budować nowy projekt reformy PAN. Nikt nie kwestionuje, że taki projekt jest potrzebny, szczególnie w sytuacji reformy nauki w 2018 r., która jednak w większym stopniu dotyczyła uczelni niż instytutów. Powinniśmy dostać narzędzia prawne, które pozwoliłyby nam dołączyć do tego nowego porządku, dlatego z dużymi nadziejami przyjmowaliśmy deklaracje ministra Włodzimierza Bernackiego, że nowy projekt powinien za punkt wyjścia przyjąć rozwój instytutów. Ale też nie ukrywamy, że taki projekt musiałby dać instytutom nowe impulsy rozwojowe, w tym programy finansowe analogiczne do IDUB czy Regionalnej Inicjatywy Dосkonołości. Jednostki, które miały duże granty i wysokie wpływy z komercjalizacji, mogły sobie jeszcze w tej trudnej sytuacji radzić, pozostałe przechodziły często na pozycje defensywne, żeby nie powiedzieć – wegetatywne.

Czy to znaczy, że finansowanie instytutów PAN to wciąż problem systemowy?

Pojawiały się głosy, że problemy instytutów to sprawa systemowa, ale wynikająca z błędnego nimi zarządzania. To jest prawda tylko w pierwszej części – że to kwestia systemowa. Sprawa dotyczy nie tylko instytutów humanistyczno-społecznych, czego dowodzą dane finansowe zebrane w lutym 2022 r. przez poprzedniego prezesa PAN, prof. Jerzego Duszyńskiego. Wynikało z nich, że na podtrzymanie podstawowej działalności instytuty potrzebują w sumie ok. 180 mln złotych, a na rozwój kolejne 300. To jest wynik wieloletnich zapóźnień w finansowaniu instytutów, których subwencja w bardzo wielu przypadkach pozwala jedynie na pokrycie sztywnych zobowiązań, przede wszystkim pensji i ZUS. Tak jest m.in. w Instytucie Badań Literackich PAN. Zmiany wprowadzone w algorytmie naliczania subwencji po roku 2018 sprawiły, że nawet kategoria A+ nie generowała oczekiwanych korzyści finansowych. Jak to u nas mawiano, plus to jedynie mniejszy minus. Wiele wysiłku włożyłem w tłumaczenie pracownikom instytutu, dlaczego ich świetna praca naukowa nie przełożyła się na zysk w postaci choćby nieco wyższych pensji czy środków na badania, finansowanie udziału w konferencjach itd. A trzeba pamiętać, że IBL nie jest pod tym względem wyjątkiem, że mamy na utrzymaniu pracowników, którzy nie wnoszą do tego błędnego algorytmu wartości nadadnej mimo wagi wykonywanych przez nich prac, jak dokumentaliści i bibliografowie. Na utrzymaniu IBL jest też ogromna biblioteka, której zbiory, w tym niezwykle cenne starodruki i autografy, można śmiało zestawiać ze zbiorami wielu bibliotek należących do Narodowego Zasobu Bibliotecznego. Jest to infrastruktura, której finansowania algorytm nie przewiduje. Jesteśmy też jednym z krajowych liderów w zakresie humanistyki cyfrowej, ale te działania finansujemy głównie z grantów, co nie gwarantuje stabilności rozwoju tej gałęzi badań. W tej sytuacji trudno mówić o błędnym zarządzaniu. Jest to raczej dryfowanie wśród mielizn i raf, żeby jakoś ten statek płynął i nie zatonął. Myślę, że właśnie ta sytuacja powinna stać się przedmiotem poważnego namysłu, również wśród władz ministerialnych.

Projekt przedstawiony przez obecny zarząd PAN przewiduje zbliżenie korporacji i instytutów PAN. Jak jest pana zdanie na ten temat?

Mam ogromny szacunek do korporacji, z wieloma członkami PAN utrzymuję bardzo dobre, niekiedy prawie przyja-

cielskie relacje. Nie uważam jednak, by przekazanie narzędzi nadzorczych nad instytutami w ręce korporacji, a to przewiduje projekt powstały w Akademii, było dobrym pomysłem. Byłaby to sytuacja, której jako tako poprawne działanie wymagałoby powrotu do relacji prawno-politycznych, które szczęśliwie odeszły już w niepamięć. Sukces wielu instytutów wynika m.in. właśnie z faktu, że ten związek został w roku 1997 znacząco połączony, a kierowanie instytutami zostało przekazane w ręce osób, głównie w średnim wieku, które miały gruntowną wiedzę o swoich instytutach, ponieważ przeważnie z nich się wywodziły, ale też z pozytywnej chęci przysłużenia się własnemu środowisku inwestowały sporo w rozwijanie umiejętności menedżerskich, a przecież tu trzeba zarządzać wartym wiele milionów majątkiem państwowym, w sytuacji ostrych rygorów prawnych i ciężącej na dyrektorze odpowiedzialności za dyscyplinę finansów publicznych. Jednocześnie zdecydowana większość członków korporacji to przedstawiciele uczelni, którzy, co zupełnie naturalne i zrozumiałe, mają zwykle niewielką wiedzę o instytutach. Poza tym, w obecnych realiach gospodarki rynkowej, również rywalizacji na rynku grantowym i w ewaluacji, sytuacja ta skutkowałaby nieuchronnym konfliktem interesów. Nie sądzę też, by uczelnie chciały, a ja tym bardziej, sytuacji analogicznej, tzn. by dyrektorzy instytutów PAN mogli decydować o strategicznych kierunkach rozwoju uczelni. Zostawmy uczelniom i instytutom możliwość decydowania o sobie, również możliwość doboru partnerów do współpracy, w naszym przypadku zarówno z grona akademików, jak i pracowników uczelni. Instytuty, mimo tej rywalizacji, świetnie sobie radzą we współpracy z uniwersytetami, czego IBL jest znakomitym przykładem, bo prowadzimy szeroko zakrojoną działalność, zarówno naukową, jak i popularyzatorską, z wieloma jednostkami uniwersyteckimi w kraju i za granicą. Nazywamy to współpracą horyzontalną z uczelniami, która wszystkim stronom tej wymiany przynosi różnego rodzaju korzyści. Nie widzę powodów, by ten stan rzeczy zmieniać.

Projekt ten przewiduje jednak również wpływ instytutów na korporację, m.in. poprzez udział Zgromadzenia Dyrektorów Instytutów PAN z głosem stanowiącym w Zgromadzeniu Ogólnym PAN i możliwość udziału w wyborach władz PAN oraz udział jego reprezentantów w Prezydium PAN.

Jest to całkowicie pozorna demokratyzacja relacji w Akademii. Postulat wejścia dyrektorów w skład Zgromadzenia Ogólnego PAN nie jest nowy: pojawił się już w 2015 r. i wywołał sprzeciw samych dyrektorów. Zwrócić należy przede wszystkim uwagę, że udział dyrektorów w Zgromadzeniu Ogólnym PAN prowadzi do podwójnej sytuacji konfliktu interesów, w pierwszym przypadku w relacji członkowie Akademii – dyrektorzy, w drugim zaś: prezes PAN – dyrektorzy. O tej pierwszej sytuacji już mówiłem: członkowie Akademii, w przeszło 70% wywodzący się ze środowisk uczelnianych, będą decydować o sprawach instytutów, z którymi na co dzień rywalizują m.in. na rynku grantowym i w ewaluacji, przy czym dyrektorzy będą stanowić w Zgromadzeniu Ogólnym PAN zdecydowaną mniejszość. Z drugiej strony dyrektorzy uzyskają wpływ na wybór prezesa PAN, który podpisuje ich nominacje, ustala wysokość ich wynagrodzenia czy decyduje o możliwości kandydowania na ewentualną trzecią kadencję. Wszystkie te czynniki sprawiają, że uczestnictwo dyrektorów z prawem głosu w pracach Zgromadzenia Ogólnego Akademii nie gwarantuje im sprawczości, będzie prowadzić natomiast do sytuacji konfliktowych. W konsekwencji powstaje złuda podmiotowości i decyzyjności, a także złudne pojęcie wspólnoty i jedności PAN.

Mam wrażenie, że chcecie nosić markę Polskiej Akademii Nauk, ale nie być od niej w żaden sposób zależnymi.

Nie jest to moją intencją. Jak już powiedziałem, jesteśmy całkowicie otwarci na współpracę, w tym z korporacją Akademii, ale na zasadach równorzędności i wzajemnego poszanowania, a nie narzuconej przewagi jednej ze stron. Zbyt wiele uwagi w ostatnich projektach, jakie powstawały w PAN, poświęcano kwestii zabezpieczenia takiej właśnie przewagi ze strony władz PAN i korporacji, a nie fundamentalnemu pytaniu, jak w instytutach mają być prowadzone lepsze i bardziej nowoczesne badania naukowe. Uważam za właściwą obecną sytuację, w której ostateczna odpowiedzialność za prace instytutu spoczywa na barkach dyrektora, przy eksperckim wsparciu rady naukowej, w której skład wchodzi przecież akademicy chcący angażować się w działalność jednostki. Ekspercki i doradczy głos korporacji nadal powinien być brany pod uwagę, tak jak to się dzieje obecnie za sprawą ocen formulowanych przez rady kuratorów. Mogę jednak przy tej okazji powiedzieć, że akceptowane przeze mnie rozwiązanie zmieniłoby strukturę PAN w taki sposób, że w jej ramach powstaje pion instytutów, równoległy do pionu korporacji, przy czym instytuty zachowują obecną autonomię, a oba te piony pozostają pod zwierzchnim patronatem prezesa PAN czy Zgromadzenia Ogólnego PAN.

W MEiN powstał drugi projekt ustawy o PAN, autorstwa zespołu powołanego przez ministra Przemysława Czarnka. Sądzi pan, że spełni oczekiwania instytutów?

Przed wszystkim oczekujemy realizacji zapowiedzi ministerstwa, że nowy projekt reformy doprowadzi do demokratyzacji Akademii i za punkt wyjścia przyjmie rozwój instytutów, które przecież niemal w całości odpowiedzialne są za prowadzone w PAN badania naukowe. Byłem bodaj jedną z pierwszych osób zaproszonych na posiedzenie ministerialnego zespołu. W długiej, prawie czterogodzinnej rozmowie opowiedziałem o badaniach prowadzonych w IBL, a także zaprezentowałem program Porozumienia Instytutów Naukowych PAN, którego IBL jest członkiem i jednym z instytutów założycielskich. Rozwiązania proponowane przez PIN PAN można znaleźć na jego stronie internetowej. Przy okazji warto wspomnieć o projekcie noszącym skrótową nazwę PIN-Beta, który łączył postulaty PIN PAN i projektu PAN-Beta autorstwa trójki prominentnych członków Akademii, profesorów Elżbiety Witkowskiej-Zaremby, Macieja Żylicza i Jacka Kuźnickiego. Projekt ten powstawał w ramach konsultacji prowadzonych w 2021 r. przy ministerialnym Komitecie Polityki Naukowej. Jest wart uwagi, ponieważ inaczej niż inne tego typu dokumenty tworzone w ostatnich latach jest owocem wspólnego wysiłku instytutów i korporacji, by wypracować rozwiązania demokratyzujące zarządzanie Akademią, m.in. poprzez stworzenie Senatu, który zastąpiłby Prezydium i sprawował kontrolę nad działalnością prezesa PAN, kanclerza PAN i przewodniczącego Rady Dyrektorów, a także poprzez wypracowanie dogodnych warunków rozwoju instytutów, których program PIN PAN jest tylko jednym z możliwych wyrazów. Oczywiście sprawa ta powinna być przedmiotem dalszych debat i konsultacji. Nadzór korporacji nad instytutami zostaje w tym projekcie utrzymany, ale – w zgodzie z obecnym stanem prawnym – nie oznacza on przekazania jej narzędzi zarządczych nad instytutami, co z kolei postuluje projekt prezesa Konarzewskiego. W tym ostatnim zarówno wydział PAN, do którego przypisany jest instytut, jak również prezes PAN będą mogli ponad głowami dyrekcji instytutu i jego rady naukowej decydować o kształcie naukowym, organizacyjnym i finansowym jednostki. M.in. dlatego w projekcie władz PAN likwiduje się rady kuratorów, złożone z człon-



Dr hab. prof. instytutu Grzegorz Marzec (ur. 1978) zajmuje się m.in. literaturą romantyzmu i badaniami pamięci kulturowej. Był zastępcą dyrektora Instytutu Badań Literackich PAN, a od 2022 r. jest jego dyrektorem. Jest autorem 4 książek i wielu artykułów naukowych. Jest członkiem Porozumienia Instytutów Naukowych PAN.

ków Akademii, które obecnie dokonują przeglądu działalności naukowej instytutów.

Jaki jest wynik oceny IBL za lata 2017-20 przez Radę Kuratorów Wydziału I PAN? Czy pokrywa się z raportem o stanie instytutów autorstwa dr Katarzyny Stec i prof. Jerzego Duszyńskiego z 2019 r.?

Zacznę od tego, że raport, o którym pan wspomniał, choć pierwotnie został przekazany mediom, nie przypadkiem później został wycofany ze stron Akademii i ukryty w przepastnych archiwach. Był to tekst tendencyjny i zafałszowany, który nawet w zakresie podstawowych informacji zawierał elementarne błędy. Wynikało z niego m.in., że takie renomowane instytuty A+, jak IBL PAN i Instytut Sztuki PAN, to bodaj najgorsze jednostki w Akademii. Ówczesny dyrektor IBL, prof. Mikołaj Sokołowski, publicznie ogłosił, że jego wyników nie przyjmuje do wiadomości. Podam przykład. W tym raporcie stwierdzano, że IBL nie posiada projektów europejskich, podczas gdy faktycznie ze względu na dużą liczbę takich projektów mamy wręcz problemy z ich obsługą administracyjną, a w II

kryterium ewaluacji, m.in. dzięki tym projektom, przeskoczyliśmy wskaźnik referencyjny dla kategorii A bardzo wyraźnie. W mojej ocenie nie jest przypadkiem, że ten tendencyjny tekst ukazał się w momencie, kiedy procedowano projekt tzw. małej nowelizacji ustawy o PAN, którego celem było odebranie instytutom autonomii. Na szczęście nie wszedł nigdy w życie, nie licząc dwóch przepisów o pensjach minimalnych i odliczaniu kosztów uzyskania przychodu, które gorąco popierałem. Natomiast otrzymana niedawno ocena Rady Kuratorów, gremium całkowicie od instytutu niezależnego, to właściwie laurka, i z wielką przyjemnością powtórzę konkluzję: „Podsumowując omawiany okres sprawozdawczy, należy stwierdzić, że IBL PAN pozostaje ośrodkiem naukowym zasługującym na najwyższe oceny według wszystkich kryteriów branych pod uwagę zgodnie ze wskazaniem Rady Kuratorów Wydziału I Akademii. W okresie tym Instytut potwierdził swoją rangę i autorytet w polskim środowisku naukowym, a także na forum międzynarodowym. Wyniki te – które bez wątplenia można określić jako wybitne – osiągnięto w raczej niesprzyjającym otoczeniu. Trudności związane były z niekorzystnymi dla Instytutu zmianami w ustalaniu dotacji budżetowej, z zamieszczeniem związanym z reformą nauki w Polsce, a także z pewnymi napięciami w łonie samej Akademii”.

Podobno uczestniczył pan w staraniach o pozyskanie dodatkowych środków na płace minimalne w instytutach, w związku ze zmienionym rozporządzeniem o minimalnym uposażeniu profesora?

Istnieje w naszym instytutowym środowisku jakieś szczególne poczucie wspólnoty, i duża w tym zasługa PIN PAN, że dyrektorzy, nominalnie odpowiedzialni tylko za sprawy własnych jednostek, angażują się w działania wspólne, których celem ma być poprawa warunków pracy w instytutach. Jesz-

cze przed końcem ubiegłego roku zainteresowałem sprawą Inicjatywę Obywatelską Instytutów, nieformalną organizację pracowniczą działającą w PAN, która m.in. miała ogromne zasługi w tym, że w 2019 r. do ustawy o PAN wpisano przepisy o uposażeniach minimalnych, analogiczne do tych, które ustawa 2.0 ustanowiła dla uczelni. Zresztą sam fakt, że w 2018 r. zostaliśmy w tej sprawie pominięci, uważam za wymowny. Moja obecna obawa wynikała z faktu, że środowisko instytutów zawsze musi wykonywać ponadnormatywny wysiłek związany ze staraniami o uzyskanie choćby minimalnych warunków bytowania, w tym płac minimalnych. Przedstawiciele Inicjatywy bardzo pozytywnie odpowiedzieli na mój apel, przygotowaliśmy list do ministra edukacji i nauki, w którym sygnalizowaliśmy, że instytuty, podobnie jak uczelnie, będą potrzebować środków na owe minima. Poprosiliśmy o wsparcie prezesa PAN, prof. Marka Konarzewskiego. Czteroosobowa delegacja, w której składzie znaleźli się mgr Ariadna Małowska-Nowak (IOI, Solidarność IBL PAN), prof. Michał Kokowski (IOI, Instytut Historii Nauki PAN), prof. Marek Konarzewski i ja, spotkała się z ministrem Włodzimierzem Bernackim. W bardzo dobrej rozmowie pan minister obiecał pomoc w realizacji naszych postulatów. Zwracam jednak ponownie uwagę na fakt, że instytuty są ciągle w defensywie, tzn. walczą nie o coś więcej, a o realizację tych czy innych warunków minimalnych, i nawet ostatnie przyznanie tych środków, ale tylko dla pracowników naukowych, nie daje im nic więcej ponad to, co wynika z regulacji prawnych, i w niczym nie poprawia ich bytu. Potrzebujemy większego wsparcia, potrzebujemy systemowych rozwiązań. Jestem przekonany, że instytuty są w stanie udowodnić, że to przyniesie korzyści naukowe i społeczne, którymi każdy minister nauki będzie mógł się pochwalić.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Pałac Staszica – siedziba PAN

Wyzwania stojące przed systemem finansowania nauki w Polsce

W przepisach o finansowaniu szkół wyższych, PAN i innych jednostek badawczych powinny pojawić się zapisy regulujące skuteczną komercjalizację wyników prac badawczych – transfer wiedzy i technologii z jednostek sektora finansów publicznych, w celu ułatwienia i promocji innowacyjności. Obecne przepisy z zakresu komercjalizacji nie tylko nie są spójne, ale także nie są stosowane, ze względu na wątpliwości w ich interpretacji.

Obecny system finansowania nauki w Polsce nie promuje uprawiania dobrej nauki. Powinien on być spójny i w każdym fragmencie promować wysoką jakość uprawiania badań. Jego elementy winny być połączone w taki sposób, aby wzajemnie się regulowały i z jednej strony promowały jakość, z drugiej nie dopuszczały do finansowania pseudonauki. Nauka powinna służyć społeczeństwu, dostarczając nowych technologii i zwiększając komfort naszego życia, ale także dostarczając racjonalnych argumentów przy podejmowaniu decyzji, zarówno naszych codziennych, jak też podejmowanych przez reprezentantów społeczeństwa wybranych w demokratycznych wyborach. Tylko wtedy będzie się opłacało być dobrym naukowcem w naszym kraju.

Sposobem na lepsze wykorzystanie potencjału akademii w zarządzaniu państwem może być np. utworzenie w strukturze Kancelarii Prezesa Rady Ministrów stałego zespołu ekspertów z zakresu nauki i innowacji (maksymalnie 5 osób o uznanym autorytecie, specjalizujących się w różnych dziedzinach) świadczącego doradztwo w istotnych kwestiach społeczno-gospodarczych, takich jak np. zdrowie publiczne, konkurencyjność polskich produktów i usług, współpraca międzynarodowa, nowe technologie (w tym na rzecz bezpieczeństwa i obronności kraju), zmiana prawa wymuszana przez wprowadzanie nowych technologii i in. Takie rozwiązanie funkcjonuje już w niektórych krajach.

Istnieje także pilna potrzeba zharmonizowania polskiego prawa dotyczącego nauki i szkolnictwa wyższego. Braki w przepisach bądź kolidujące ze sobą zapisy ustawowe powinny zostać skorygowane w celu poprawy warunków współpracy między resortami (np. nauki i zdrowia) i między instytucjami (np. instytutami badawczymi, uczelniami, instytutami PAN, insty-

tutami sieci badawczej Łukasiewicz itp.). W przepisach o finansowaniu szkół wyższych, PAN i innych jednostek badawczych powinny pojawić się zapisy regulujące skuteczną komercjalizację wyników prac badawczych – transfer wiedzy i technologii z jednostek sektora finansów publicznych, w celu ułatwienia i promocji innowacyjności. Obecne przepisy z zakresu komercjalizacji nie tylko nie są spójne, ale także nie są stosowane, ze względu na wątpliwości w ich interpretacji. W przypadku kontroli prowadzonych w jednostkach naukowych przez instytucje państwowe powinna zostać wprowadzona zasada akceptacji zwiększonego ryzyka, jakim obarczona jest ze swojej natury praca badawcza. Wszak rezultat projektu, a więc odpowiedź na wyjściowe pytanie, jest niewiadomą i nie może być przewidziany na etapie jego planowania. Jednocześnie powinny zostać przyjęte przepisy i wprowadzone praktyki zwiększonego zaufania wobec osób odpowiedzialnych za prowadzenie badań naukowych i podejmujących ryzyko w procesach komercjalizacji ich wyników. Odkryć naukowych nie da się zaplanować, dlatego bardzo dobre wnioski grantowe, jeśli mają doprowadzić do przełomu w badaniach naukowych lub/i przewagi rynkowej (a nie stanowiąc jedynie rozwinięcia badań już częściowo wykonanych), muszą być obciążone pewnym ryzykiem. Agencje grantowe przyznające fundusze na badania prowadzone w jednostkach naukowych lub na rozwój firm opartych na innowacyjnych wynikach badań naukowych powinny mieć prawo rozliczania grantów, w których założone cele badawcze nie zostały osiągnięte, pod warunkiem, że grantobiorca zachował należytą staranność w trakcie wykonywania projektu i dążył do ich uzyskania. Przepisy regulujące proces przetargów publicznych na rzecz badań naukowych powinny być bardziej czytelne, aby wyeliminować wątpliwości interpretacyjne kontrolerów w przy-

padkach wynikających z nieprzewidywalności i ryzyka związanego z działalnością naukową. Twierdzenie, że nic nie da się w tej kwestii poprawić, bo wiąże nas dyrektywa unijna, nie jest właściwym podejściem. Inne kraje, w których obowiązuje ta sama dyrektywa, radzą sobie z zamówieniami publicznymi dotyczącymi nauki dużo lepiej.

Skończyć z oceną parametryczną, która stymuluje „punktozę”

Wysokość nakładów finansowych na badania naukowe i szkolnictwo wyższe pochodzących z budżetu państwa (bez funduszy unijnych) powinna wynosić przynajmniej 2% PKB (a docelowo nawet 3%) i obejmować mniej więcej w równym stopniu zarówno granty przyznawane w systemie konkursowym na indywidualne projekty badawcze (włącznie z kosztami pośrednimi, które ponosi jednostka naukowa w trakcie wykonywania projektu, w wysokości ok. 25% wartości grantu), jak i fundusze przeznaczone na rozwój naukowy instytucji badawczych i szkół wyższych, fundusze na infrastrukturę badawczą oraz wspomaganie wdrożeń. Ta pozagrantowa część środków powinna trafiać do jednostek naukowych za pośrednictwem dystrybuowanych w konkursach strumieni finansowania – funduszy celowych.

Wysokość **funduszu rozwojowego** powinna być proporcjonalna do środków finansowych uzyskanych przez pracowników danej jednostki w formie grantów NCN, przy założeniu, że współczynnik sukcesu w konkursach NCN wynosi przynajmniej 25%. Przy tej okazji chciałbym podkreślić, że zgadzam się z pozytywną oceną działalności NCN przedstawioną przez prof. Michała Tomzę (FA 2/23). To jest jedna z nielicznych instytu-

cji naukowych w Polsce, która skutecznie czuwa nad jakością uprawiania badań w naszym kraju. Ten rodzaj dofinansowania powinien służyć temu, żeby np. kierownikowi jednostki opłacało się zatrudnić nowych dobrych pracowników naukowych lub zwiększyć wynagrodzenia już zatrudnionych w jednostce, pozyskujących dla jednostki nowe fundusze zewnętrzne. Oznaczałoby to, że ta część funduszy na naukę, która dawniej była nazywana dotacją na działalność statutową, byłaby pośrednio dystrybuowana przy pomocy metody peer review (którą stosuje NCN), a nie systemu punktacji za publikacje, monografie czy inne osiągnięcia naukowe. Trzeba skończyć z tzw. oceną parametryczną, która stymuluje „punktozę” i nie ma wiele wspólnego z oceną jakości nauki. Zmusza też naukowców do pisania obszernych, nie zawsze merytorycznych sprawozdań, a instytucje zmusza do tworzenia oceniających je komisji. Proponowany system mógłby obowiązywać po 2026 r., gdy zakończy się rozpoczęta już ocena parametryczna.

Aby jednak z „punktozą” nie przejść w „grantozę”, musimy zapewnić stabilność finansowania ośrodków badawczych, działających zgodnie z najwyższymi standardami. Służyć temu powinien m.in. **fundusz wspierający centra doskonałości naukowej**, finansujący powstawanie Centrów Doskonałości Naukowej (CDN), które uzyskiwałyby ten status na 10 lat, pod warunkiem pozytywnej oceny po 5 latach. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej (w ramach programu MAB), a także inne instytucje (np. program Dioscuri NCN i Towarzystwa Maxa Plancka czy centra doskonałości naukowej powstające w niektórych uczelniach w ramach programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza/IDUB) rozpoczęły już realizację takich programów. Ta inicjatywa jest niezbędna, by przyciągać do Polski



Fot. Stefan Ciechan

talenty z całego świata oraz tworzyć masę krytyczną naukowców, pracujących nad nowymi kierunkami badań, dzięki czemu możliwe stanie się uzyskanie przewagi konkurencyjnej w skali nauki światowej.

W każdym regionie kilka dobrych uczelni akademickich

Osobny fundusz celowy powinien wspierać badania wykonywane w szkołach doktorskich (**fundusz wspierający najlepsze szkoły doktorskie**). Uczelnie, w których będą działać CDN, i które w otwartych konkursach uzyskają dodatkowe fundusze na swoje szkoły doktorskie, powinny mieć większe szanse na uzyskanie dodatkowych znaczących środków na swoją działalność (kontynuacja programu IDUB, **fundusz IDUB**).

Jeszcze inna konkursowa ścieżka finansowania (**fundusz konsolidacyjny**) powinna być uruchomiona w celu konsolidacji mniejszych uczelni, w tym na rozwój naukowy silnych stron szkół wyższych powstałych w wyniku restrukturyzacji. Obecnie niedostateczne finansowanie ponad 130 polskich uczelni publicznych doprowadza powoli do ich zapaści. Dzięki programowi konsolidacji możemy mieć w każdym regionie kilka dobrych uczelni akademickich zamiast kilkudziesięciu niedużych szkół wyższych oszukujących studentów, że uczą ich cokolwiek przydatnego na rynku pracy.

Osobną konkursową ścieżką finansowania (**fundusz inwestycyjny**) powinien być fundusz pozwalający na zakup unikalnej aparatury badawczej, budowanie nowej infrastruktury, w tym na przykład tworzenie wirtualnych bibliotek, digitalizację zbiorów itp.

Fundusz wspierający tworzenie i utrzymanie centrów innowacji (CI) dbałby o skuteczny transfer wyników naukowych do społeczeństwa, w tym do gospodarki. Centra te powinny utrzymywać się z komercjalizacji, a także częściowo z kosztów pośrednich uzyskiwanych z grantów NCBR oraz dodatkowej dotacji udzielanej przez NCBR w wysokości proporcjonalnej do funduszy, które dana jednostka pozyskała z rynku.

Zmianie powinny ulec także organizacja i sposób zarządzania jednostek naukowych w Polsce. Musimy kontynuować reformę szkolnictwa wyższego. Moim zdaniem, rektor uczelni akademickiej powinien być wybierany przez radę uczelni, która z kolei jest wybierana przez jej Senat, po zasięgnięciu opinii tegoż Senatu. Decyzja o ewentualnym odwołaniu rektora powinna należeć do rady uczelni, ale po zasięgnięciu opinii Senatu. Struktura uczelni powinna być w gestii jej własnych decyzji. Po zastąpieniu stopnia doktora habilitowanego oraz tytułu naukowego profesora konkursami na stanowiska lidera zespołu naukowego i profesora uczelni, specjalna komisja powinna udzielać poszczególnym szkołom doktorskim uprawnienia do nadawania stopnia doktora w grupach dyscyplin naukowych, a najlepiej ocenianym szkołom doktorskim (i najszerzej działającym) – uprawnienia w zakresie nauki (ang. science) oraz humanistyki (ang. humanities). Tak jak w systemach anglosaskich, nauki społeczne powinny należeć do science. Instytuty Polskiej Akademii Nauk i międzynarodowe instytuty badawcze powinny poddawać międzynarodowej ocenie jakość badań w nich prowadzonych i po ewentualnej reorganizacji utworzyć nowe jednostki – Centra Doskonałości Naukowej (CDN), które będą ściśle współpracować ze szkołami wyższymi (wspólne uprawnienia do nadawania stopnia doktora) w zakresie rozwijania nowych wiodących kierunków badań naukowych, w których Polska ma szanse uzyskać przewagę konkurencyjną na świecie. Niektóre z tych jednostek mogą być zarządzane przez PAN (CDN PAN), pod warunkiem, że ona sama podda się głębokiej reformie. Jeśli by to nastąpiło, nie wykluczałbym osobnego strumienia finansowania CDN PAN,

analogicznie do finansowania instytutów należących do Towarzystwa Maxa Plancka.

Jednostki badawcze (sieć Łukasiewicz czy inne powstałe z dawnych JBR-ów), które jako cel swojego działania zdefiniują wdrażanie osiągnięć naukowych do gospodarki, powinny poddać się międzynarodowej ocenie jakości w zakresie skutecznej komercjalizacji i utworzyć centra innowacji, które będą ściśle współpracować ze szkołami wyższymi (wspólne uprawnienia do nadawania stopnia doktora), w zakresie wdrażania wyników badań naukowych do gospodarki (w tym także innowacji społecznych) w obszarach, w których Polska ma szanse uzyskać przewagę konkurencyjną nowych produktów lub usług na rynku globalnym.

Stosowanie merytorycznych kryteriów oceny wniosków

Zupełnie nową rolę w proponowanym przeze mnie systemie finansowania nauki powinno odgrywać NCBR. Z jednej strony, powinno finansować badania naukowe i rozwój w obszarach priorytetowych dla państwa (programy zamawiane). Ustalenie tych priorytetów powinni koordynować eksperci z zakresu nauki i innowacyjności doradzający rządowi. Wzorcową instytucją działającą w zakresie projektów zamawianych jest np. DARPA (Defense Advanced Research Projects Agency) w USA. Zanim firma lub uczelnia może starać się o pozyskanie finansowania w wysokości dziesiątek czy setek milionów dolarów, musi najpierw sprawdzić się w mniejszej skali – pozytywnie rozliczyć grant o znacznie mniejszej wartości. NCBR powinno także w osobnych otwartych konkursach przyznawać granty wraz z pomocą publiczną (zgodnie z prawem UE) przedsiębiorstwom, które samodzielnie lub we współpracy z jednostkami naukowymi wprowadzają nowe unikatowe technologie, mające szanse na uzyskanie przewagi konkurencyjnej na globalnym rynku.

Ważnym wyzwaniem systemu finansowania nauki w Polsce jest także stosowanie merytorycznych kryteriów oceny wniosków przez wszystkie instytucje dystrybuujące środki na badania, a także oparcie tego procesu na współpracy z niezależnymi ekspertami z całego świata posiadającymi wiedzę i doświadczenie w zakresie ocenianych wniosków, a jednocześnie niemającymi rzeczywistych i potencjalnych konfliktów interesu z wnioskodawcami. Ze względu na udział międzynarodowych ekspertów wnioski grantowe bezwzględnie powinny być przygotowywane w języku angielskim. Podnoszony przez przeciwników takiego rozwiązania argument, że osoba z zagranicy może ukraść pomysł wnioskodawcy, trudno jest przyjąć bez weryfikacji i osadzenia go w rzeczywistych zdarzeniach. Zarówno w Polsce, jak i w innych krajach przeważają uczciwi eksperci przestrzegający dobrych praktyk w zakresie zewnętrznej oceny wniosków o dofinansowanie (w tym deklaracji o zachowaniu poufności). To jest kwestia odpowiedniego doboru osób. Wiedzę i umiejętności rozpoznania rzetelnych specjalistów uzyskuje się po wielu latach pracy w międzynarodowym środowisku związanym z danym obszarem dziedzinowym. Na pewno złym systemem jest losowanie ekspertów spośród osób, które same się do tej roli zgłosiły. Świetnych merytorycznie i uczciwych ekspertów trzeba usilnie namawiać, aby zarejestrowali się w bazach polskich instytucji. System oceny peer review oparty na ocenie ekspertów jest trudny, pracochłonny i kosztowny, a także czasami zawodzi. Jednak, podobnie jak z demokracją, na którą czasem narzekamy, nie wymyśliłbym dotąd niczego lepszego.

Prof. Maciej Żylich, prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

Wojciech Czakon, Ewa Stańczyk-Hugiet

Mit interdyscyplinarności i problemy granic dyscyplin

Dyscyplina to nie nazwa, tylko społeczność badaczy uprawiająca dany obszar badań, to także społeczność uznanych autorytetów, recenzentów i mentorów. Postawienie badacza w sytuacji braku dotychczasowej dyscypliny to nie tylko problem tożsamości, ale przede wszystkim stabilności oraz rzetelności recenzji awansowych, grantowych i publikacyjnych.

Kolejne reformy nauki w Polsce wywołują debatę, a także obawy odnośnie do granic i tożsamości dyscyplin nauki. Regulacje prawne nie są rzeczą jasną jedynym powodem zmian granic dyscyplin. Przecież przyrost wiedzy manifestuje się nie tylko jej pogłębieniem w ramach istniejących dyscyplin, ale także pojawieniem się zupełnie nowych dyscyplin. O ile więc zmiany ustaw stanowią pojedyncze wydarzenia, które burzą dotychczasowy porządek, o tyle pamiętać trzeba, że ten porządek coraz rzadziej jest stały ze względu na twórczy wysiłek badaczy.

Tym ciekawsza i warta zastanowienia jest temperatura dyskusji, wówczas gdy zachodzą zmiany granic dyscyplin. Trudno się dziwić choćby z perspektywy „drugiej natury” człowieka: przyzwyczajenie do ustalonego porządku rzeczy zachęca do oporu wobec zmian. Występują jednak inne głębokie powody uzasadniające niepokój. Niektóre spośród nich lokujemy na poziomie instytucji, bowiem w wyniku zmian granic dyscyplin nagle się okazuje, że trzeba zmienić nazwę jednostek uczelni (wydziału, instytutu, dyscypliny), a także ich skład. Obserwowaliśmy ten proces w środowisku dwóch dyscyplin: nauk o zarządzaniu i jakości oraz ekonomii i finansów, które powstały z wcześniej istniejących czterech dyscyplin. Zmiany strukturalne są dalekie od fasadowości, bowiem wpływają na ewaluację, publikowanie, awanse i rozpoznawalność zewnętrzna.

Drugą fundamentalną przesłanką wysokiej temperatury dyskusji o granicach dyscyplin są sprawy indywidualne dla każdego naukowca, tj. awanse oraz pozyskiwanie finansowania na badania naukowe. Przesuwanie granic dyscyplin, ich łączenie, tworzenie czy likwidacja pozostawiają wiele osób bez dotychczasowych ram formalnych. A dyscyplina to nie nazwa, tylko społeczność badaczy uprawiająca dany obszar badań, to także społeczność uznanych autorytetów, recenzentów i mentorów. Postawienie badacza w sytuacji braku dotychczasowej dyscypliny to nie tylko problem tożsamości, ale przede wszystkim stabilności oraz rzetelności recenzji awansowych, grantowych i publikacyjnych.

Trzecią przesłanką gorącej debaty o dyscyplinach jest interdyscyplinarność, którą nazywamy w tytule i dalej w artykule

mitem. Interdyscyplinarność przypomina mit dlatego, że jest barwną opowieścią przedstawiającą wartość istotną dla pewnej grupy ludzi, która ułatwia wyjaśnienie decyzji o finansowaniu badań czy zmianie struktury instytucjonalnej nauki. Ułatwia także utrzymanie porządku społecznego. Przypomina mit także dlatego, że rzadko można jej doświadczyć, a znacznie częściej badacze natykają się na ujemne skutki prowadzenia badań interdyscyplinarnych.

Te trzy przesłanki, obok wielu innych, zachęcają do rozmowy o granicach dyscyplin, o tym co pomiędzy tymi granicami, o tym co poza tymi granicami. Zmierzamy do podkreślenia, że przełomowe osiągnięcia naukowe są współcześnie raczej udziałem całych zespołów badawczych. Zachodzą częściowo dla tych zespołów, które mają interdyscyplinarny, a szczególnie międzydziedzinowy skład. Natomiast droga interdyscyplinarności jest dogodna dla niewielu pojedynczych badaczy, bowiem choć daje obietnice wielkich sukcesów, to towarzyszy jej poważne ryzyko porażki.

Granice dyscyplin

Podział nauki na różne dyscypliny rozpoczął się w XIX wieku, kiedy to badania naukowe uznane zostały za integralną i znaczącą działalność w europejskim systemie uniwersyteckim. Współcześnie istnieje równoległe wiele podziałów na dyscypliny, które nie są stabilne w czasie. Na przykład tzw. „Frascati Manual” opracowany przez OECD został w roku 2007 zaktualizowany ze względu na pojawienie się nanotechnologii, biotechnologii oraz ICT. W rezultacie dokument ten, używany do celów statystycznych, wyodrębnia 42 dyscypliny pogrupowane w 6 dziedzin, przy czym w każdej z dziedzin występuje dyscyplina rezydualna „inne”. Z kolei na potrzeby finansowania badań europejskich ERC wyodrębnia 25 dyscyplin pogrupowanych w 3 tzw. panele. Na polskim gruncie Narodowe Centrum Nauki dostrzega 26 tzw. paneli dziedzinowych, pogrupowanych dalej w 3 duże jednostki (HS, ST i NZ). Ministerstwo Edukacji i Nauki widzi natomiast 7 dziedzin nauki obejmujących łącznie 44 dyscypliny, a także dziedzinę sztuki z 3 dyscyplinami, a ostatnio te liczby uległy zwiększeniu. Sprawy podziału nauki

na dziedzinie i dyscypliny komplikują się jeszcze bardziej, gdy uwzględnić wydawnictwa posługujące się własnymi klasyfikacjami, a także stowarzyszenia akademickie posiadające własną tradycję, nazwę i struktury wewnętrzne.

Klasyfikacje dyscyplin służą różnym celom (opisowym, decyzyjnym, wydawniczym, instytucjonalnym, społecznym). Wynika z tego po pierwsze, że są różne, po drugie, że są zmienne, a po trzecie czasem zanikają. Na przykład uchwała Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych z 23 kwietnia 2010 zmieniająca uchwałę w sprawie określania dziedzin nauki i dziedzin sztuki oraz dyscyplin naukowych i artystycznych („Monitor Polski” z 2010 r. nr 46, poz. 636) definiowała granice dyscyplin na potrzeby prawidłowego prowadzenia procedur awansowych. Obecnie ta uchwała już nie obowiązuje, a jej odpowiednika brak.

Zmiany granic dyscyplin mogą zachodzić wówczas, gdy: 1) pojawia się nowa dyscyplina wymagająca zdefiniowania obszaru badawczego, aparatu pojęciowego i metodycznego, a także odrębności wobec wcześniej istniejących dyscyplin; 2) ma miejsce łączenie dyscyplin w większe jednostki; 3) następują przemieszczenia problematyki pomiędzy dyscyplinami. W pierwszym przypadku sytuacja jest relatywnie łatwa, dlatego że poszukująca własnej tożsamości społeczność badaczy podkreśla swoją odrębność. Takie zjawisko miało miejsce, gdy dyscyplina nauki o zarządzaniu wyodrębniła się z nauk ekonomicznych. Po dekadach debat, rozwoju badań, przyrostu wiedzy oraz awansach badaczy jasne jest, że te dyscypliny więcej dzieli niż łączy. Analogiczne zjawisko zachodziło niedawno odnośnie do nanotechnologii, a w nieodległej przyszłości spodziewać się można wyodrębnienia dyscypliny badającej sztuczną inteligencję.

Drugi przypadek jest trudniejszy, dlatego że wskutek presji regulatora dotychczas odrębne społeczności znajdują się w jednej dyscyplinie. Zachodzą więc napięcia związane z poczuciem tożsamości dyscypliny, poczuciem krzywdy związanej z utratą autonomii decyzyjnej, poczuciem wpływu na rozwój dyscypliny. Niedawne połączenie nauk o zarządzaniu z dyscypliną towaroznawstwo jest jaskrawym przykładem takich napięć, tym silniejszych, że każda z dotychczasowych dyscyplin bardzo różniła się liczebnością badaczy, a różnicowanie wewnętrzne i tak już wcześniej rodziło tendencje odśrodkowe czy separacji.

Trzeci przypadek, przemieszczenia pomiędzy dyscyplinami, jest podobny do drugiego w wymiarze napięć związanych z poczuciem tożsamości. Ma też podobne rozwiązania w postaci rozwoju własnej tożsamości danej społeczności badaczy.

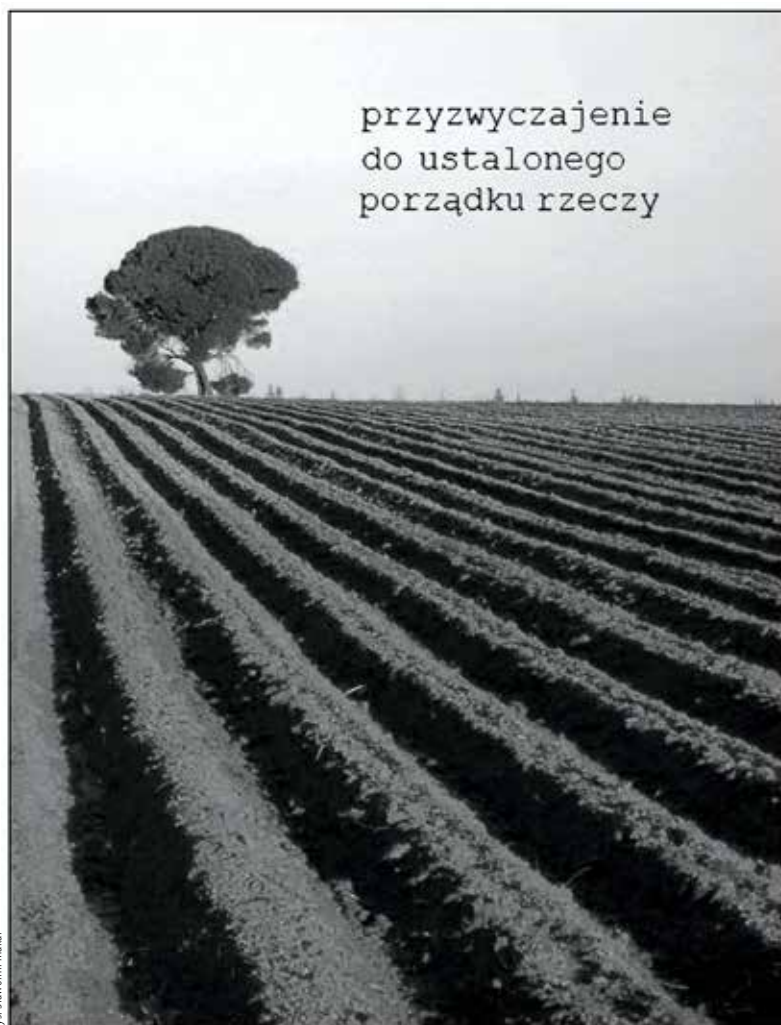
Problem deklaracji przynależności do dyscypliny

Trzeba przy tym pamiętać, że działalność badawcza to proces długotrwały, narastający, a wypracowane w wyniku wieloletniego rozwoju kultury wykształcone w ośrodkach akademickich mają trwały charakter. Naukowiec prowadzący badania ma głębokie przekonanie, w jakiej dyscyplinie te badania się lokuje. Wyrażają to problemy badawcze, stosowane metody, wyniki prowadzonych badań, akceptowane wydawnictwa publikujące osiągnięcia naukowe czy wreszcie środowisko, w którym badania są rozwijane, dyskutowane, krytykowane czy replikowane. Jednakże od czasu wprowadzenia tzw. konstytucji dla nauki obserwujemy w polskim środowisku akademickim niebezpieczne zjawisko, a mianowicie tzw. oświad-

czenia o dziedzinie i dyscyplinie. To rozwiązanie daje nieskrępowaną przestrzeń do samodzielnego decydowania, w jakiej to dyscyplinie badania pojedynczego naukowca się mieszczą. I ze zdumieniem odnotować można ośrodki „wiodące” w deklarowanych dyscyplinach, choć nie jest łatwo wskazać w nich osoby o znaczącym dorobku właściwym dla dyscypliny, które cieszą się uznaniem środowiska danej dyscypliny. Otworzyła się wobec tego droga do niczym nieskrępowanego woluntaryzmu, wzmocniona jeszcze niedostatkami listy czasopism punktowanych. Dość podkreślić, że oto uczelnie o profilu technicznym wykazały wiodące osiągnięcia w dyscyplinach z dziedziny nauk społecznych.

Ta niebezpieczna praktyka usankcjonowana wynikami niedawnej ewaluacji jednostek naukowych powoduje, że naukowcy, ba, nawet władze wydziałów czy dyscyplin na uczelniach, są przekonani, że to magiczne oświadczenie działa także w odniesieniu do postępowań o awans naukowy. I z niedowierzaniem i rozczarowaniem reagują na nierzadko negatywny przebieg procesu. Tymczasem w postępowaniach awansowych istotne znaczenie ma dorobek w dyscyplinie, a nie jednostronne oświadczenie niepoddawane jakiejkolwiek kontroli środowiskowej. Tymczasem np. dorobek chemika pozostanie w dyscyplinie chemia niezależnie od treści oświadczenia jego autora.

Rozpoznawalna tożsamość dyscyplinowa badacza nie zależy bowiem od złożonego oświadczenia. Nie zależy też od liczby punktów, które wypracował w procesie ewaluacji dla wybranej przez siebie (a może z przymusu instytucjonalnego) dyscypliny. Nie zależy w końcu od tego, jak wiele razy publicznie ogłosi, że widzi swoją przynależność w określonej dyscyplinie.



Rys. Sławomir Maja

Często nawet nie zależy od tego, co widzicie na uzyskanym dyplomie. Zależy natomiast od tego, jaki jest rzeczywisty autorzytet danego badacza w dyscyplinie, a ten determinowany jest znaczącym wkładem w rozwój dyscypliny, rozpoznawalnością jako eksperta w dyscyplinie. A także od tego, jaki jest rzeczywisty wkład badacza w funkcjonowanie, budowanie i integrowanie środowiska danej dyscypliny. Bo każda dyscyplina ma swoją tożsamość, klarowną i niezaprzeczną. I łatwo odróżnić przedstawiciela takiej dyscypliny od osoby uzurpującej sobie prawo do bycia członkiem takiej dyscypliny społeczności. Zresztą kwestia motywacji, którymi kierują się tacy uzurpatorzy, zasługują na osobną debatę.

Problem awansów w niejasnych granicach dyscyplin

Granice dyscyplin słusznie pobudzają wyobraźnię badaczy, dlatego że postęp wiedzy odbywa się albo poprzez lepsze zrozumienie tego, co znajduje się w centrum uwagi badawczej dyscypliny, np. organizacji, albo też poprzez przesunięcie granic badań np. z organizacji gospodarczych na wszystkie typy organizacji, a dalej na zjawiska międzyorganizacyjne (np. alianse) czy nawet metaorganizacyjne (np. kultury branżowe). O ile jednak w przypadku badań pogłębiających wiedzę badacz adresuje swoje wyniki do istniejącego odbiorcy-specjalisty, korzysta z komentarzy recenzentów-specjalistów i znajduje drogę do publikowania w czasopiśmie goszczącym daną tematykę, to w przypadku badań na granicach dyscyplin wyzwanie jest znacznie trudniejsze. Na przykład słynne badania roli więzi społecznych w znajdowaniu zatrudnienia Marka Granovettera publikowane były w czasopiśmie socjologicznych, cza-

sem w ekonomicznych, często w czasopiśmie nauk o zarządzaniu. Tam bowiem skutecznie poszukiwał recenzentów, redaktorów oraz czytelników swoich prac.

Granice dyscyplin tylko pozornie stanowią przedmiot jałowej debaty akademickiej czy biurokratycznych decyzji regulatora. Współczesna nauka opiera się na zasadzie oceny wyników, a dalej dorobku badaczy, przez innych badaczy. Fundamentalnym wyzwaniem jest zatem zapewnienie rzetelności tego procesu. Nie mamy tu na myśli debaty o stricte publikacyjnym peer review, ale znacznie szersze konsekwencje kierowania własnych prac albo wniosków awansowych do wspólnoty badawczej zajmującej się czymś innym. Taki zabieg rodzi trudność w doborze recenzentów, a wcześniej wyzwanie wzbudzenia zainteresowania przedstawicieli danej dyscypliny. Niedopasowanie w tym zakresie zwykle prowadzi do recenzji negatywnych, nawet na etapie redakcji (tzw. desk reject). W przypadku dorobku awansowego recenzenci oceniają wkład w rozwój dyscypliny, wobec czego nawet interesujący, rzetelny i ważny zbiór wyników nielokujący się w danej dyscyplinie prowadzić musi do oceny negatywnej. W rezultacie deklaracja przynależności do wybranej przez siebie dyscypliny nie przesądza o skuteczności starań o publikację, uzyskanie grantów czy awans naukowy.

Mitologia interdyscyplinarności

Silnie obecna w debacie publicznej teza o znaczeniu badań interdyscyplinarnych może być postrzegana jako sposób uniknięcia pułapek związanych z granicami dyscyplin. Deklaratywna interdyscyplinarność pozwalająca na wykraczanie poza granice jednej dyscypliny oznacza korzystanie ze zdobytych (najczęściej specyficznych metod) intelektualnych innych dyscyplin do realizacji specyficznego badania naukowego. Jednak efekty naukowe zasadniczo adresowane są wciąż tylko do jednej dyscypliny. Bowiem interdyscyplinarność wypełnia przestrzeń pomiędzy dwiema lub większą liczbą dyscyplin, czasami zachodząc na styku tych dyscyplin. Badania interdyscyplinarne, choć z perspektywy pojedynczego badacza ryzykowne, mają jednak znaczenie, otwierając przestrzeń do tworzenia nowych dyscyplin, o jednoznacznej tożsamości. To podróż w kierunku integrowania wiedzy i metod z różnych dyscyplin szczęśliwie prowadząca do celu – harmonijnego poskładania wiedzy z wielu dyscyplin w formie syntezy czy analizy. W efekcie badania interdyscyplinarne bardziej opierają się na zespole badawczym niż są efektem pracy badawczej pojedynczego naukowca, idea interdyscyplinarności wymusza wręcz takie podejście. To bardzo ważna okoliczność, bowiem w debacie o interdyscyplinarności pomija się poziom analizy, czyniąc ją ogólnikową. Tymczasem czym innym jest badanie interdyscyplinarne (poziom mikro), czym innym badacz interdyscyplinarny (poziom indywidualny), a czymś zupełnie innym interdyscyplinarny zespół badawczy (poziom mezo). W rezultacie prowadzi to do nieporozumień czy wręcz błędów w kształtowaniu ścieżek kariery, projektowaniu badań czy zmianianiu wewnętrznych struktur jednostek badawczych.

Czy badania multidyscyplinarne to rozszerzona wersja badań interdyscyplinarnych? Zdecydowanie nie. W takich badaniach trudno o dzielenie się wiedzą, trudno o efekt synergii. Zresztą wcale nie o to chodzi. To badania najczęściej prowadzone przez zespoły, których członkowie mają różne (jednodyscyplinarne) kompetencje wykorzystywane osobno. Każdy z nich wnosi do badania wiedzę ze swojej dyscypliny i wspól-

zachęca do oporu wobec zmian

NIE!

nie debatują nad problemem. Jednak wciąż każdy z perspektywy własnej dyscypliny. W wyniku takiego wysiłku badawczego badania multidyscyplinarne tworzą zbiór wspólnych osiągnięć dla wielu dyscyplin jednocześnie, użytecznych dla każdej z nich z osobna. Nie mają jednak atrybutu wypełnienia pustej dotychczas przestrzeni pomiędzy granicami dyscyplin, które to osiągnięcie jest charakterystyczne dla badań interdyscyplinarnych.

Obecnie obowiązujące regulacje w zakresie nadawania tytułu profesora coraz bardziej ośmielają naukowców do wnioskowania o nadanie tytułu np. w dwóch dyscyplinach, może nawet w większej liczbie. Co więcej jest to możliwe w odniesieniu do całej dziedziny. Podkreślić należy z całym przekonaniem, że stosowanie metod charakterystycznych dla danej dyscypliny w innej dyscyplinie nie jest wystarczające do twierdzenia, że dorobek pojedynczego naukowca lokuje się (i jest wybitny) w obu tych dyscyplinach. I choć ustawodawca dał tę możliwość, należy do niej podchodzić z ostrożnością, ważąc ryzyko i ewentualne korzyści. Z naciskiem na to pierwsze. Zarówno bowiem w przypadku badań interdyscyplinarnych, jak i multidyscyplinarnych pojawia się potrzeba różnorodności recenzentów pod względem kompetencji dyscyplinowych. Trudno bowiem wyobrazić sobie sytuację, w której nadaje się tytuł profesora w dwóch (lub więcej) dyscyplinach, a recenzenci reprezentują tylko jedną spośród nich. W przypadku badań interdyscyplinarnych potrzebne będzie dodatkowo uwzględnienie recenzentów posiadających kompetencje interdyscyplinarne. Takiej różnorodności recenzentów nie sposób zapewnić w obecnych warunkach prawnych. Jeśli nawet kandydaci na recenzentów w postępowaniu profesorskim będą reprezentowali odrębne dyscypliny, to ustawowy wymóg losowania recenzentów jest nieprzewidywalny. Nie służy to ani rzetelności, ani równości traktowania kandydatów do tytułu naukowego profesora. Gdyby odnieść tę wątpliwość do recenzji wniosków o finansowanie badań, to trzeba podkreślić, iż recenzentów takiego wniosku jest zwykle dwóch (rzadziej trzech lub czterech), a panel ekspertów ma ograniczoną liczebność. Oznacza to istotne ryzyko oceny wniosku grantowego przez niespecjalistów danej dyscypliny.

Nie sposób pominąć przełomowych odkryć, które wychodząc z jednej dziedziny, wpływają na inne albo też dzieją się pomiędzy tymi dziedzinami. Postęp diagnostyki obrazowej w medycynie zawdzięczamy twórczemu połączeniu przełomów w dziedzinie nauk technicznych oraz medycznych. Podobnie coraz śmielej w dziedzinę medycyny wchodzi robotyzacja, znów z dziedziny nauk technicznych. Przełomowe odkrycia nauk technicznych wpływają dalej na nauki społeczne, bowiem powstaje wiele pytań natury etycznej i prawnej odnośnie do możliwości robotów. Nie mniej pytań na temat robotyzacji wywołuje ostatnio algorytm sztucznej inteligencji chatGPT w zakresie jego wpływu na dziedzinę nauk społecznych, a także humanistycznych. Wobec tego, nawet jeśli przełomy następują w jednej tylko dziedzinie, to rosnący stopień komplikacji, a także coraz szybszy wpływ odkryć na ludzkość dzięki postępowi w zakresie komercjalizacji na wielką skalę, czyni z przełomów wyzwanie międzydziedzinowe.

Sprostanie temu wyzwaniu jest trudniejsze wówczas, gdy przedstawiciele jednych dziedzin stają przed postęпами innych dziedzin dlatego, że obserwują ich skutki. Ten sekwencyjny proces wymaga dłuższego czasu, a także zwiększonego wysiłku związanego ze zrozumieniem istoty odkryć innej dyscypliny. Ten wysiłek nie jest dany każdemu badaczowi, nie każdy ma komfort takiej refleksji, nie każdy też ma kompetencje niezbędne, by zrozumieć inne dziedziny. Dlatego alternatywna ścieżka, taka w której pracują całe międzydziedzinowe zespoły, jest bardziej atrakcyjna. Skracą czas przenikania postępów pomiędzy granicami dziedzin, pobudzają ciekawość badaczy ponad granicami

dziedzin, prowadząc do niespodziewanych przełomów. Sprzyjają temu wielkie programy przemysłowe lub badawcze. Przykładem są projekt Manhattan czy program Apollo, które łączyły dziesiątki, a później setki i tysiące specjalistów z wielu dyscyplin i dziedzin, pracujących w jednym wspólnym celu.

Podajemy te przykłady dlatego, że badania międzydziedzinowe są bardzo potrzebne, ogromnie przyspieszają rozwój wiedzy i zdolności ludzi. Ale jednocześnie wymagają ogromnych nakładów, dostępnych w znacznie dłuższym okresie czasu niż typowe w obecnym systemie finansowania nauki granty. Wymagają także wsparcia instytucjonalnego oraz kompetencji kierowania wielkimi zespołami badawczymi. Uważamy, że takie przedsięwzięcia są potrzebne, otwarłyby niedostępne obecnie możliwości rozwoju polskiej nauki i gospodarki. Jednocześnie jednak konstatujemy, że obecnie warunków do realizacji nawet pojedynczych programów międzydziedzinowych brak. Zarówno w sensie finansowym, instytucjonalnym, jak i regulacji dotyczących awansów naukowych.

Racjonalność i rozważa

Granice dyscyplin są więc nie tylko problemem definiowania warstwy merytorycznej badań naukowych. Dotyczą także warstwy tożsamości badacza, poczucia przynależności do określonej wspólnoty badaczy. Dobrze, gdy ta wspólnota buduje swoje poczucie tożsamości, gorzej, gdy to poczucie tożsamości tworzone jest w izolacji od nauki uniwersalnej. Trudno bowiem dyskutować z tym, że wiedza ludzka jest uniwersalna.

Teza o przełomowym znaczeniu badań interdyscyplinarnych jest prawdziwa, ale pod warunkiem dostępności odpowiednich zasobów (zespół, kierownictwo, środki finansowe). Co więcej, teza o badaniach interdyscyplinarnych kryje inną, ważniejszą, bowiem to badania międzydziedzinowe, na granicy nauk technicznych, społecznych, medycznych itd. przynosiły w XX wieku największe przełomy. Natomiast na poziomie indywidualnego badacza interdyscyplinarność wiąże się z bardzo wysokimi wymogami kompetencyjnymi (także współpracy z innymi badaczami, z innymi dyscyplin) oraz wysokim ryzykiem.

Działalność badawcza na uczelniach musi być realizowana w warunkach stabilnych i względnie znanych. Ciągłe zmiany zasad gry, manipulowanie zasadami, w tym w zakresie oceny jakości działalności naukowej, nie sprzyjają dobrej jakościowo nauce. Natomiast przyczyniają się często do poszukiwania dróg na skróty, by dobrze wypaść w tym jakże ważnym procesie oceny. Academia skupia się wówczas na kryteriach bardziej niż na rzetelnym realizowaniu zadań badawczych.

Nauka to poznawanie i wyjaśnianie rzeczywistości. To kształtowanie wiedzy w sposób naukowy. Racjonalność jest ważną cechą badań naukowych. Wierzymy, że taka racjonalność będzie nadal towarzyszyć poznaniu naukowemu, a badacze z rozważą dokonywać będą wyborów w zakresie ścieżki awansów, z ostrożnością godną badacza wnioskować będą o znaczeniu efektów swoich badań dla właściwej dyscypliny oraz z dystansem i powściągliwie, ale i z refleksją godną badacza przyjmą tezę o micie interdyscyplinarności jako zjawiska powszechnego i dostępnego dla pojedynczego badacza. Mamy naturalnie w pamięci, że dyscypliny są coraz bardziej inkluzywne, a ich pojemność zmienna. I choć fragmentacja nauki w postaci dyscyplin sprzyja wyznaczaniu ich granic, to niekoniecznie prowadzi do znaczących przełomów naukowych.

Prof. dr hab. Wojciech Czakon, kierownik Katedry Zarządzania Strategicznego, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Prof. dr hab. Ewa Stańczyk-Hugiet, prorektor ds. Badań i Rozwoju Kadry Akademickiej, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu

Ewa Ingeborga Kotwica

Pokrzywdzony a postępowanie dyscyplinarne w sprawie o plagiat

Rola pokrzywdzonego w postępowaniach dyscyplinarnych nauczycieli akademickich jest marginalizowana.

Niemal każdy z nas ma za sobą doświadczenia związane z nagłym zderzeniem się teorii z praktyką czy przepisów z rzeczywistością. Rozbieżności te odczuwa się tym dotkliwiej, im bardziej obszar, na którym występują, powiązany jest z kwestiami etyki, zaufania społecznego i/lub dotyczy spraw delikatnych czy osób mniej lub bardziej bezbronnych. Decyzja o przedstawieniu kwestii pokrzywdzonego w postępowaniu dyscyplinarnym nauczycieli akademickich i jego (często nierepektowanych) praw powiązana jest z moimi doświadczeniami i trwającą od ponad czterech lat walką o doprowadzenie do działań teoretycznie zagwarantowanych przez przepisy. Mam nadzieję, że zebrane informacje pomogą takim jak ja pokrzywdzonym przejść przez poszczególne etapy postępowania dyscyplinarnego z zachowaniem i egzekwowaniem należnych praw.

Jeżeli przyjrzymy się zapisom najważniejszego aktu prawnego, jakim jest Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, zobaczymy, że w art. 45 stanowi ona:

„1. Każdy ma prawo do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki przez właściwy, niezależny, bezstronny i niezawisły sąd.

2. Wyłączenie jawności rozprawy może nastąpić ze względu na moralność, bezpieczeństwo państwa i porządek publiczny oraz ze względu na ochronę życia prywatnego stron lub inny ważny interes prywatny. Wyrok ogłaszany jest publicznie”.

Na początku zaś Ustawy o szkolnictwie wyższym wskazano:

„Uznając, że dążenie do poznania prawdy i przekazywanie wiedzy z pokolenia na pokolenie jest szczególnie szlachetną działalnością człowieka oraz dostrzegając fundamentalną rolę nauki w tworzeniu cywilizacji, określa się zasady funkcyjono-

wania szkolnictwa wyższego oraz prowadzenia działalności naukowej w oparciu o następujące pryncypia:

(...)

– *każdy uczony ponosi odpowiedzialność za jakość i rzetelność prowadzonych badań oraz za wychowanie młodego pokolenia”.*

Brzmi dobrze, ale... Jest to część pięknej teorii. Jak ta teoria oraz równie dobrze brzmiące niektóre inne zapisy Ustawy o szkolnictwie wyższym, rozporządzenia dotyczącego postępowań dyscyplinarnych i kpk wypadają w zestawieniu z rzeczywistością? Moje osobiste doświadczenia z trwającej cztery i pół (!) roku batalii z plagiatorami i jego macierzystą Politechniką Poznańską, a później z Komisją przy RGNiSW wskazują, że drogi teorii oraz praktyki w tym zakresie przebiegają w Polsce na mapie życia w zupełnie innych miejscach i jakoś trudno im się spotkać. W niniejszym artykule postaram się przybliżyć najistotniejsze przepisy, o których musi wiedzieć każdy pokrzywdzony w postępowaniach dyscyplinarnych dotyczących nauczycieli akademickich, by móc bronić swoich spraw i nie dopuścić do „zamiecienia sprawy pod dywan”.

Pokrzywdzony nie jest stroną

Postępowanie dyscyplinarne nauczycieli akademickich regulowane jest przez zapisy Ustawy o szkolnictwie wyższym (dalej zwanej ustawą o SW) oraz aktu wykonawczego w postaci Rozporządzenia w sprawie szczegółowego trybu prowadzenia mediacji, postępowania wyjaśniającego i postępowania dyscyplinarnego w sprawach odpowiedzialności dyscyplinarnej nauczycieli akademickich, a także sposobu wykonywania kar dyscyplinarnych i ich zatarcia. Natomiast w sprawach

nieuregulowanych ustawą o SW zastosowanie mają zapisy kodeksu postępowania karnego – i to postanowienie, zawarte w art. 305 ustawy o SW, ma dla pokrzywdzonych szczególne znaczenie.

Warto też wspomnieć, że rola pokrzywdzonego w postępowaniach dyscyplinarnych różni się w poszczególnych dziedzinach. Jeśli porównamy np. postępowania dyscyplinarne w sprawach adwokatów z postępowaniami dyscyplinarnymi dotyczącymi nauczycieli akademickich, zobaczymy istotną różnicę. Otóż zgodnie z art. 93 Ustawy o adwokaturze pokrzywdzony w postępowaniu dyscyplinarnym dotyczącym adwokatów jest stroną. Tymczasem w postępowaniu dyscyplinarnym dotyczącym nauczyciela akademickiego pokrzywdzony jest od pięciu lat stroną wyłącznie w postępowaniu przygotowawczym.

W tym zakresie rzeczywiście w Ustawie o SW obowiązującej od 1.10.2018 r. (zmiana z 13.01.2023 r. nie dotyczy kwestii pokrzywdzonych) przyznano pokrzywdzonemu jakieś prawa (ustawa o SW z 2005 r. takich zapisów nie zawierała). Niestety jednocześnie w akcie wykonawczym do ustawy w zakresie postępowania dyscyplinarnych zlikwidowano zapisy korzystne dla pokrzywdzonych.

Przeanalizujmy więc zapisy ustawy o SW (obecnie obowiązującej) powiązane z sytuacją pokrzywdzonego. Poza artykułami wymienionymi poniżej, ustawa o SW przywołuje pokrzywdzonego w kontekście zasad prowadzenia mediacji. Zaznaczam, że jestem inżynierem, nie prawnikiem – i to jest moja interpretacja – ale mediacje dotyczą sytuacji, w której zaistniał spór między pokrzywdzonym a sprawcą. Tymczasem plagiat jest sytuacją zero-jedynkową. Pan X napisał i opublikował tekst, a pan Y opublikował go później, w innym periodyku, przypisując sobie autorstwo i prawa autorskie. Tu nie ma więc miejsca na spór, to kradzież.

Art. 286, p. 1: „Stronami w postępowaniu wyjaśniającym są osoba, której czynu dotyczy postępowanie wyjaśniające, i **pokrzywdzony lub osoba, która zawiadomiła o popełnieniu czynu mającego znamiona przewinienia dyscyplinarnego**”. Tym samym ustawa o SW przyznaje prawo strony pokrzywdzonemu w postępowaniu wyjaśniającym.

Art. 289, p. 1: „Na postanowienie o umorzeniu postępowania wyjaśniającego, w terminie 14 dni od dnia jego doręczenia, osobie, której czynu dotyczy to postępowanie, **osobie, która zawiadomiła o popełnieniu czynu mającego znamiona przewinienia dyscyplinarnego, pokrzywdzonemu** oraz organowi, który polecił rozpoczęcie prowadzenia sprawy, przysługuje zażalenie do właściwej komisji dyscyplinarnej”.

Art. 292, p. 1: „Stronami w postępowaniu dyscyplinarnym są obwiniony i rzecznik dyscyplinarnej”. Oznacza to, że ustawa o SW eliminuje występowanie pokrzywdzonego jako takiego w postaci strony w postępowaniu dyscyplinarnym.

Art. 293, p. 5 wskazuje, że rozprawa dyscyplinarna jest jawna między innymi dla pokrzywdzonego. Tu nasuwa się jednak pytanie, skąd pokrzywdzony ma wiedzieć o terminie i miejscu rozprawy, skoro (patrz niżej, zestawienie zapisów rozporządzenia) został wyeliminowany z grona osób zawiadamianych o tejsze rozprawie?

Art. 295 p. 1: „Od orzeczenia komisji dyscyplinarnej, o której mowa w art. 279 pkt 1, stronom przysługuje odwołanie do komisji dyscyplinarnej przy ministrze, w terminie 14 dni od dnia doręczenia orzeczenia wraz z uzasadnieniem”. Pokrzywdzony nie został więc wymieniony wśród uprawnionych do złożenia odwołania, wymienione natomiast zostały „strony”, co w kontekście przywołanego niżej kpk ma istotne znaczenie.

Art. 299, p. 1: „Komisja dyscyplinarna doręcza orzeczenie wraz z uzasadnieniem stronom postępowania i przekazuje je rektorowi uczelni zatrudniającej nauczyciela akademickiego

oraz ministrowi, w terminie 30 dni od dnia jego wydania”. Niestety i w tym artykule pominięto pokrzywdzonego wśród uprawnionych do otrzymania odpisu orzeczenia, przywołano zaś „strony”.

Art. 305: „Do postępowania w sprawach odpowiedzialności dyscyplinarnej nauczycieli akademickich, w zakresie nieuregulowanym w ustawie, stosuje się odpowiednio przepisy ustawy z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks postępowania karnego”.

Aby zostały uwzględnione interesy pokrzywdzonego

Jak wspomniałam już wyżej, treść tego ostatniego Artykułu (305) jest niezwykle istotna dla pokrzywdzonych.

Art. 2. § 1. Kodeksu postępowania karnego wskazuje: „Przepisy niniejszego kodeksu mają na celu takie ukształtowanie postępowania karnego, aby: (...) p. 3) **zostały uwzględnione prawnie chronione interesy pokrzywdzonego przy jednoczesnym poszanowaniu jego godności**”.

Zgodnie z kpk pokrzywdzony ma prawo m.in. do: uczestnictwa w rozprawie i pozostawania na sali nawet jeśli zostaje wezwany jako świadek (art. 384 § 2 kpk), Kpk obowiązuje też w art. 350 § 4 do zawiadomienia pokrzywdzonego o terminie i miejscu rozprawy, otrzymania odpisu każdego orzeczenia – Art. 157 § 1: „Stronom oraz osobom, których orzeczenie bezpośrednio dotyczy, należy na ich żądanie nieodpłatnie wydać jeden uwierzytelniony odpis każdego orzeczenia. Odpis wydaje się z uzasadnieniem, jeżeli je sporządzono”. Pokrzywdzony w postępowaniu dyscyplinarnym nauczycieli akademickich jest ewidentnie osobą, której orzeczenie bezpośrednio dotyczy. Pokrzywdzony ma również prawo do wejścia w rolę oskarżyciela posiłkowego, o czym traktuje Rozdział 5. Ponieważ ustawa o SW, wskazując w Art. 305 zastosowanie kpk w sprawach nieuregulowanych ustawą o SW, nie wyklucza artykułów znajdujących się w rozdziale 5 kpk, mają one więc jak najbardziej zastosowanie. Oskarżyciel posiłkowy zaś staje się stroną i może korzystać ze wszystkich uprawnień przewidzianych dla stron. Mając na uwadze przywołanie zapisów kpk w ustawie o SW, należy stwierdzić, że w tym świetle **obowiązkiem rzecznika dyscyplinarnego jest pouczenie pokrzywdzonego przed rozprawą dyscyplinarną, że może wejść w rolę oskarżyciela posiłkowego, składając stosowne oświadczenie pisemnie lub ustnie podczas rozprawy**.

Dodatkowo Art. 304 kpk § 2 wskazuje: „Instytucje państwowe i samorządowe, które w związku ze swą działalnością dowiedziały się o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu, są obowiązane niezwłocznie zawiadomić o tym prokuratora lub Policję”. Rektor uczelni, będąc przedstawicielem instytucji państwowej, jest zatem zobowiązany dokonać stosowanego zawiadomienia.

Aktami wykonawczymi do ustaw są rozporządzenia i taki akt został również ogłoszony do ustawy o SW w zakresie postępowania dyscyplinarnych. W stanie prawnym na kwiecień 2023 jest to Rozporządzenie z dnia 8 czerwca 2022 r.

Ponieważ w czasie, w którym musiałam zainteresować się przepisami dotyczącymi plagiatów, obowiązywało jeszcze Rozporządzenie z dnia 17.10.2014 r. przywołam również i jego postanowienia. Być może komuś przydadzą się zapisy i tego aktu, wszak sprawy dyscyplinarne związane z plagiatami toczą się często wyjątkowo długo.

W Rozporządzeniu z dnia 17.10.2014 r. (w sprawie szczegółowego trybu postępowania wyjaśniającego i dyscyplinarnego prowadzonego wobec nauczycieli akademickich oraz sposobu wykonywania i zatarcia kar dyscyplinarnych w postępowaniu dyscyplinarnym) znajdowały się zapisy, które nakazywały przesłanie pokrzywdzonemu odpisu postanowienia oraz zawiadomienie go o rozprawie. Zasady te obowiązywały na etapie postępowania zarówno przed komisją dyscyplinarną uczelni, jak i przy RGNiSW.

W § 19. p. 3 wskazywano, że odpisy postanowień zapadłych podczas niejawnego posiedzenia składu orzekającego, traktujących o wyznaczeniu terminu rozprawy lub przekazaniu sprawy rzecznikowi dyscyplinarnemu w celu uzupełnienia postępowania wyjaśniającego, albo umorzeniu postępowania dyscyplinarnego, doręcza się między innymi pokrzywdzonemu.

§ 21. p. 1 wskazywał, że przewodniczący składu orzekającego ma obowiązek zawiadomienia na piśmie o terminie i miejscu rozprawy między innymi pokrzywdzonego.

§ 40 p. 4 wskazywał: „Orzeczenie komisji przy Radzie wraz z uzasadnieniem doręcza się stronom, obrońcy obwinionego, zawiadamiającemu, pokrzywdzonemu”.

W § 41 natomiast wskazano, że do postępowania przed komisją przy radzie (a więc do postępowania odwoławczego od decyzji uczelnianej komisji dyscyplinarnej) stosuje się odpowiednio zapisy między innymi paragrafów 19 i 21 wskazanych wyżej.

Tym samym akt wykonawczy do Ustawy o szkolnictwie wyższym w brzmieniu obowiązującym do września 2018 r. wyraźnie określał obowiązki prowadzących postępowanie dyscyplinarne wobec pokrzywdzonego.

Negatywne skutki dla pokrzywdzonych

Kolejne Rozporządzenie z 25.09.2018 r. w sprawie szczegółowego trybu prowadzenia mediacji, postępowania wyjaśniającego i postępowania dyscyplinarnego w sprawach odpowiedzialności dyscyplinarnej nauczycieli akademickich, a także sposobu wykonywania kar dyscyplinarnych i ich zatarcia zawierało odmienne treści do poprzedniego, wyżej opisanego. W rozporządzeniu tym: w § 10 wskazano obowiązek poinformowania pokrzywdzonego i/lub zawiadamiającego o wszczęciu postępowania wyjaśniającego, w § 13 wskazano obowiązek poinformowania pokrzywdzonego o umorzeniu postępowania wyjaśniającego, rozbito § 19 na dwie części, co samo w sobie jest bez znaczenia. Istotne natomiast jest usunięcie pokrzywdzonego z grona uprawnionych do otrzymania odpisu postanowienia, co rodzi negatywne skutki dla pokrzywdzonych. Negatywnym skutkiem jest nie tylko sam fakt braku przekazania odpisu postanowienia, ale i wszystkie konsekwencje braku wiedzy pokrzywdzonego o stanie sprawy. W § 21 pominięto pokrzywdzonego w grupie osób i instytucji zawiadomionych o rozprawie dyscyplinarnej.

Tak więc obowiązki informacyjne w stosunku do pokrzywdzonego, wymienione w Rozporządzeniu z 25.09.2018 r., prowadzą się wyłącznie do postępowania wyjaśniającego. Furtkę do otrzymywania informacji na bieżąco w kolejnych etapach postępowania otwiera jedynie kpk.

Rozporządzenie z 8 czerwca 2022 r. nie różni się wiele od tego z 25.09.2018 r. w zakresie praw pokrzywdzonego. W § 11 wskazano obowiązek poinformowania pokrzywdzonego i/lub zawiadamiającego o odmowie wszczęcia postępowania wyjaśniającego, w § 12 wskazano obowiązek poinformowania pokrzywdzonego i/lub zawiadamiającego o wszczęciu postępowania wyjaśniającego, w § 15 wskazano obowiązek poinformowania pokrzywdzonego o umorzeniu postępowania wyjaśniającego.

I to tyle. Poza wskazanymi wyżej paragrafami pokrzywdzony w rozporządzeniu pojawia się wyłącznie w kontekście mediacji oraz kwestii związanych z ewentualnym wykluczeniem rzecznika dyscyplinarnego.

Podsumowując wskazane zapisy ustawy o SW i właściwego rozporządzenia, wskazać można między innymi następujące fakty:

– Występuje sprzeczność zapisów Rozporządzenia z 08.06.2022 r. (w sprawie szczegółowego trybu prowadzenia

mediacji, postępowania wyjaśniającego i postępowania dyscyplinarnego w sprawach odpowiedzialności dyscyplinarnej nauczycieli akademickich, a także sposobu wykonywania kar dyscyplinarnych i ich zatarcia) z ustawą o SW.

– Artykuł 293 obowiązującej ustawy o SW wskazuje, że rozprawa jest jawna dla pokrzywdzonego, tymczasem rozporządzenie wykluczyło pokrzywdzonego z grona osób zawiadamianych o rozprawie oraz uprawnionych do otrzymania odpisu postanowienia składu orzekającego. Jak więc pokrzywdzony ma mieć możliwość uczestnictwa w jawnej dla niego rozprawie, skoro nie są mu przekazywane informacje w tej kwestii?

– Rozporządzenie wskazuje jako strony obwinionego oraz rzecznika dyscyplinarnego. W odróżnieniu od procesów przed sądami powszechnymi, w których interesy pokrzywdzonego reprezentuje prokurator, w postępowaniach dyscyplinarnych stroną przeciwną do obwinionego jest rzecznik dyscyplinarny, wywodzący się z tej samej uczelni co obwiniony. Jeżeli do tego faktu doda się inny, – że często obwiniony jest postawiony znacznie wyżej w hierarchii uczelnianej niż pokrzywdzony – może się okazać, że solidarność osób z wyższymi stopniami naukowymi weźmie górę nad obroną praw pokrzywdzonego. Oportunizm i nieprawidłowości mają miejsce zarówno w postępowaniach prowadzonych przez komisję dyscyplinarną na uczelni, jak i przy RGNiSW.

– W rozporządzeniu brak nawet jednoznacznie określonej możliwości wejścia pokrzywdzonego w czynną rolę procesową – oskarżyciela posiłkowego. Co prawda art. 305 Ustawy o szkolnictwie wyższym wskazuje kpk, nie wykluczając artykułów dotyczących oskarżycieli posiłkowych, ale najczęściej pouczenie pokrzywdzonego w tym zakresie nie jest realizowane, a osoby pokrzywdzone, nie będąc prawnikami, nie mają wiedzy o tym uprawnieniu.

Zestawione powyżej przepisy pokazują, że rola pokrzywdzonego w postępowaniach dyscyplinarnych nauczycieli akademickich jest marginalizowana. Jeśli zestawimy to z wyraźnym oportunizmem rzeczników dyscyplinarnych i członków składów orzekających Komisji Dyscyplinarnej przy RGNiSW w zakresie wszczynania i prowadzenia postępowań dotyczących plagiatów, okaże się, że stwierdzenie red. Marka Wrońskiego „vivant plagiatores” dotyczy bujnie rozwijającej się praktyki. W moim przypadku (finalnie prawomocnie uznanego plagiatu) pierwszy z rzeczników dyscyplinarnych Politechniki Poznańskiej w osobie prof. J. Pernaka raczył odmówić wszczęcia postępowania w sprawie plagiatu popełnionego przez dr. hab. inż. Tomasza Błaszczynskiego na moją niekorzyść, twierdząc, że jakoby „środowisko akademickie nie akceptuje cytowania artykułów o charakterze informacyjnym, reklamowym czy popularnonaukowym w monografiach i pracach naukowych”, dlatego nie mogę domagać się cytowania mojego artykułu w monografii naukowej. Tego, że nie domagałam się cytowania, a ukarania osoby, która przypisała sobie autorstwo i prawa autorskie do mojego artykułu, wprowadzonego przez dr. hab. inż. T. Błaszczynskiego bez mojej wiedzy i zgody do pozycji *Dachy. Podstawy projektowania i wykonawstwa*, rzecznik nie zauważył. Obowiązków, jakie nakłada na niego ustawa o SW w przypadku dotyczącym przywłaszczenia autorstwa i naruszenia cudzych praw autorskich przez nauczyciela akademickiego, również nie. Postępowanie zostało wszczęte dopiero w wyniku mojego odwołania i interwencji Komisji ds. Etyki w Nauce PAN, którą równolegle zawiadomiłam, ale o tym w kolejnym artykule, w którym postaram się też zestawić wskazówki dla pokrzywdzonych w postępowaniach dyscyplinarnych, zwłaszcza tych dotyczących plagiatów.

Mgr inż. Ewa Ingeborga Kotwica

Pedagogika specjalna i „upośledzona” nauka

W tabelach zapożyczeń są niezbite dowody na to, że w książce nie tylko jest kilkadziesiąt stron plagiatu naukowego, ale także zostały sfabrykowane dane badawcze.

W końcu grudnia 2022 r. Oficyna Wydawnicza IMPULS w Krakowie wydała zapowiadaną od dwóch lat książkę o seksie osób niepełnosprawnych intelektualnie. Pierwotny tytuł, reklamowany w 2021 roku przez różne księgarnie internetowe, brzmiał *Portrety seksualności. Rozmowy o seksie kobiet i mężczyzn z niepełnosprawnością intelektualną*. Jednak zmieniono go (bez zmiany ilustracji na okładce) i w styczniu 2023 r. do sprzedaży trafiła książka *CripSex. Ekspresje seksualne osób z niepełnosprawnością intelektualną*. (*Crip* jest nieco obraźliwym skrótem od angielskiego słowa *cripple* – kaleka, w przeciwieństwie do słowa *disabled*, czyli upośledzony albo niepełnosprawny – MW). Autorem monografii jest 43-letni dr hab. Remigiusz Kijak, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, zatrudniony w Katedrze Biomedycznych Podstaw Rozwoju i Seksuologii (kierownik: prof. Zbigniew Izdebski) Wydziału Pedagogicznego. Prof. Kijak pracuje także na drugim etacie w Instytucie Pedagogiki Uniwersytetu Rzeszowskiego, gdzie kieruje Zakładem Badań nad Niepełnosprawnością Intelektualną.

Remigiusz Kijak magisterium z pedagogiki specjalnej ukończył w 2004 r. z dyplomem 10. najlepszego studenta w Polsce – „Primus inter pares” – na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Tam też w 2009 r. obronił doktorat z pedagogiki (*Styl wychowawczy rodziców a doświadczenia seksualne młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym*) pod opieką naukową prof. Krystyny Marzec-Holki (zmarła 22 lutego 2023 r.). Recenzentami rozprawy byli: prof. Stanisław Kowalik i prof. Zbigniew Izdebski. W 2010 r. zaczął pracę jako adiunkt w Instytucie Pedagogiki Specjalnej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Habilitował się, mając 36 lat, w 2016 r. w Uniwersytecie Warszawskim na podstawie dorobku i monografii *Dorośli z głębszą niepełnosprawnością intelektualną jako partnerzy, małżonkowie i rodzice*. Recenzentami przewodu habilitacyjnego byli: jego obecny przełożony, prof. Zbigniew Izdebski (to konflikt interesów, gdyż jako recenzent doktoratu powinien odmówić recenzowania habilitacji, zgodnie z wymaganiami ówczesnej Centralnej Komisji), prof. Małgorzata J. Sekułowicz i prof. Zenon S. Gajdzica.

Od 1 X 2017 r. R. Kijak podjął pracę na UW na zaproszenie prof. Zbigniewa Izdebskiego, wybitnego badacza seksual-

ności o dużej renomie międzynarodowej. Już wtedy intensywnie budował swoją pozycję naukową, m.in. zostając redaktorem naczelnym kwartalnika naukowego „Niepełnosprawność i Rehabilitacja” (70 pkt. MEiN), wydawanego przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych w Warszawie. Jest członkiem Rady Naukowej rocznika „Journal of Sexual and Mental Health” (40 pkt. MEiN), wydawanego przez Wydawnictwo Via Medica. Zaangażował się także w warszawski Teatr 21, w którym występują aktorzy z zespołem Downa i autyzmem. Rok temu grał w sztuce *Libido romantico*, o której napisano: „inspirując się poezją Adama Mickiewicza, opowiada o miłości, seksualności, niepełnosprawności i społecznym wykluczeniu”.

Tak długo i głośno zapowiadana książka zyskała zainteresowanie wielu naukowców i osób zajmujących się niepełnosprawnością intelektualną. W styczniu 2023 r. wydawca odebrał 300 egzemplarzy książki z drukarni (200 egz. zamówił UW, a 100 sztuk dodruku wykonano na zamówienie autora). Książkę od razu skierowano do sprzedaży. Przekazano też ok. 30 egzemplarzy nakładowi autorowi.

Dr hab. Dorota Krzezińska, profesor Uniwersytetu Gdańskiego z Zakładu Pedagogiki Specjalnej Instytutu Pedagogiki Wydziału Nauk Społecznych, książkę dostała w połowie stycznia od koleżanki. Sama zajmowała się badaniami na tym polu i w 2019 r. ukazała się jej monografia habilitacyjna *Być parą z niepełnosprawnością intelektualną*. Już po kilkadziesiąt stronach lektury książki R. Kijaka była przekonana, że coś tu nie gra. Czytała uważnie i z podejrliwością, gdyż wcześniej zapoznała się z zapowiedzią wydawniczą książki i w autorskim opisie jej treści znalazła kilka zdań przejętych od znanej badaczki niepełnosprawności, emerytowanej prof. Rosemarie Garland-Thompson z Emory University w Atlancie, w stanie Georgia.

Odkrycie plagiatu

Pierwsze ślady naruszenia praw autorskich prof. Krzezińska rozpoznała dopiero w rozdziale III *Mój seks. Sonia, Adam*. Było to około 20 stycznia 2023 r. Gdy czytała na stronie 67 kilkunastozdaniowy tekst, zadziwiło ją słownictwo i aparatura pojęciowa, której wcześniej w swoich publikacjach prof. Kijak

nie używał. Zaczęła przeszukiwać internet, ale dopiero kiedy ten „podejrzany” tekst przetłumaczyła na angielski, wyszukiwarka internetowa wskazała podobny fragment. Był to wstęp w artykule pt. *Gender, sexuality and relationships for young Australian women with intellectual disability*, autorstwa dr Amie O'Shea oraz prof. Patsie Frawley (Deakin University, Australia), opublikowany w brytyjskim czasopiśmie „Disability & Society” w roku 2019. Aby pokazać czytelnikom, jak to wygląda, przytaczam poniżej oba teksty.

Remigiusz Kijak, *CripSex*, 2022, tekst ze str. 67, 3. wers od góry: „Dlatego może uzmysłowienie sobie społecznego kontekstu związanego z feminizmem lepiej pozwoli zrozumieć to, o czym pisały {początek tłumaczenia} Carolyn Frohmader i Stephanie Ortoleva (2014), że kobiety z niepełnosprawnością, traktowane są jak „niewidome na plec”. W przypadku kobiet z niepełnosprawnością intelektualną sytuacja niewidzialności seksualnej jest jeszcze bardziej dotkliwa. Wśród okoliczności, które powodują lub wzmacniają poczucie niewidzialności płciowej wymienilibym wpływ normalizacji, a także definiującą naturę „niepełnosprawności intelektualnej”, która ogranicza przestrzeń dla innych możliwych tożsamości lub doświadczeń. Dyskurs normalizacji wywarł znaczący wpływ na badania nad niepełnosprawnością intelektualną. Hilary Brown (1994) argumentowała, że zasada normalizacji jest ze wszech miar problematyczna, właściwie dla każdej grupy – poza większością. Sprawa, że norma niepełnosprawności określa człowieka – stwarza określone warunki, w których człowiek z niepełnosprawnością zaczyna funkcjonować – coraz bardziej tracąc swoją tożsamość lub właściwie nigdy jej nie zyskując – a ponadto powoduje włączanie go w status niepełnosprawności. Pomimo minionych dziesięcioleci, prace z zakresu normalizacji nadal znajdują odzwierciedlenie w badaniach z zakresu niepełnosprawności, także w Polsce. Dyskurs ten działa tak skutecznie i kompletnie, że mniej znane dyskursy mogą ulegać i w pewnym zakresie ulegają „tyranii dyskursu globalizującego” (Foucault 1998, s. 83) jakim często staje się normalizowanie ludzi. Samo już pojęcie niepełnosprawności intelektualnej jest zakorzenione w ontologicznej pozycji negacji – chodzi o nieudolność, brak i niedostatek mierzone dyscyplinami skupiającymi się na intelekcie, czynnościach życia codziennego i tak dalej. Rozszerzając ten pogląd, wywodzący się z tego, czego dana osoba nie może zrobić, podważa się jej prawa, a nawet osobowość moralną” (dół strony 67, 5. wers od dołu).

Amie O'Shea, Patsie Frawley, *Gender, sexuality and relationships for young Australian women with intellectual disability*, *Disability & Society*, 2019, str. 1: „Women with intellectual disability are insufficiently acknowledged as women living gendered lives. Much like the 'gender blind' approach critiqued by women with disability (Frohmader 2014), for women with intellectual disability there may be additional, compounding factors. We argue that this includes, in part, the influence of normalisation on the field of intellectual disability research and practice, and also the defining nature of 'intellectual disability' which limits the space for other possible identities or experiences. The discourse of normalisation has had a significant influence on disability service provision and intellectual disability research in Australia and many other countries (Cocks and Stehlik 1996; Walmsley and Johnson 2003). Hilary Brown argued that the principle of normalisation was problematic for any group outside the majority and that it caused a de-gendering of people with intellectual disability while also promoting little effect on people's sexual rights (Brown 1994; Brown and Smith 1992). Despite the decades which have passed since, this work continues to resonate within the findings of the present research. The idea of intellectual disability is itself ground-

ded in an ontological position of negation – it is about incapacity, lack and deficiency measured by disciplines which focus on intellect, activities of daily living and so on. By extension of this view which originates with what the person cannot do, their legal rights and even their moral personhood are called into question (Kittay 2005; Singer 2009)”.

Jak widać, powyższy polski tekst R. Kijaka jest dość dokładnym tłumaczeniem z angielskiego, z podmianą jednej pozycji bibliograficznej.

Mnogość recenzentów i zapożyczeń

Po tym odkryciu prof. Krzemińska zaczęła badać całość książki. Zajęło jej to ponad sto godzin nocnej pracy przez około dwa tygodnie. To, co znalazła, przekroczyło jej wszelkie wyobrażenia. Nie rozumiała, dlaczego niewielka książka (191 stron bez piśmiennictwa) miała aż czterech recenzentów. Byli nimi: dr hab. Beata Cytowska, profesor z Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego; dr hab. Joanna Hańderek, profesor z Instytutu Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr hab. Remigiusz Ryziński, profesor Wyższej Szkoły Bankowej w Warszawie oraz dr hab. Marcin Wlazło, profesor z Katedry Pedagogiki Specjalnej Uniwersytetu Szczecińskiego.

Przetłumaczonych fragmentów wspomnianej pracy dr Amie O'Shea i prof. Patsie Frawley znaleziono jeszcze dwanaście, w tym takie, które jakoby były oryginalnymi wypowiedziami osób badanych przez prof. Kijaka, a w rzeczywistości były tłumaczeniem z angielskich artykułów. Rzekomo badany Adam raz mówi tekstem z artykułu dr O'Shea i prof. Frawley (Kijak, str. 80), a w następnym akapicie zdaniami z pracy prof. Lotty Löfgren, szwedzkiej seksuolog z Uniwersytetu w Malmo. To jawna fabrykacja danych naukowych! Inne zapożyczenia, często znacznie obszerniejsze, R. Kijak przejął z pracy opublikowanej w amerykańskim czasopiśmie „Disability Studies Quarterly”, zatytułowanej *Gender, Sexuality, & (Dis)Ability: Queer Perspectives on the Experiences of Students with Disabilities* autorstwa prof. Ezekieła Kimballa z Uniwersytetu w Main, w USA. Odnosił się do siedem przetłumaczonych i przejętych z tego artykułu obszernych partii tekstu. Podobnie autor uwłaszczył się (patrz str. 19, dolne 12 wersów) na fragmencie tekstu prof. Rosemarie Garland-Thompson z 2001 r. Kolejną, czterokrotnie wykorzystaną pracę był artykuł dr. Edwarda Halla z Uniwersytetu Dundee w Anglii pt. *Spaces of social inclusion and belonging for people with intellectual disabilities* z czasopisma „Journal of Intellectual Disability Research” z 2010 r. Kilkakrotnie duże, całostronicowe fragmenty zostały przetłumaczone z pracy Manon Smit, młodej doktorantki z Uniwersytetu w Amsterdamie, wydrukowanej w czasopiśmie „Journal of Intellectual and Developmental Disability” w 2022 r. Z kolei 9 krótszych fragmentów R. Kijak przejął (patrz strony 174-176) z tekstu dwóch brytyjskich lekarek: dr Ruth Bevan i Anny Laws, umieszczonego w 2019 r. na stronie internetowej „Intellectual Disability and Health” Uniwersytetu Herfordshire w Hatfield pod Londynem.

Polacy nie gorsi

Oprócz przejęcia fragmentów przetłumaczonych z języka angielskiego prof. Dorota Krzemińska odnalazła w tekście książki *CripSex* niezacytowane fragmenty prac co najmniej dwudziestu polskich autorów. Znalazły się tam większe lub mniejsze wrywki z prac doktorskich: dr Agnieszki Król z Instytutu Socjologii UJ (2020), dr Weroniki Nowak z Instytutu Muzykologii UAM (2019) i dr Marii Dębińskiej z Wydziału Historycznego UW (2015). Są tam też fragmenty artykułów, m.in. dr. hab. Macieja Dudy z Wydziału Humanistycznego Instytut Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego.

skiego, mgr Weroniki Urban, doktorantki UW („Pracownia Kultury” 9/2016), Marcina Żółtowskiego, doktoranta socjologii z UG, dr hab. Joanny Helios i dr hab. Wioletty Jedleckiej z Wydziału Prawa UW, prof. Anny Łebkowskiej z UJ („Teksty Drugie” 4/2011), dr Ewy Drygalskiej („Kultura Popularna” 3/2013), dr hab. Łukasza Guzka, profesora ASP w Gdańsku, prof. Ewy Domańskiej z Wydziału Historii UAM („Zwrot performatywny” we współczesnej humanistyce, 2007), dr hab. Wojciecha Śmieja z Instytutu Literaturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego (*Homoseksualność i polska nowoczesność*, 2015 – tekstem z tej książki mówi jeden z [rzekomo?] badanych, Bartek), mgr. Daniela Bąka, psychologa i psychoterapeuty z Warszawy, prof. Grzegorza Niziołka, teatrologa z Wydziału Polonistyki UJ, mgr Moniki Kłosowskiej z Warszawy (*Przeciw metodologii*, 2016) oraz innych tekstów, jak mgr. Miłosza Klei czy dr Agaty Araszkiewicz. Ciekawostką jest przejęcie wybranych zdań ze strony internetowej sklepu z meblami w stylu Pedra Almodovara, do opisu pokoju jednego z (rzekomo) badanych.

Obraz kroków formalnych

Około 4 lutego br. podstawowa konkordancja była gotowa (83 strony) i prof. Dorota Krzezińska zdecydowała się pokazać swoje odkrycie współpracownikom. Widząc zakres zapożyczeń i przy okazji odsłoniętą fabrykę badań (6 osób niepełnosprawnych, jakoby badanych jakościowo przez prof. Kijaka, „wypowiadało” się tekstami z różnych publikacji), cały zespół był oburzony. Autor był znany wszystkim osobiście z różnych konferencji oraz postępowań awansowych. Po dyskusji i kilkudniowym przemyśleniu uznano, że od takiej nierzetelności nie można odwrócić głowy. Prof. Amadeusz Krauze, kierownik Zakładu Pedagogiki Specjalnej Instytutu Pedagogiki UG zasugerował, aby przekazać te informacje prof. Bogusławowi Śliwerskiemu z Uniwersytetu Łódzkiego, który jest członkiem Rady Doskonałości Naukowej i będzie mógł zatrzymać ewentualne postępowanie profesorskie. Uznano też, że sprawa tych plagiatów jest tak poważna, iż wymaga upublicznienia w „Forum Akademickim”.

W drugiej połowie lutego otrzymałem dwie tabele z konkordancją zapożyczeń i byłem zadziwiony liczbą odnalezionych przejęć. Od razu też 15 lutego zadzwoniłem do szefa Wydawnictwa Impuls i poinformowałem go o masowym plagacie odkrytym w nowo wydanej książce prof. Kijaka. Redaktor Wojciech Śliwerski (brat Bogusława) zmartwił się tą informacją, ale od razu zareagował. Wstrzymał sprzedaż książki, jak również wysyłkę egzemplarzy obowiązkowych. Jak mnie później poinformował, sprzedano jedynie ok. 30 egzemplarzy. Po tygodniu, gdy otrzymał konkordancję, zapoznał się z detalami i podjął decyzję o zniszczeniu prawie całego nakładu książki. 7 marca 2023 r. komisyjnie zmielono 194 egzemplarze. Prof. Kijak wyrównał wydawnictwu straty finansowe powstałe z powodu niemożności sprzedaży jego monografii „z wadą prawną” i konieczności usunięcia jej z rynku. Wydawnictwo wystosowało do wszystkich, którzy kupili książkę, list z propozycją zwrotu „felernego” egzemplarza i oddania pieniędzy. Chyba mało kto się skusił, bo książka stała się plagiatowym „białym krukiem”. Archiwum Nieuczciwości Naukowej otrzymało

gratisowy egzemplarz, co pozwoliło zobaczyć misterność niektórych nierzetelnych kroków autora. Jednak zabrakło formalnego komunikatu na stronie internetowej wydawnictwa o tym, że książka jest plagiatem, została wycofana z rozpowszechnienia, a posiadany nakład zniszczony.

Z kolei prof. Bogusław Śliwerski 18 lutego 2023 r. poinformował o plagacie dziekana Wydziału Pedagogiki UW, prof. Rafała Godonia, przesyłając mu tabelę zapożyczeń. Po pięciu dniach dziekan o naruszeniu praw autorskich w książce R. Kijaka poinformował rektora UW, prof. Alojzego Nowaka. Rozmawiał też z winowajcą tego zamieszania, które jest problemem wizerunkowym zarówno dla całego wydziału, jak i katedry prof. Z. Izdebskiego. Ten ostatni jest zdruzgotany postępkiem swojego pracownika, z którym wiązał naukowe nadzieje.

Ubolewam, że dziekan Godoń nie poinformował oficjalnie o fakcie plagiatu zarówno Rady Wydziału, jak i Rady Dyscypliny Pedagogiki. Członkowie tych dwóch ciał kolegialnych powinni wiedzieć o faktach nierzetelności naukowej od kierownictwa wydziału, a nie dowiadywać się o tym dopiero z prasy. Ma to duże znaczenie wychowawcze i ostrzega innych przed niszczącym



Rys. Sławomir Małaj

karierę naukową naśladownictwem. Prof. Godoń nie powołał też żadnej komisji ad hoc, która by sporządziła formalną opinię o przejęciach, przydatną w dalszym postępowaniu dyscyplinarnym. Dziekan nie poprosił także rektora o zawieszenie nierzetelnego nauczyciela akademickiego, co oznacza, że formalne życie naukowe tego ostatniego przez najbliższy rok albo i dwa będzie się toczyć jak gdyby nigdy nic. Będzie mógł recenzować doktoraty i przewody habilitacyjne oraz być członkiem różnorodnych komisji. Postępowania dyscyplinarne trwają teraz latami...

Głos obwinionego

Pod koniec kwietnia poprosiłem prof. Kijaka o komentarz. Odpisał po dwóch dniach następująco: „Zawsze byłem badaczem, który przestrzegał etyki zawodu i zawsze uważałem, że badacz nie powinien stwarzać wątpliwości, czy jego praca jest zgodna ze standardami w zakresie prawidłowego oznaczania przypisów i cytowań. Zawsze byłem zwolennikiem stosowania najwyższych standardów w nauce. W odniesieniu do mojej ostatniej pracy pojawiły się wątpliwości dotyczące prawidłowości cytowań i oznaczania treści tworzących książkę. Po otrzymaniu

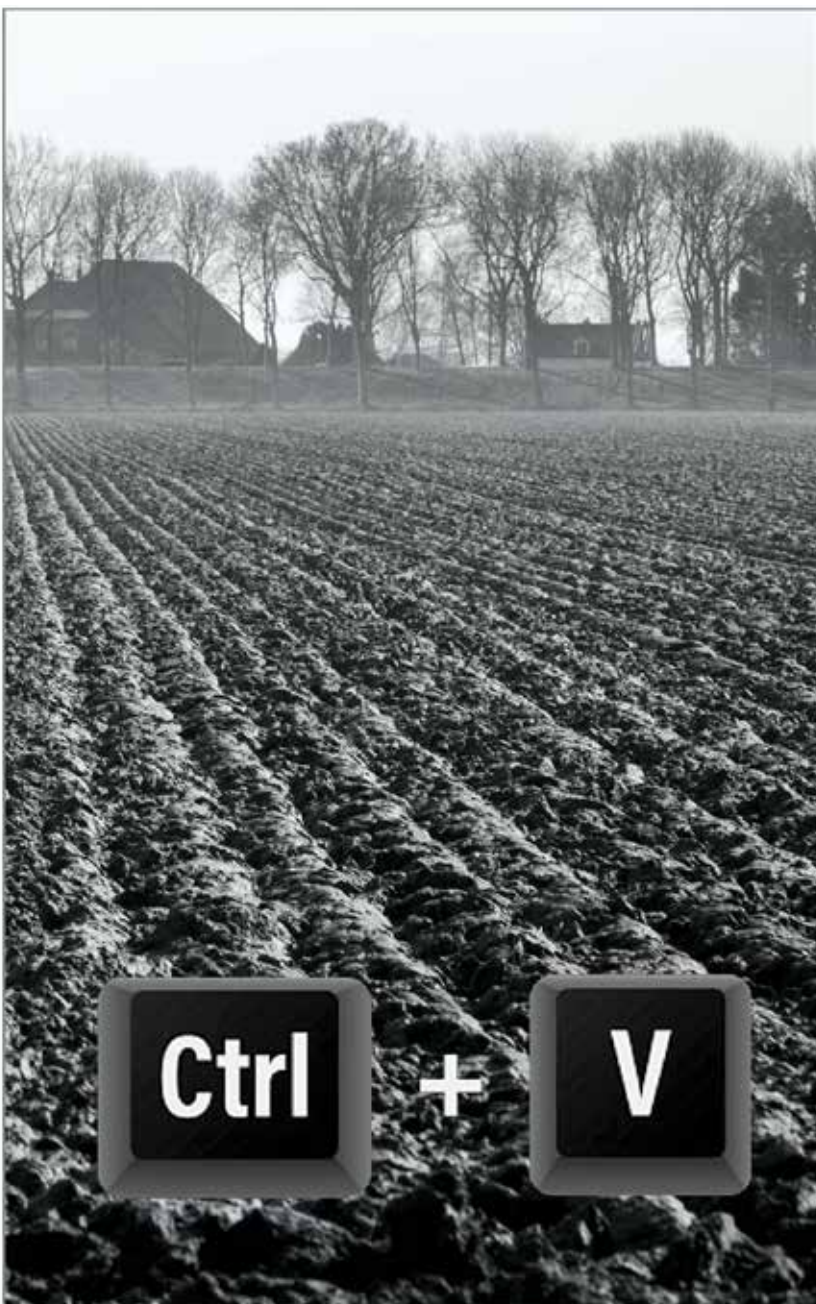
informacji, iż taka sytuacja ma miejsce, dokonałem sprawdzenia w systemie antyplagiatowym [...] – mogę udostępnić ten raport (WP1 8.85%, WP2 1,13%) – są to wskazania poniżej dopuszczalnych wartości. (komentarz MW – system antyplagiatowy nie wykrywa tłumaczeń). Nie przekraczają ich wprawdzie znacząco, niemniej jednak zgadzam się ze stanowiskiem, że w pracach profesorskich nie powinno być najmniejszych wątpliwości w tym zakresie. Wskazuję też, że książka przed publikacją przeszła pozytywnie pełny proces recenzencki. Wszystkie 4 recenzje były pozytywne i nie wskazywały na przywłaszczenie sobie przeze mnie autorstwa choćby części dzieł innych twórców. Stąd w dobrej wierze zdecydowałem się na publikację mojej pracy. Chciałbym napisać kilka zdań tytułem wyjaśnienia okoliczności powstawania tej książki i wskazanych wyżej błędów w niej zawartych. Był to dla mnie trudny rok, wypełniony poważnymi problemami osobistymi i zdrowotnymi. Do tego dołączyła presja czasowa w zakresie wydania książki w roku 2022 związana ze slotami. Ogólnie duże przeciążenie obowiązkami i problemami spowodowało, iż byłem najwyraźniej mniej uważny w pisaniu, niż zwykle. Wiem, że nie dopilnowałem wystarczająco ostatniej korekty. Widzę teraz i przyznaję, że w pracy są niedociągnięcia, nieświadome zapożyczenia, nieświadome złe oznaczenia cytowania czy nawet ich brak. Uczelnia podjęła procedury wyjaśniania tej sprawy. Ja 23 lutego, gdy tylko dowiedziałem się o sprawie, wykupiłem cały dostępny nakład, poddałem się działaniom wyjaśniającym na uczelni. Straciłem tę książkę i bardzo ważny temat dla społeczności osób niepełnosprawnych i jestem gotów ponieść tego konsekwencje. [...] Wyrażam największy żal za spowodowanie tej sytuacji, która nie była świadoma ani zamierzona. [...] Dziękuję za poproszenie mnie o wyjaśnienia tej sprawy. Jestem wdzięczny, że mogłem, choć w pewnym zakresie, wyjaśnić moją perspektywę. Wynoszę z tej sytuacji ogromną lekcję i pokorę. To samo będę omawiać na komisji, która niebawem będzie tę sprawę wyjaśniała”.

Komentarz

Mówiąc prosto z mostu: w tabelach zapożyczeń są niezbite dowody na to, że w książce nie tylko jest kilkadziesiąt stron plagiatu naukowego, ale dodatkowo zostały sfabrykowane dane badawcze. Większości rzekomo badanych osób niepełnosprawnych intelektualnie autor włożył w usta zdania przepisane z innych źródeł. (Zobacz konkordancję dołączoną pod artykułem w internecie) To jest „zbrodnia naukowa” popełniona z premedytacją!

Do rektora, prof. Alojzego Nowaka, apeluję o natychmiastowe zawieszenie prof. Kijaka w prawach nauczyciela akademickiego i odsunięcie go od zajęć ze studentami w obu uniwersytetach: warszawskim i rzeszowskim. Brak takiego kroku jest głęboko niepedagogiczny. Dyscyplinarne nagany i obniżenia pensji nie wystarczają. Takich „naukowców” powinno się usuwać ze środowiska akademickiego tak, jak to się robi w rzetelnych uczelniach Europy Zachodniej czy Ameryki Północnej. Potrzebna jest do tego zdecydowana wola polityczna zarówno ministra edukacji i nauki, jak i rektorów, szczególnie tych z KRASP, ale także członków Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego i Nauki.

Marekwro@gmail.com



Klasa humanistów

Poeta jest realistą, realistą przyziernym i dalekosiężnym. Juliusz Słowacki – geniusz romantyzmu – znakomicie grał na giełdzie; osiągał zyski, dzięki którym mógł się nie tylko utrzymać, ale też wciąż się kształcić, pisać i podróżować.

Humanistyka jest jedną z wielu ofert kultury i cywilizacji. Niepokoi to, że dziedzina humanistyczna wydaje się, zwłaszcza młodemu pokoleniu, mało atrakcyjna. Względna atrakcyjność nie jest kryterium tego, co wartościowe. Stawiam diagnozę, którą być może obciąża złudzenie krótkiego dystansu.

Akurat trwa rekrutacja, toteż każdego dnia pytam w sekretariacie, jak wyglądają jej wyniki. Dowiaduję się, że na kierunki filologiczne zapisało się więcej kandydatów niż to bywało w poprzednich latach. Już od dawna studia humanistyczne nie są oblegane. Jedną z przyczyn jest prozaiczna: w szkołach średnich funkcjonują klasy humanistyczne, które w potocznym odczuciu są zbiorowiskiem nieudaczników. Kiedy jakiś uczeń nie daje sobie rady w klasie odpowiednio uprofilowanej, to przesuwa się go do klasy „humanistów” jako ostatniej deski ratunku dla rzekomo mało zdolnych uczniów. Inna przyczyna nieatrakcyjności studiów humanistycznych wynika z tego, że system studiów w Polsce nadal premiuje masowość.

Najmłodsze pokolenie nie wie, co oznacza etos humanisty, na którym wychowywały się poprzednie generacje. Stereotyp humanisty w sensie pozytywnym wskazuje na kogoś, kto mówi poprawnie i elegancko, jest czytany, żywi szacunek do słowa, do pamięci historycznej, zachowuje się kulturalnie. Jest i zniechęcające wyobrażenie „humanisty”. Jak sądzi spora część społeczeństwa, jest nim osobnik niepraktyczny, nieprzystosowany do codziennego życia, ktoś, kto „buja w obłokach”.

Humanistę wypiera narcystyczny celebryta

Kiedy próbuję mówić na przykład o byciu poetą, to zaczynam od oczywistego według mnie zdania, że twórca poezji jest wyjątkowym realistą życiowym. A w obiegowym wyobrażeniu poeta uchodzi za niepoprawnego nadwrażliwca i marzyciela, „rozwodnionego”, wycofanego romantyka. Poeta jest realistą, realistą przyziernym i dalekosiężnym. Juliusz Słowacki – geniusz romantyzmu – znakomicie grał na giełdzie; osiągał zyski, dzięki którym mógł się nie tylko utrzymać, ale też wciąż się kształcić, pisać i podróżować.

Humanistyka nie może być marginalizowana, zautonomizowana i wyłączona z głównego nurtu poznawania kultury i świata. Łączy się ze wszystkimi rodzajami aktywności ludzkiej zarówno w przestrzeni mentalnej, intelektualnej, jak i praktycznej. Wszak służy człowiekowi i jego rozwojowi. I to nie tylko dlatego, że w to wierzymy.

Jeśli mówimy o istnieniu etosu humanisty, to mówimy o posłannictwie, o przyjęciu stylu życia, w którym własna korzyść materialna, a szerzej: wymierna, nie jest najważniejsza.

Nastawione na szybki zysk i praktyczność społeczeństwo z coraz mniejszą aprobatą godzi się na utrzymywanie humanisty; wypiera go narcystyczny celebryta; on korzysta z tych wartości, na które pracowali przez wieki humaniści. On wygłasza łatwe i wygodne opinie w imieniu jakiejś wirtualnej czy wymyślonej zbiorowości. On wystawia oceny, które rzekomo mają obowiązywać, bo są „atrakcyjne” i podobno jedynie słuszne. On narzuca, jak się ubierać, jak się wypowiadać, na co się powoływać. Nierzadko celebryta zaprasza do bezmyślności i naśladowania nierozumnych gestów. Więc mamy problem z wiarygodnością humanistyki, bo ona nie gloryfikuje hedonizmu, łatwizny, nie narzuca się ze swoimi „nieatrakcyjnymi” przemysleniami, nie sprzedaje się tak dobrze, jak inne dziedziny nauki i inne formy aktywności.

Odłożony wpływ humanistyki

Zadaję pytanie: dlaczego nie jest tak, jak byśmy chcieli? Wydaje się, że po części wina leży po naszej stronie. Nie informujemy społeczeństwa, że bycie humanistą jest okupione bardzo ciężką pracą. Pracą, która wymaga poświęcenia, wytrwałości i dobrego zdrowia. Wyobrażenie humanisty jako narcyza lub chudego człowieczka, który z racji choroby lub braku sił vitalnych tylko czyta książki i coś sobie pisze, jest oczywiście z gruntu mylne. Humanistyka opiera się z jednej strony na imperatywie dialogowania, wymiany myśli, a z drugiej na ciężkiej intelektualnej pracy w samotności.

Jeśli idzie o upowszechnienie etosu humanisty – tu widzę duże możliwości. Media i kultura masowa nie są winne wszystkiemu. Patrząc chociażby na środowisko warmińsko-mazurskie, z którym jestem związany od prawie pół wieku, powiem tak: ci którzy zadbali o to, żeby wyznawane i realizowane przez nich wartości humanistyczne przekazywać chociażby w mediach, są zauważani. W jakim sensie? Przedstawiciele tej grupy postrzegani są jako ludzie, którzy uosabiają powagę takich wartości, jak dobro, prawda, piękno, szacunek do człowieka i wiedza o nim, odpowiedzialność, pamięć, trwałość dóbr kulturowych.

Humanista niekiedy po długim czasie dowiaduje się, że jego humanistyczno-naukowe osiągnięcia wpłynęły na konkretnych ludzi, na podejmowane decyzje w sferach różnych, codziennych i niecodziennych. Bolączką humanistyki jest to, że społeczeństwo, a zwłaszcza decydenci, nie otrzymują natychmiastowej lub relatywnie szybkiej informacji zwrotnej o wpływie rezultatów działalności humanistycznej na rzeczywistość.

Być może humaniści są za mało aktywni w ujawnianiu i upowszechnianiu faktycznego znaczenia tego, co tworzą na

co dzień. Utrzymuje się fałszywy pogląd, że napisanie solidnej książki humanistycznej polega na przepisaniu pewnych cytatów z innych opracowań. A poza tym cóż to za praca, która wymaga siedzenia w ciepłej bibliotece, archiwum lub – o zgrozo – we własnym mieszkaniu czy domu.

Tarcze z pajęczyny

Na koniec przeczytałem kilka myśli z mojej najnowszej książki *Tarcze z pajęczyny*. Na jej tytuł proszę spojrzeć jako na metaforę naszej dyskusji o humanistyce. Humanisci są „rycerzami”, którzy mają na uzbrojeniu „tarcze z pajęczyny”. Pajęczyna to piękny cud natury, ale wykonana z niej tarcza wydaje się śmiesznie słabą bronią przed zagrożeniami.

Myśl humanistyczna wymaga pokory wobec tajemnicy istnienia, wobec kosmosu i przyjęcia odpowiedzialności za dziedzictwo kulturowe. Słyszę lekceważące i retoryczne pytanie: a na co komu ta pokora, odpowiedzialność, dziedzictwo?

Humanistyka jest świadomością, że człowiek musi się wciąż rozpoznawać, aby przetrwać. „Samokształcenie – uświadamianie sobie, że tracimy coraz więcej wiedzy, którą moglibyśmy zdobyć”.

Humanistyka oglądana jedynie z perspektywy doraźnych korzyści: ekonomicznych, wizerunkowych, punktowych – traci swoją dynamikę i tożsamość. „Bardziej niż na wieczność chorujemy na doczesność”. Humanistyczna perspektywa wypływa z przekonania, że praca humanisty jest siemem, z którego plon wyrośnie nie za pół roku, nie za rok, tylko w jakimś bliżej nieokreślonym czasie.

W Olsztynie zręby profesjonalnego środowiska humanistycznego zaistniały na dobrą sprawę, o ile dobrze wiem, dopiero w latach sześćdziesiątych. Tworzyli je często ludzie, którzy zaczęli od uprawiania dydaktyki w szkole średniej lub podstawowej, łączonej z aktywnością społeczną, pisarską, kulturalną. Przejawiali wyższe aspiracje poznawcze, jeżeli tak można powiedzieć. Ci ludzie kariery naukowe porobili znacznie później, to jest w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych lub nie były one w ich zasięgu z rozmaitych powodów.

Mam żal do powojennych władarzy naszego regionu, że nie zadbali o powstanie w Olsztynie profesjonalnego i zróżnicowanego środowiska humanistycznego. Nie zmienia tej historycznej sytuacji fakt, że jego przyczółek powstał dzięki działalności organizacyjnej, naukowej, popularyzatorskiej Emilii Sukertowej-Biedrawiny. Zawdzięczamy jej Instytut Mazurski, który przekształcił się w Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, a potem w Instytut Północny. Toruń po 1945 pozyskał profesorów z Wilna i ze Lwowa. Bez nich Uniwersytet Mikołaja Kopernika nie byłby tym, czym jest współcześnie.

Kiedyś w przeglądzie prasy włoskiej znalazłem informację o artykule, w którym pewien profesor doszedł do wniosku, że inwestycja w wartości humanistyczne zwraca się dopiero po około pięćdziesięciu

latach. Czyli nasze obecne środowisko jest rezultatem pracy humanistów, którzy byli aktywni długo przed nami. Dlatego rozwój środowiska naukowego powinien być oczkiem w głowie wspólnoty uniwersyteckiej także ze względów przyszłościowych.

Klasa humanistów jest konieczna. Ich praca nie pozwala zapomnieć o człowieczeństwie, wzmacnia i uszlachetnia więzi społeczne, podnosi poziom samoświadomości zbiorowej, aktywizuje postawy wspólnotowe i wciąż przypomina, że żyjemy dzięki dorobkowi poprzedników dla dobra naszych następców. Niestety te zadania humanistyki nie są już oczywiste.

Głos na posiedzeniu Komisji Nauk Humanistycznych PAN Oddział w Olsztynie i w Białymstoku w dyskusji na temat *Czy kryzys humanistyki?*, która odbyła się 7 lipca 2022 r. w budynku Wydziału Humanistycznego UWM w Olsztynie.

Prof. dr hab. Zbigniew Chojnowski, literaturoznawca, poeta i krytyk literacki, Instytut Literaturoznawstwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Od stycznia 2023 przewodniczący KNH PAN.



Fot. Stefan Ciechan

Uczony i polityka

Na pójściu uczonych „w politykę” czasami nawet dobrze wychodzą znajdujący się u władzy politycy, ale rzadziej uczeni.

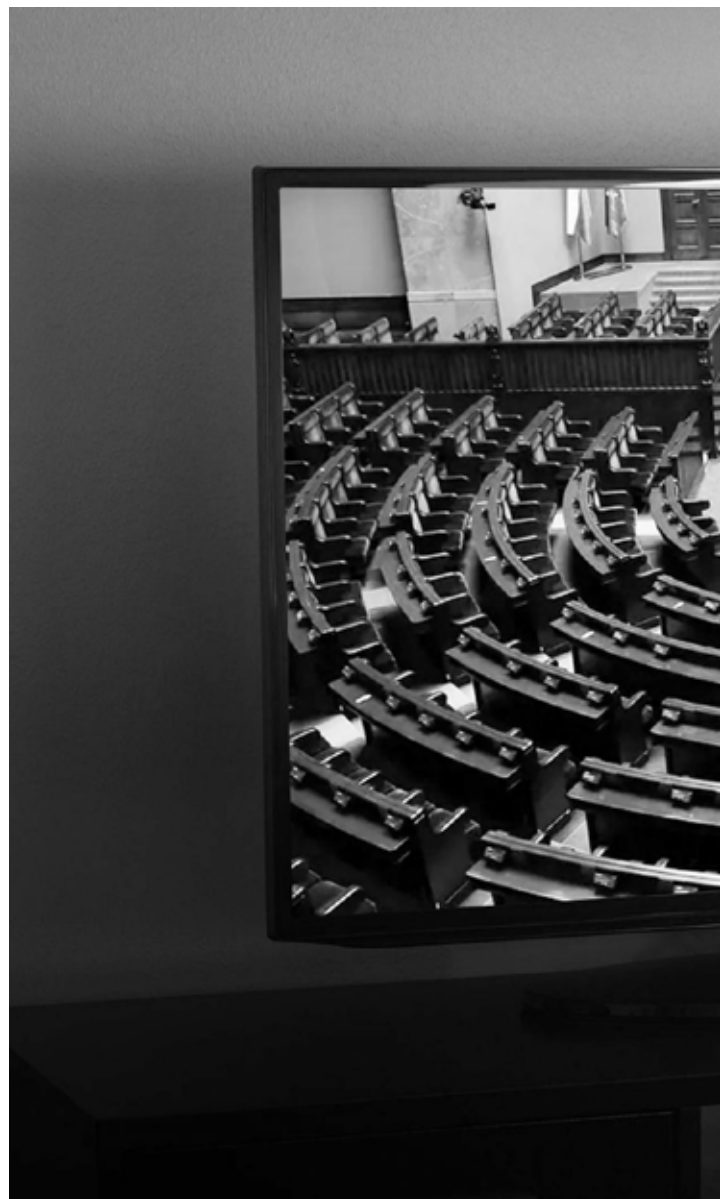
Tytuł tej wypowiedzi może być postrzegany jako zapowiedź włączenia się do trwającej praktycznie od poprzednich wyborów parlamentarnych kampanii politycznej. Problem ten ma jednak znacznie dłuższe tradycje i może budzić spore emocje nie tylko u polityków, ale także wśród uczonych, którzy wobec polityki starają się zachować dystans. Rzecz jasna nie w każdym przypadku jest on potrzebny. Bez większego trudu można wskazać sytuacje, gdy zaangażowanie się uczonych w politykę jest społecznie oczekiwane.

Wielka polityka

To, czy mamy do czynienia z wielką polityką, czy z polityką mniejszego formatu, zależy przede wszystkim od skali problemów, które są podejmowane i mniej lub bardziej udanie rozwiązywane. Po zakończeniu II wojny światowej wielkim problemem było zapobieżenie kolejnemu światowemu konfliktowi między blokami państw wschodnich i zachodnich. W 1948 roku odbył się w Warszawie Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, z udziałem dużego formatu uczonych, jak Albert Einstein. Ogłoszonemu przez nich *Przesłaniu do inteligencji* można wprowadzić zarzucić pewną naiwność (takie zarzuty zresztą później się pojawiały), ale nie to, że jego sygnatariusze nie rozumieli skali zagrożenia i nie szukali sojuszników w gronie polityków myślących o czymś więcej niż tylko o poszerzeniu lub zachowaniu swojej władzy. Być może nawet któryś ze znaczących wówczas polityków zapoznał się z tym przesłaniem. Jednak jestem skłonny zaryzykować twierdzenie, że politykom w mniejszym stopniu trafiły do przekonania fragmenty, w których się mówi, że „przy rozwiązaniu ludzkich problemów rządzi rozum i mądrość”, niż te, w których się stwierdza, że „obszerne badania i intensywna praca naukowa miały czasem tragiczne skutki” i doprowadziły do pojawienia się „środków masowej zagłady”. W każdym razie to drugie w większym stopniu niż pierwsze było zgodne z realiami życia społecznego i – co nie mniej istotne – nadawało się do usprawiedliwiania nabierającego tempa wyścigu zbrojeń.

W czasach PRL-u była uprawiana wielka polityka, tyle tylko, że w sojuszu „z bratnimi” narodami państw bloku wschodniego, a jej centrala znajdowała się w Moskwie. Ci, którzy sprawowali w naszym kraju władzę polityczną, wykonywali przesłane z tej centrali polecenia, bowiem od tego zależało ich być lub nie być w polityce. Co na to miała do powiedzenia polska inteligencja, w tym inteligencja akademicka? Problem nie w tym, że milczała, lecz w tym, że przynajmniej jej część akceptowała taki stan rzeczy, a nawet włączała się do frontu poparcia tych, którzy znajdowali się u władzy w Moskwie i w War-

szawie. Jak to wyglądało w szczegółach, można się dowiedzieć m.in. z książki Henryka Słabka pt. *Intelktualistów obraz własny 1944–1989*. W otoczeniu ówczesnych władz politycznych pojawiali się również akademicy uczeni. Po zmianie politycznych



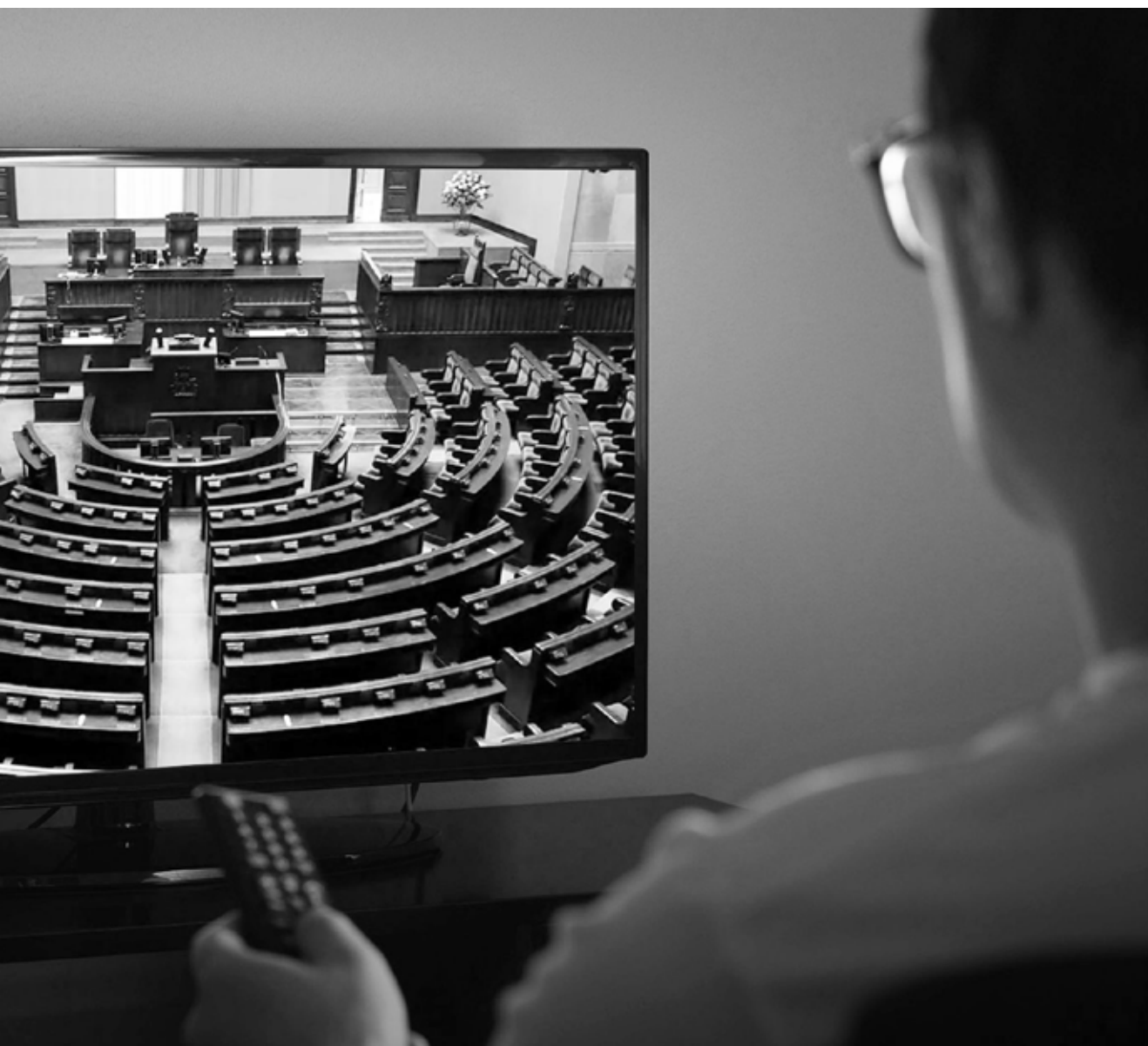
preferencji niektórzy zmuszeni zostali jednak do znalezienia sobie miejsca na zagranicznych uczelniach i byli tacy, którym to się udało. Jeszcze dzisiaj zdumiewają kariery oficerów polityczni w armii Berlinga, którzy później byli profesorami warszawskich uczelni, a w końcu znaleźli się na zachodnich uniwersytetach (jeden z nich nawet na prestiżowym Uniwersytecie Oksfordzkim). Takich jednak było stosunkowo niewiele. W okresie, gdy „jedynie słuszna władza” wykazywała już sporą „zadyszkę”, na jej najwyższych szczeblach pojawiły się osoby z profesorskimi tytułami, a jednemu z nich (ekonomiście z rektorskim doświadczeniem) powierzono nawet stanowisko premiera. Nie mogli oni jednak już uratować władzy przed odesłaniem do „oślej ławki” (o ile zostały w niej jakieś wolne miejsca). Przypominam te czasy nie po to, aby „rozdrapywać” nie do końca zagojone rany, lecz po to, aby podać uzasadnienie dla tezy, że na pójściu uczonych „w politykę” czasami nawet dobrze wychodzą znajdujący się u władzy politycy, ale rzadziej uczeni.

Polityka krajowa

Nie sądzę, aby ta teza straciła uzasadnienie w wolnej Polsce. Co więcej, uważam, że nawet zyskała ona na znaczeniu, bowiem w polityce pojawiła się liczniejsza grupa polityków wywodzących się z akademickiego środowiska, którzy

dochodzili do stanowisk politycznych o charakterze decyzyjnym. Wprawdzie nie zaryzykowano już powierzenia stanowiska premiera żadnej osobie z profesorskim tytułem, jednak na stanowiskach wicepremierów i nieco niższych była ich spora liczba. W naszych realiach ustrojowych główne karty w grze politycznej znajdują się w rękach rządowych tylko wówczas, gdy stanowisko premiera zajmują liderzy partii politycznych (to też się zdarzało). To, że posiadali oni stosunkowo niskie stopnie naukowe, nie miało znaczenia, bowiem to nie one stanowią o posiadaniu legitymacji do rządzenia. Przykład Einsteina pokazuje zresztą, że można mieć jedynie stopień magistra i być uczonym światowego formatu. Jest jednak regułą, że uzyskiwanie coraz wyższego cenzusu naukowego przekłada się, a przynajmniej powinno się przekładać, na wyższe kompetencje, tyle tylko, że w nauce. Natomiast jest kwestią dyskusyjną czy również w polityce. W końcu na najwyższym stanowisku rządowym mieliśmy już i mamy magistra historii.

Inaczej to wygląda na stanowisku ministra odpowiedzialnego za realizację polityki naukowej i edukacyjnej. Nie podejmę się jednak próby generalnej odpowiedzi na pytanie: czy lepiej było wówczas, gdy zajmowała je osoba z tytułem profesora, czy kiedy sprawował je doktor. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie były to bowiem osoby posiadające



Rys. Sławomir Majal

uprawnienia do prowadzenia polityki bez liczenia się z oczekiwaniami i zaleceniami ich politycznych mocodawców, a ci, którzy próbowali wyjść „przed szereg”, jeśli nawet nieco dłużej przetrwali na stanowisku, zawdzięczali to nie tyle nowatorskim pomysłom, co zwyczajnemu liczeniu „szabel” w parlamencie. Czy jest w tym jakaś logika? Bez wątplenia jest. Tyle tylko że polityczna. Napisano na jej temat niejeden poważny traktat. Nie będę tutaj przywoływał żadnego z nich, ani nawet szerzej przedstawiał tego problemu. Powiem jedynie, że zastanawia mnie śmiałość w wypowiadaniu się osób z mandatem politycznym w kwestiach, które wymagają, jeśli nawet nie akademickiego wykształcenia, to przynajmniej wiedzy, którą powinno się uzyskać już w szkole średniej. Nie oczekuję jednak, że te osoby pokażą swoje uczelniane dyplomy lub chociażby maturalne świadectwa. Niczego to by zresztą nie zmieniło, bowiem to nie one otworzyły im drzwi do politycznej kariery. Powiedzenie czegoś więcej w tej kwestii oznaczałoby już jednak wejście, jeśli nawet nie w politykę, to przynajmniej w politykowanie.

Polityka na uczelniach

Wygląda na to, że póki co na uczelniach generalnie panuje swoista „cisza przedwyborcza”, jeśli tak można nazwać pojawiające się jedynie sporadycznie wypowiedzi polityczne członków uczelnianych społeczności. Można się jednak spodziewać, że w miarę nabierania tempa przez parlamentarną kampanię wyborczą ożywi się również życie polityczne, a u akademików, którzy mają „polityczną krew”, odezwie się „polityczny zew” i w różny sposób będą starali się zaznaczyć obecność w tej kampanii. Rzecz jasna mają do tego prawo jak każdy inny obywatel. Problemem dyskusyjnym jest jednak, czy mają również prawo wniknąć w to swoje uczelnie, jeśli już nawet nie poprzez organizowanie na ich terenie politycznych wystąpień, to chociażby poprzez podawanie uczelnianej afiliacji przy stawianiu przed kamerą. Oczywiście można sobie wyobrazić uczelniane spotkania dyskusyjne, których uczestnicy reprezentują różne opcje polityczne, a ich moderatorzy nie preferują żadnej z nich. Tyle tylko, że już dzisiaj trudno jest je zorganizować, a im sondaże wyborcze będą coraz wyraźniej wskazywały na potencjalnego wygranego wyborów, tym trudniej będzie politykom reprezentującym różne opcje polityczne usiąść do wspólnego dyskusyjnego stołu, bo wygrywającym może być na to szkoda czasu, a przegrywającym niewiele już może pomóc.

Wybory parlamentarne mają jednak miejsce raz na cztery lata, a akademickie życie trwa ciągle i władze uczelni niejednokrotnie stają przed problemem nie tylko zapanowania nad ambicjami pracowników, którzy chcieliby na ich terenie zademonstrować polityczne preferencje, ale także zajęcia stanowiska wobec poczynąń polityków, którzy albo sprawują ministerialny nadzór nad funkcjonowaniem nauki i uczelni, albo też sprawują nadzór na tymi ministrami. Nie można jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, któremu z tych poczynąń trudniej stawić czoło. Wiele tutaj bowiem zależy nie tylko od umiejętności władz rektorskich, ale także od wielkości i profilu uczelni. Na dużej i mocno zróżnicowanej światopoglądowo uczelni, jak moja, tj. UAM, jest o to bez wątpienia znacznie trudniej niż na mniejszych. Pokazały to wydarzenia, które miały miejsce w przeszłości, oraz te, które się dzieją niemal „na naszych oczach”, żeby tylko przywołać wymianę władz rektorskich na jednej z wrocławskich uczelni. Nie twierdzę, że taka wymiana nie byłaby możliwa również na mojej uczelni. Jestem jednak przekonany, że byłaby ona o wiele trudniejsza. Władze powołuje uczelniana społeczność, a minister może wprawdzie wyrazić niezadowolenie z ich funkcjonowania, a nawet stwierdzić

(jak to nie tak dawno miało miejsce w przypadku Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego), że stracił do niej zaufanie. Jednak, dopóki nie stracili go wyborcy, pozostaje mu co najwyżej czekanie na jakieś jej poważniejsze potknięcie. Rzecz jasna ma do dyspozycji również inne sposoby wyrażania swojego niezadowolenia. Władze rektorskie nie tylko dobrze o tym wiedzą, ale także w miarę swoich możliwości starają się „nie wywoływać wilka z lasu” (jeśli tak można nazwać np. nieprzyznanie środków finansowych lub wezwanie na ministerialny „dywanik”).

Czasami jednak ryzyko trzeba podjąć. Jestem w koleżeńskich relacjach z byłym rektorem mojej uczelni i bezpośrednio od niego wiem, jak poważnie obawiał się, że jego publiczna wypowiedź, która z całą pewnością nie była po myśli ówczesnych władz ministerialnych, może mieć negatywne następstwa dla UAM. Raczej z oczywistych względów powstrzymał się od odpowiedzi na pytanie, czy po zmianie ministerialnych władz uczelniane władze mają mniej podstaw do takich obaw.

Akademickie powroty

Do podjęcia problemu powrotów uczonych z polityki do akademickiego życia skłaniają mnie zarówno publiczne wypowiedzi osób, które wcześniej odgrywały znaczące role w polityce, jak i tych, które albo osobiście znam, albo przynajmniej spotykałem na uczelni. Skłonny jestem twierdzić, że w żadnym przypadku takie powroty nie są łatwe. Zdają się one jednak tym trudniejsze, im dłużej takie osoby funkcjonowały w polityce i im ważniejsze odgrywały w niej role. Jeśli jeszcze do tego dochodzą kwestie, które w okresie ich bycia w polityce budziły spore emocje, to można się spodziewać, że nie przejdą one do historii po powrocie tych osób do akademickiego życia, zawsze znajdzie się ktoś, kto nie pozwoli o nich zapomnieć. W szczególności trudnej sytuacji stawiają się jednak ci, którzy uważają, że będąc w polityce, nie popełnili żadnych poważnych błędów. Byłych polityków, którzy powrócili do akademickiego życia i wypowiadają się w mediach w taki sposób, jakby wyłącznie dobrze przysłużyli się naszemu społeczeństwu, nie jest wielu, jednak są. Nie będę nikogo wymieniał z nazwiska. Postawię im jedynie pytanie: jak to się stało, że grupy społeczne, które już w czasach PRL-u były biedne, w czasach wolnej Polski stały się jeszcze biedniejsze? Jeśli by ktoś zapytał, gdzie je znaleźć, to sugerowałbym przejechać się po rejonach Polski, w których na wsiach dominowały państwowe gospodarstwa rolne.

Z mojej uczelni do polityki poszła spora grupa uczonych i część z nich na nią powróciła. Jedną z tych osób (ze stopniem doktora prawa) pełniła funkcję premiera, a po powrocie na uczelnię potrafiła na tyle dobrze się odnaleźć, że uzyskała stopień doktora habilitowanego oraz stanowisko uczelnianego profesora. Nieźle odnalazł się w akademickim życiu również socjolog, który w polityce doszedł do funkcji podsekretarza stanu i doradcy wicepremiera. Po powrocie na uczelnię uzyskał tytuł profesora i opublikował m.in. w prowadzonej przez LIT Verlag angielskojęzycznej serii monografię naukową (miała ona wydanie również w Chinach). Trudniej było się odnaleźć w akademickich realiach socjologowi ze stopniem doktora, który pełnił funkcję wicepremiera. Po powrocie na uczelnię otrzymał zatrudnienie na stanowisku profesora kontraktowego, jednak w jednostce filialnej mojej uczelni. Od wielu lat pozostaję w relacjach koleżeńskich z socjologiem (z tytułem profesora), który w polityce doszedł najpierw do funkcji wicemarszałka senatu, a później ambasadora RP w Maroku. Przed pójściem „w politykę” miał znaczące osiągnięcia naukowe i mocną pozycję w akademickim środowisku. Nie chciałbym jednak wyręczać socjologów w odpowiedzi na pytanie, czy po powrocie do życia akademickiego prowadzi równie aktywne i efektywne badania naukowe.

Warto patrzeć przed siebie

Jubileusz to zwykle dobra okazja do podsumowań. Dokonując analiz dotyczących tego, co się wydarzyło, nie warto jednak skupiać się wyłącznie na czasach minionych. Życie bowiem jest płynnym procesem, a konieczność sprostania nowym wyzwaniom wymaga ciągłego doskonalenia umiejętności spoglądania w przód. W redakcji „Życia Uniwersyteckiego”, pisma Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, obchodzącego właśnie trzydziestolecie swojego istnienia, pamiętano o tym, by wzrok kierować ku temu, co będzie. Z okazji okrągłej rocznicy zaproszeni badacze z poznańskiej uczelni przybliżyli czytelnikom swoje wizje przyszłości. Skupiając się na motcie przewodnim, które brzmiało: „Co przyniesie nam życie”, przemysleniami podzielił się socjolożka i socjolog, fizyk, chemik, polonista, a także astronom, informatyk, politolog oraz fizyk. Każda z tych osób w wybranym przez siebie stylu i formacie opowiedziała, jak może wyglądać jutro całej ludzkości.

Z tej inspirującej intelektualnie zabawy dotyczącej antycypacji możliwych rozwiązań wyłonił się obraz całkiem innego świata. Takiego, w którym po ulicach miast śmigać będą autonomiczne taksówki, stanowiące coś więcej niż tradycyjny samochód. Takiego, gdzie nikt nie marnuje energii. W nowej odsłonie rzeczywistości rewolucja dokonać się ma przy pomocy obliczeń kwantowych, które pomogą w tworzeniu dokładniejszych modeli klimatycznych i finansowych. Mając do dyspozycji dokładniejsze prognozy, można będzie zadbać o bardziej zrównoważony rozwój wielu różnych obszarów. Swoją rolę do odegrania będzie miał także biodruk 3D. Technologia, której potencjał już dziś jest widoczny w wielu obszarach, rozwinie się mocniej. Dzięki niej będzie można wydrukować nie tylko sztuczny organ, ale także ulubionego kotleta. W obszarze związanym z żywnością coraz istotniejszą rolę do odegrania będą miały badania nad GMO. Równolegle rozkwitnie sektor rolnictwa przemysłowego. Ta akurat niezbyt korzystna tendencja łączyć się będzie z koniecznością zwiększonej produkcji rolnej wynikającej z potrzeb rosnącej populacji ludzkiej. Szacunki poka-

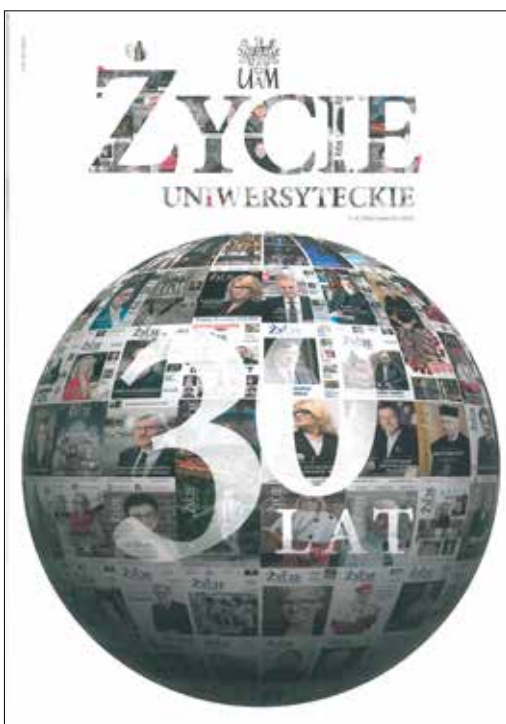
zują bowiem, że około 2100 roku na naszej planecie żyć będzie prawie 11 miliardów ludzi. W nadchodzącym świecie pojawi się także więcej ebooków. Dzięki ich systematycznie zwiększanej ilości oszczędzi się nie tylko pieniądze i lasy, ale także zaofiaruje chociażby możliwości zindywidualizowanego dopasowania czcionki do warunków fizycznych.

Patrząc w przyszłość, nie sposób nie poruszyć kwestii zagospodarowania Kosmosu. Przewidywania wskazują, że w najbliższych dekadach można spodziewać się powrotu ludzi na Księżyc i założenia na nim stałej bazy. Nie tak odległa wydaje się perspektywa kolonizacji Marsa jako planety o warunkach zbliżonych do ziemskich. Tym, co z pewnością przyniesie jutro, będzie konieczność zmierzenia się ze sztuczną inteligencją, która już dziś budzi wiele skrajnych emocji. Czy nam zagrazi, czy może da szansę? Stawiając w ten sposób pytanie, warto pamiętać, że żadna technologia sama w sobie nie jest niebezpieczna, ryzyko pojawia się wtedy, kiedy człowiek, który nią dysponuje, chce zrobić z niej niewłaściwy użytek. Przyszłe losy naszej planety z pewnością zależeć będą od odpowiedniego gospodarowania energią. Dlatego tak ważne stanie się pozyskiwanie jej z wielu różnych źródeł. Swoją rolę do odegrania w takich okolicznościach będzie miał wodór. On bowiem może stanowić jeden

z elementów pozwalających rozwiązać problem nieciągłości dostaw prądu.

Wreszcie w świecie, który jeszcze przed nami, ważna z pewnością okaże się kwestia dbałości o pokój. Potrzebna więc będzie silna wspólnota, jaką jest dziś Unia Europejska, po to, by wzmacniać poczucie bezpieczeństwa. Jak ono jest kruche, pokazała najlepiej tocząca się obecnie wojna w Ukrainie. Przyszłość, jak widać, może mieć wiele różnych wymiarów. Czas pokaże, która z przedstawionych wizji okaże się trafna. Niezależnie od tego warto już dziś patrzeć w przód, próbując odpowiedzieć na pytanie, co przyniesie nam życie.

Aneta Zawadzka



Rozmowa z prof. Henrykiem Kuźniakiem, kompozytorem, muzykologiem, wieloletnim pedagogiem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi

Doktorzy – auktorzy, czyli gra vabank

Gdy dochodzi do sceny pogrzebu Kwinty, mówię do muzyków: „Zafałszujcie”.
A oni: „Nie, nie możemy”. Ale w końcu im się udało.

W tym roku mija 20. rocznica uchwalenia Ustawy o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz stopniach i tytule w zakresie sztuki, która potwierdziła równoważność pojęć: „nauka” i „sztuka”, „badania naukowe” i „twórczość artystyczna”. Jak pan wspominał, „droga do uchwalenia ustawy była długa i przykra”. Dlaczego?

Jak wiadomo, o ustawach decydują politycy, jednak w tym przypadku nie było wyraźnych sugestii z ich strony. Natomiast niektóre instytucje związane ze szkolnictwem wyższym i niektórzy przedstawiciele świata nauki skutecznie blokowali inicjatywy mające na celu zrównanie awansu naukowego pedagogów z zakresu nauki i sztuki. Powołam się chociażby na rozpowszechnianą w środowiskach akademickich broszurę prof. Andrzeja Rakowskiego pt. *Awansowanie kadry akademickiej w wyższych szkołach artystycznych*. Zacytuję jej fragment: „Odważyć się być pierwszym proponującym (zachęcam następnych), by uznanie kwalifikacji artystyczno-pedagogicznych I stopnia oznaczało uzyskanie stopnia artystyczno-pedagogicznego o nazwie «auktor»”. Następnie autor broszury sugeruje wprowadzenie stopnia artystyczno-pedagogicznego o nazwie „auktor habilitowany” lub „artysta edukator habilitowany”.

„Auktor” brzmi dosyć kuriozalnie, a dlaczego nie doktor?

Właśnie, można zadać sobie pytanie, dlaczego poświęcono tyle czasu i energii, żeby nie dopuścić do równego traktowania nauczycieli akademickich z zakresu nauki i sztuki. Jest chyba logiczne, że jeśli student kończy kierunek artystyczny i otrzymuje tytuł magistra sztuki, to w wyniku dalszego awansu powinien uzyskać stopnień doktora sztuki, a później doktora habilitowanego sztuki i profesora sztuki. Co ciekawe, niechęć do wprowadzenia stopni w sztuce ujawniali głównie przedstawiciele ówczesnego Komitetu Nauk o Sztuce PAN i Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej.

Czy wie pan dlaczego?

Odpowiem kolejnym pytaniem – czyżby chodziło o potraktowanie nauczycieli akademickich na kierunkach artystycz-

nych jako „braci młodszych w rozwoju”? A przecież historyk sztuki (nawet posiadający stopień doktora habilitowanego czy tytuł profesora) nie nauczył studenta rysować, rzeźbić, malować, muzykolog nie nauczył komponować, dyrygować, grać na fortepianie, filmolog nie wykształcił reżysera ani teatrolog nie nauczył gry aktorskiej i reżyserii teatralnej czy telewizyjnej. Muszą to robić twórcy praktycy: malarze, plastycy, kompozytorzy, instrumentalści, reżyserzy, aktorzy, którzy nie powinni być dyskryminowani w zakresie awansu akademickiego. Jeszcze przed uchwaleniem ustawy dyskusja o stopniach w sztuce przeniosła się na łamy prasowe. W czwartym numerze „Polityki” z 25 stycznia 2003 roku ukazała się notatka pt. *Cale mnóstwo profesorów* z informacją o nominacjach profesorskich, jakie miały miejsce w Pałacu Prezydenckim. „W uczelniach artystycznych nominować łatwiej – pisze autor – bowiem tytuł otrzymuje się za zasługi, a nie w żmudnym procesie pokonywania kolejnych szczebli naukowej kariery”.

Jak wiem, nie pozostawił pan tego stwierdzenia bez odpowiedzi.

Będąc przewodniczącym Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego, natychmiast wysłałem sprostowanie adresowane do ówczesnego redaktora naczelnego „Polityki”. Napisałem, że nikt, kto zna chociażby powierzchownie procedurę przyznawania stopni i tytułu w sztuce, która jest identyczna z procedurą przyznawania stopni naukowych i tytułu naukowego w nauce, nie może stwierdzić, że tytuł w sztuce otrzymuje się „za zasługi”! Twórcy i artyści również uczestniczą w żmudnym procesie pokonywania kolejnych szczebli kariery artystycznej. Otrzymanie tytułu profesora sztuki wiąże się z posiadaniem stopnia doktora habilitowanego lub równorzędnych kwalifikacji II stopnia i znaczących osiągnięć artystycznych w określonej dziedzinie sztuki. Ponadto kandydaci na profesorów muszą mieć osiągnięcia pedagogiczne, legitymować się dorobkiem w zakresie kreowania kadry, nie wspominając już o takich przymiotach jak talent i uzdolnienia artystyczne.

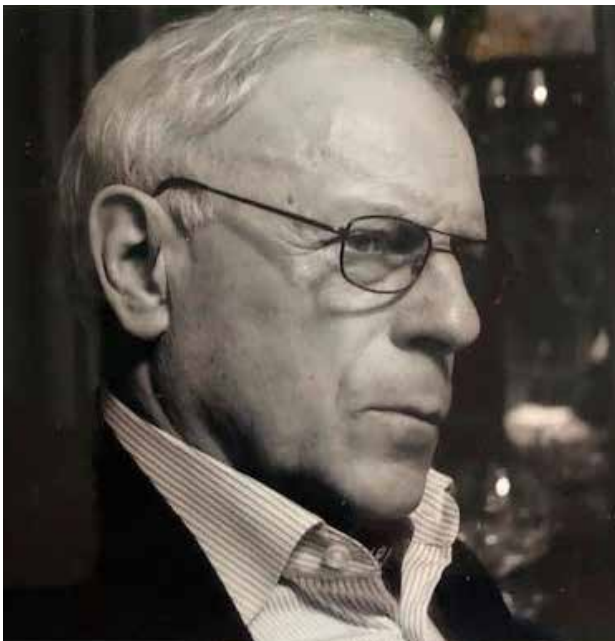
Jakie były dalsze losy projektu ustawy?

Było jeszcze sporo emocji. Tuż po publikacji artykułu pt. *Całe mnóstwo profesorów uczestniczyłem w uroczystości wręczenia nominacji profesorów* w Pałacu Prezydenckim. Nagle podchodzi do mnie ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski i pyta: Czytał pan ten artykuł w „Polityce”?! Był wyraźnie zaniepokojony, za chwilę ma wręczać nominacje, a właśnie dowiedział się z prasy, że artyści otrzymują tytuły za bliżej nieokreślone „zasługi”. Uspokoiłem go, że sprostowanie zostało wysłane, a później, gdy żegnałem się z nim w związku z zakończeniem mojej kadencji w RWSA, zaprosił mnie na spotkanie do Pałacu Prezydenckiego, aby omówić kwestie związane z ustawą.

Muszę teraz wspomnieć o najcięższym dniu w całej mojej karierze w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego, gdy wydawało się, że losy tak istotnych zapisów wiszą na włosku. Zostałem zaproszony na obrady Prezydium Rady Głównej, na którym miało się odbyć głosowanie w sprawie rekomendacji projektu ustawy. Gościem był także wspomniany już zwolennik tytułów „auktor” i „auktor habilitowany”, który wystąpił ze stosownym referatem. Widziałem, że gremium jest zupełnie zdezorientowane, i zdałem sobie sprawę, że muszę pierwszy zabrać głos w dyskusji. Zdesperowany, jeszcze raz przedstawiłem argumenty za uznaniem równoważności stopni i tytułów w nauce i sztuce. Na szczęście moja argumentacja przekonała członków rady. Przewodniczący prof. Andrzej Pelczar wypowiedział oczekiwane zdanie: „Dobrze, zamykamy sprawę. Zostawiamy projekt w dotychczasowym kształcie”. Odetchnąłem z ulgą, jakby zdjęto ze mnie ogromny ciężar. Następnym krokiem było już tylko głosowanie w Sejmie.

Ustawa została uchwalona 14 marca 2003 roku. Czy zakończyła dyskusję w środowisku akademickim na temat statusu artystów – naukowców?

Skądże, ustawa jeszcze dobrze nie okrzepła, a już pojawiły się wypowiedzi próbujące podważyć wartość jej zapisów. W marcu 2003 na łamach „Forum Akademickiego” opublikowana została opinia prof. Leszka Malickiego, agrotechnika, pod wymownym tytułem: *Prawodawczy bubel czy sukces lobby?* Prof. Malicki stwierdził, że „nauka i sztuka to sfery zupełnie do siebie nieprzystające” i zaproponował odstąpienie od wprowadzonych zmian, co spotkało się z emocjonalną odpowiedzią prof. Włodzimierza Lecha Puchnowskiego, także



Prof. **Henryk Kuźniak**, kompozytor, muzykolog i pedagog. Absolwent muzykologii na Uniwersytecie Warszawskim. Przez 50 lat wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Działalność dydaktyczną prowadził również w Europejskiej Akademii Filmowej w Strassburgu i na Uniwersytecie Leonarda da Vinci w Paryżu. Skomponował muzykę do ponad 180 filmów, m.in.: *Vabank*, *Vabank II*, *Seksmisja*, *Parada oszustów*, *Sukces*, *Na kłopoty Bednarski*. W latach 1999–2005 był członkiem Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, w tym w latach 1999–2002 przewodniczącym Sekcji Uczelni Artystycznych. W latach 1999–2002 pełnił funkcję przewodniczącego Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego (RWSA). Uhonorowany m.in. Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki za twórczość artystyczną i działalność pedagogiczną, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (Polonia Restituta). 31 maja 2012 roku w Alei Sławy w Łodzi została odsłonięta gwiazda z jego nazwiskiem.

opublikowaną w FA. Trzeba podkreślić, że nauczyciele akademicy, twórcy i artyści wykonawcy nie korzystają w swoim życiu zawodowym ze stopni i tytułów, nie mają w tym interesów, nie dopisują stopni i tytułów do swoich nazwisk na plakatach koncertowych, wystawach, w katalogach, czołówkach filmowych. Nie jest im to potrzebne, ich nazwiska są wartością samą dla siebie, bez potrzeby dodawania sobie prestiżu przez stopień czy tytuł, nie mają więc interesu zawodowego – indywidualnego czy grupowego. Natomiast nie jest obojętne dla interesu uczelni i jej pedagogów z zakresu nauki i sztuki, czy pracujący na tym samym wydziale są sobie równi i czy ich stopnie i tytuły są równoważne czy też nie. Ja w tych zapisach ustawowych widzę ogólne dobro sprawy. I dlatego należy ustawę traktować w tym względzie jako regulację prawną przemianą i pożyteczną.

Nic dodać nic ująć. Batalię o zapisy ustawy toczył pan w imieniu artystów. Co, pana zdaniem, łączy pracowników akademickich reprezentujących różne dziedziny sztuki?

Najpierw muszę doprecyzować, że batalia, o której pani wspomina, toczyła się już od wielu lat i byli w nią zaangażowani kolejni przewodniczący RWSA, a także rektorzy uczelni artystycznych oraz wiele znakomitych postaci z akademickich środowisk twórczych. Natomiast szukając odpowiedzi na pytanie, co łączy twórców z różnych dziedzin, musimy porozmawiać o prawie. W prawie autorskim i prawach pokrewnych nie znajdzie pani wzmianki o malarzu czy kompozytorze. Znajdzie się tam natomiast termin „twórca”, „dzieło”. Zamiast komponowania mamy więc „ustalenie” i później „utrwalenie”, czyli, mówiąc potocznie, wykonanie dzieła np. przez muzyka czy aktora. Terminy „ustalenie” i „utrwalenie” dotyczą także twórczego zamysłu i zarazem realizacji pracy malarskiej czy rzeźbiarskiej. Tyle na temat prawa, więcej napisałem w książce pt. *Twórczy wkład artystów wykonawców w wykonanie utworu słowno-muzycznego – analiza problemu w ujęciu teorii muzyki i prawa*, której jestem współautorem wraz z prawnikiem Dariuszem Kuberskim (wyd. SAWP). Jeśli natomiast przeniesiemy się na płaszczyznę relacji akademickich, to powiem, że artystów łączy niestety częsty brak zrozumienia ze strony środowiska naukowego dla specyfiki ich działalności naukowej i artystycznej. Chciałbym więc złożyć serdeczne podziękowanie nie wszystkim, jakże liczny osobom i gremiom, które wyka-zały się zrozumieniem dla naszych inicjatyw legislacyjnych,

a zwłaszcza Maksymilianowi Celedzie, ówczesnemu dyrektorowi Departamentu Szkolnictwa Artystycznego w Ministerstwie Kultury.

A teraz przejdźmy do dziedziny, która jest panu najbliższa. Jakich wskazówek udzieli pan przyszłym twórcom muzyki filmowej na podstawie własnych doświadczeń?

Jeśli miałbym zwrócić się do kompozytorów, powiem przede wszystkim: kompozytor powinien wiedzieć, że nie jest najważniejszy, że wchodzi w obszar, w którym pewna konwencja została już częściowo określona, gdzie jest sporo elementów konkurencyjnych – obraz, słowo brzmiące, dźwięki dochodzące z otoczenia lub cisza. On nie może sobie powiedzieć: „Teraz zrobię rock and rolla, bo tak mi się podoba”. Napisanie tematu do filmu musi wynikać z analizy strukturalnej i treściowej tego filmu. Należy pamiętać, że dialog to jest rytm, jeżeli wejdzie w kolizję z rytmem muzyki, stanie się nieczytelny, a przecież musi mieć pierwszeństwo. Moja zasadnicza uwaga jest taka: trzeba po prostu myśleć. I pamiętać, że każdy film jest prototypem. Zdarza się, że kompozytorzy wybitni, jak Ennio Morricone, mają kompleks muzyki filmowej. Tymczasem muzyka filmowa jest trudniejsza, ponieważ kompozytor piszący muzykę autonomiczną jest niezależny. Jeśli ma pomysł na krótki utwór, swobodnie decyduje, czy będzie on miał trzy, cztery i pół czy sześć minut. Kompozytor piszący muzykę do filmu nie ma tej swobody – przychodzi, gdy film jest rozpoczęty, gdy jest już zaangażowany scenarzysta, reżyser, operator obrazu, są aktorzy. Musi wiedzieć, że nie jest najważniejszy, a jeżeli pomyśli, że jest „Beethovenem” i przestanie liczyć się z otoczeniem, będzie to szalona pomyłka.

Czasami muzyka filmowa zaczyna później żyć własnym życiem. Wspomniał pan o Ennio Morricone, ale pan także wydawał płyty z własną muzyką.

To już inna sprawa. Jak sama nazwa wskazuje, muzyka filmowa jest przeznaczona do filmu. Ona w pewnym sensie idzie na służbę i powinna wspomagać film. Jeśli tego nie robi, to jest złą muzyką. Są co prawda przypadki, kiedy muzyka staje się ozdobnikiem w filmie i też dobrze, ale to musi być świadoma decyzja kompozytora.

Podobno w dyskusjach z reżyserami filmowymi charakteryzował się pan wnikliwością, a przed nagraniem zdarzało się, że rozstrajał pan pianina i zachęcał muzyków do fałszowania...

Reżyserzy przeważnie niewiele wiedzą o muzyce, podobnie jak kompozytorzy niewiele wiedzą o filmie. Ja uważam, że jestem zarówno muzykiem, jak i filmowcem. Pisząc muzykę do filmu, myślę w kategoriach filmowych. Zofia Lissa, autorka książki *Estetyka muzyki filmowej*, stwierdziła, że dobra jest taka muzyka, która wnosi przede wszystkim to, co filmowe, a nie to, co muzyczne. Co to znaczy w praktyce? Na przykład, że jako filmowiec rozstrajam pianino do *Vabanku*, bo wolę, żeby brzmiało jak w remizie strażackiej, a nie jak w filharmonii. Oczywiście muzyk autonomiczny zaraz by je nastroił. Gdy dochodzi do sceny pogrzebu Kwinty, mówię do muzyków: „Zafałszujcie”. A oni: „Nie, nie możemy”. Ale w końcu im się udało. Potem, gdy wydawałem płytę, musiałem coś z tym zrobić, aby nie powiedziano: „To on nie słyszał, że grają fałszywie?”. Na szczęście są na to różne sposoby.

A co doradziłby pan filmowcom?

Przez pięćdziesiąt lat jeździłem do Szkoły Filmowej do Łodzi. Zdarzało się, że koledzy pytali: „Po co ty tam jeździsz? Czego ty ich uczysz?”. Odpowiadałem wtedy: „Uczę ich myślenia”. I to jest prawda. Radzę filmowcom, żeby poznali, kiedy muzyka ma

fakturę polifoniczną, kiedy homofoniczną i co z tego wynika. Zawsze uczyłem ich, że trzeba umieć słuchać i porównywać. Miałem studentów, którzy wcześniej, na poziomie szkoły podstawowej czy średniej, nie uczyli się muzyki, a dziś np. reżyserują opery, jak Mariusz Treliński, który potrafi się porozumieć i z dyrygentem, i ze śpiewakiem, bo wie to, co powinien wiedzieć.

Jakie są etapy pracy ze studentami?

Nigdy nie zachęcałem studentów do górnolotnego zachwyty nad piękną muzyką, raczej namawiałem ich, żeby uczyli się odkrywać tajemnice, których muzyka pilnie strzeże. Wiedziałem, że i tak będą słuchać tego, czego chcą. Konkretyzowałem więc zajęcia – na początku przyciskałem dwa klawisze fortepianu i zamykałem klawę. „Mamy dwa dźwięki. Jaka jest różnica między nimi?”. Studenci muszą nauczyć się słuchać. Kiedyś, po latach, spotkałem światowej sławy reżysera Lecha Majewskiego, który był moim uczniem. Powiedział mi wówczas: „Czy Pan wie, że ten zeszyt z pierwszego roku cały czas mam przy sobie? Jak rozmawiam z kompozytorem, to do niego sięgam”. Ale u mnie, gdy wspominałem o muzyce tonalnej, to student musiał wiedzieć, czym ona się różni od muzyki atonalnej. Powinien też wiedzieć, w jaki sposób można odwzorować metrykę utworu muzycznego w obrazie filmowym, co po mistrzowsku czyni Zbigniew Rybczyński. Nie byłem łatwym profesorem. Kiedyś przyszedł na egzamin student z Mongolii. Mówię: „Powiedz mi, co to jest muzyka?”. On na to: „Muzyka to najpiękniejsza rzecz na świecie”. „Skończyłeś?”. „Tak”. „Ale nie zdajesz”. Podobnie bywa w przypadku kompozytorów – gdy zabraknie podstaw, mogą później nagrywać muzykę i np. zapomnieć o obrazie. Muzyka gra głośno, ale tekstu nie słychać. Reżyser woła: „Wyżej dźwięki!”, a muzyka przechodzi do warstwy szumowej i z całej tej atrakcji nic nie zostaje. Dlatego – jak wspominałem – uczę myślenia i wyciągania konsekwencji. Aby nie stało się tak, że w filmie animowanym kompozytor, próbując trafić w synchro, zaczyna toniką i kończy toniką. Mówię mu: „Musisz zaczynać na tonice, ale kończyć na dominancie, wtedy zachowasz ciągłość rozwoju utworu”. Chociaż mam duże doświadczenie, muszę przyznać, że każdy film był dla mnie trudny, bo – jak wspominałem – każdy film jest prototypem. Nigdy nie miałem w szufladzie gotowej muzyki do filmu.

Wyjątkiem był pewien motyw z *Vabanku*.

Wie pani, w gimnazjum, parę lat po wojnie mieliśmy orkiestrę, która w soboty grała na wieczorkach tanecznych. W końcu zabrakło nam już nut do grania i musieliśmy sobie z tym poradzić, więc mój kolega Rysiek Dudek, późniejszy znakomity dyrygent i profesor Akademii Muzycznej, zaczął pisać muzykę, co i mnie zainspirowało do napisania kilku utworów. Skład naszego zespołu był podobny jak później w *Vabanku* – mieliśmy np. dwie trąbki, tam też są dwie, bo jest dwóch bohaterów – przyjaciół, którzy grają na trąbkach. W tym przypadku mogłem skorzystać z gotowego motywu, ale tylko dlatego, że wynikało to z konkretnej potrzeby. Jeżeli ktoś chce pisać muzykę filmową, musi umieć napisać wszystko, a nie zamykać się tylko w jednej konwencji. I albo umiesz to zrobić, albo nie.

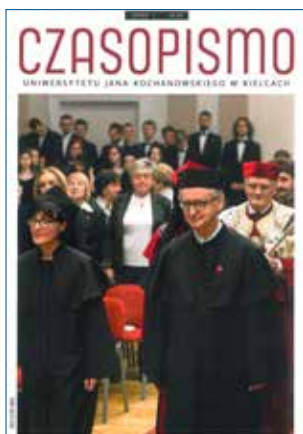
A na marginesie dodam jeszcze, że oryginalnymi nagraniami mojej muzyki do filmów dyrygowali Jerzy Maksymiuk i mój szkolny kolega Ryszard Dudek.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Czytelnia czasopism

Pozytywnie zmotywowani

Na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach nie kryją zadowolenia z ostatecznych wyników przeprowadzonej w ubiegłym roku ewaluacji. Ocena jakości jest niezwykle ważna, bo pozwala myśleć o dalszym rozwoju uczelni. Przyznane kategorie A i B w trzech dyscyplinach i B+ w piętnastu to realna szansa na utrzymanie wysokiej pozycji szkoły wyższej ze stolicy województwa świętokrzyskiego. Jak podkreśla „Czasopismo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach” (nr 1/2023), uzyskany efekt sukcesu możliwy był do osiągnięcia dzięki zaangażowaniu wszystkich pracowników uczelni. Przygotowanie do tej niezwykle złożonej procedury wymagało od nich ogromnej pracy związanej ze skomplikowanymi szczegó-

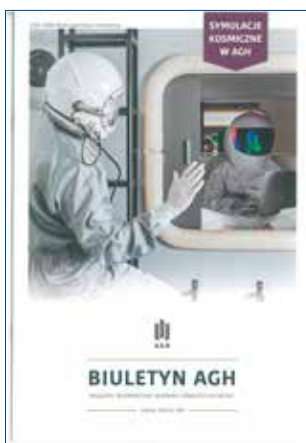


łami technicznymi, które należało dobrze rozpoznać. Podjęty wysiłek i ponadprzeciętne zaangażowanie z pewnością się opłaciły. Otrzymane oceny pozwalają bowiem, po pierwsze, na uzyskanie nowych uprawnień do nadawania stopnia doktora w sześciu dyscyplinach, a doktora habilitowanego w czternastu, co stanowi spory progres, bo do tej pory na UJK tylko cztery z nich dysponowały takimi uprawnieniami.

Po drugie, od kategorii naukowych przyznanych dyscyplinom zależą uprawnienia do tworzenia studiów. Dają one ponadto możliwość zgłaszania kandydatów do Komisji Ewaluacji Nauki i Rady Doskonałości Naukowej oraz otrzymywania z budżetu państwa subwencji dla poszczególnych jednostek naukowych. Oczywiście dalszy rozwój wymagać będzie podtrzymania zapału do pracy i jeszcze większej motywacji do realizacji rozpoczętej misji.

Mocna piątka

Do skutecznego planowania przyszłości niezbędne jest posiadanie precyzyjnej koncepcji. Dobrze to wiedzą w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, gdzie nie tak dawno zakończyły się prace nad tworzeniem nowej strategii. O tym, co dokładnie znalazło się w tym niezwykle istotnym dokumencie, informuje „Biuletyn AGH” (nr 3/2023). Wskazane w nim cele strategiczne, czytamy, obejmują kilka istotnych obszarów. To nowoczesne kształcenie, uczelnia otwarta na studentów, nauka, współpraca i atrakcyjne miejsce pracy. Wszystkie z nich są niezbędne, aby wytyczyć kierunek, w którym uczelnia chce zmierzać. Uaktualniona wizja stawia przed AGH nowe wyzwania. Tym podstawowym jest z całą pewnością utrzymanie uniwersyteckiego



etosu. W najbliższych latach podejmowane wysiłki koncentrować się będą na wybranych kierunkach badań i konkretnych dyscyplinach naukowych, które staną się wizytówkami uczelni. Wzmacniana będzie międzynarodowa współpraca ze światowymi i krajowymi ośrodkami naukowymi po to, by skutecznie rozwiązywać problemy i wyzwania, przed jakimi stoi współczesny świat.

Nowa strategia jest dokumentem kompleksowym, który określa cele i zadania na wszystkich poziomach organizacji. Ostatecznie chodzi zarówno o to, by umocnić pozycję i markę uczelni, zapewnić jej prężne działanie w przyszłości, jak również, by pozostała ona miejscem, w którym przestrzega się uniwersalnych wartości. Dlatego właśnie dostępność oraz inkluzyjność stanowią sprawy tak niezwykle ważne. W AGH nie ma z pewnością zgody na nietolerancję i wykluczanie. Wiele wyzwań stoi przed uczelnią z ponad stuletnią tradycją, którym chce ona z pewnością sprostać, by stale rozwijać się jako uniwersytet przyszłości.

To musi być otwarta wspólnota

Do wiedzy dostęp powinien mieć każdy, kto zechce. Wolność nauki i nauczania, jak czytamy w piśmie pracowników i studentów Wojskowej Akademii Technicznej „Głos Akademicki” (nr 2/2023), to zasoby, które „są z założenia cechą charakterystyczną funkcjonowania uniwersytetów”. Jednak, jak pokazuje historia, w dziejach świata bywało zupełnie inaczej. Uczelnie nigdy bowiem nie działały w pustce. Otaczająca je określona struktura społeczna powodowała, że i te jednostki musiały dopasować się do obowiązujących standardów określających zasady i normy. Jedną z nich było niedopuszczanie kobiet do edukacji akademickiej. Wyjątki, jakie istniały na przykład w Uniwersytecie Bolońskim, który od chwili powstania dopusz-

To musi być otwarta wspólnota

czał nauczanie kobiet szlachetnie urodzonych, w sposób istotny nie mogły zmienić istniejącego stanu rzeczy. Dopiero przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku przyniósł realne zmiany wprowadzające kobiety w strukturę szkół wyższych.



A jak jest obecnie? O sytuację kobiet w nauce w obecnych czasach zapytano cztery badaczki z WAT. Odpowiadając na

przygotowane pytania, wszystkie właściwie zgodziły się co do tego, że nauka nie ma płci ani wieku. Liczą się za to predyspozycje i kompetencje. One same, jak podkreślają, świadomie wybrały ścieżkę uniwersyteckiej kariery i nigdy nie żałowały podjętej decyzji. Ważna dla nich była chęć poszerzania wiedzy, poszukiwanie nowych rozwiązań oraz ciekawość świata. Badaczki przyznały, że obecność kobiet w nauce wnosi nowe podejście do wielu problemów, a społeczność akademicka powinna być zróżnicowana, by można było zadbać o jej rzeczywisty rozwój. Prezentowane postawy mogą stanowić dobry impuls dla wszystkich kobiet, które chciałyby, ale może nie mają śmiałości, by rozpocząć swoją własną zawodową ścieżkę kariery.

Aneta Zawadzka

Cyryl i jego metody

Polacy często odczytują angielską transkrypcję rosyjskich i ukraińskich nazw i nazwisk tak, że powoduje to kolejne deformacje i bywa, że oryginalne brzmienie staje się niemal nierozpoznawalne.

Inwazja Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 roku spowodowała w Polsce wzrost zainteresowania językiem ukraińskim, niestety mniejszy niż się początkowo wydawało. Niestety, gdyż znajomość języka sąsiada zazwyczaj pozwala bardziej otworzyć się na jego doświadczenie, kulturę i perspektywę (chyba że ktoś uczy się z motywacją, że „trzeba znać język wroga”, ale chciałbym tu wyraźnie podkreślić, że jest mi ona całkowicie obca). Jednocześnie ze zrozumiałych względów język rosyjski znalazł się na cenzurowanym – na kilku polskich uczelniach w roku akademickim 2022/2023 nie uruchomiono w ogóle I roku rusycystyki z powodu nikłego zainteresowania. W mojej pracy jako redaktora publikacji naukowych nie mogę jednak i nie zamierzam wdrażać żadnego bojkotu języka czy kultury rosyjskiej. Niezależnie od aktualnej i przyszłej sytuacji geopolitycznej każdy język i kultura domagają się traktowania z merytoryczną starannością i powagą. Nie wyobrażam sobie redagowania tekstów prezentujących punkt widzenia rosyjskiej propagandy, ale rosyjskojęzyczne elementy w opracowywanych materiałach muszą być tak samo poprawne, jak passusy po polsku, angielsku czy niemiecku. Z kolei staranna kontrola nazw, nazwisk, tytułów, cytatów itp. po ukraińsku pozwala na przeniesienie na polski (lub anglojęzyczny) grunt specyfiki tego języka i kultury.

Nie ma jednej „cyrylicy”

Jak już wyżej wspomniałem, nie znam ani ukraińskiego, ani rosyjskiego na tyle dobrze (nawet tylko biernie i tylko w piśmie), aby redagować w tych językach nawet proste teksty. Błędy w ortografii pojedynczych wyrazów lub znanych cytatów można sprawdzić w słownikach, ale jeśli dany materiał zawiera więcej niż pojedyncze słowa w języku, którego redaktor dobrze nie zna, zawsze należy poprosić o konsultację osobę naprawdę dobrze mówiącą w danym języku, a optymalnie native speakera z wyższym wykształceniem. Artykuł ten dotyczy zatem krótkich cytatów i tytułów przytaczanych w oryginale przez autorów tekstów po polsku, angielsku lub niemiecku, a także podawania nazw własnych (miast, obiektów geograficznych, instytucji) i nazwisk w transkrypcji (rzadziej transliteracji) na język zapisywany alfabetem łacińskim. Błędy w takich elementach tekstu zdarzają się nie tylko w mediach, ale także publikacjach naukowych i popularnonaukowych.

Znajomość alfabetów cyrylickich nie jest umiejętnością niezbędną w nauce, natomiast nie przestaje mnie zdumiewać, jak często spotykam ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy, że nie ma jednej „cyrylicy”, ale kilka alfabetów cyrylickich, różniących się (wprawdzie w stosunkowo niewielkim stopniu, ale jednak) między

sobą. Jeśli dany autor zamierza umieszczać w swoim tekście np. tytuły cytowanych publikacji w oryginale (nawet jeśli czytał je w tłumaczeniu na inny język i jest to zaznaczone w przypisie lub na liście piśmiennictwa), to warto, aby nie wklejał bez kontroli fragmentów tekstu w alfabecie, którego nie zna. Trzymam właśnie w ręku stworzony przez polskie wydawnictwo kalendarz książkowy, w którym nazwy dni tygodnia podano po polsku, angielsku, niemiecku i... no właśnie. Poniedziałek, wtorek i środa są po ukraińsku, czwartek, piątek i sobota po rosyjsku, a niedziela znowu po ukraińsku. Błąd wziął się zapewne stąd, że dni powszednie nazywają się w obu językach podobnie, różnice dotyczą jednej lub dwóch liter i osoba nieznająca żadnego z tych języków ani żadnego z alfabetów, a która jednocześnie nie porównała zapisu w składanym kalendarzu z listą dni tygodnia w żadnym z tych dwóch języków, mogła nie zauważyć pomyłki. Dla porównania: po ukraińsku понеділок, вівторок, середа, четвер, п'ятниця i субота, a po rosyjsku понедельник, вторник, среда, четверг, пятница i суббота. Jedynie niedziela wygląda w obu językach zupełnie inaczej: po ukraińsku неділя, a po rosyjsku воскресенье. Świadomie nie podaję wymowy tych wyrazów na użytek czytelników nieznających żadnego alfabetu cyrylickiego, chodzi o samą wizualną postać wyrazów. Tekst złożony z więcej niż kilku słów można zidentyfikować jako rosyjski lub ukraiński bez znajomości żadnego z tych języków, cyrylica ukraińska i rosyjska różnią się kilkoma znakami charakterystycznymi tylko dla jednej z nich. Rosyjski ma litery Ёё, ъ, ы i Ээ, które nie występują w ukraińskim, natomiast alfabet ukraiński zawiera litery Її, Єе, Іі i Її, które nie są używane w ortografii rosyjskiej. Występują też różnice w znaczeniu liter o takiej samej postaci, lecz nie jest to tematem tego tekstu. W czasach ZSRR ukraiński był często zapisywany za pomocą cyrylicy rosyjskiej, co zniekształcało wymowę (zwłaszcza u osób, dla których nie był to język ojczysty), ale są to czasy słusznie minione.

Otczestwa nie można zastępować inicjałami

Niektóre aspekty poprawności podawania nazw i nazwisk ukraińskich i rosyjskich związane są z kwestiami kulturowymi, a zatem pozajęzykowymi. Dla starszego pokolenia, nawet jeśli dana osoba nie mówi po rosyjsku, oczywisty jest charakterystyczny współcześnie dla Rosji, Ukrainy, Białorusi i Bułgarii zwyczaj posługiwania się jako drugim imieniem tzw. imieniem odojcowskim, zwanym też otczestwem (отчество, nosi ono – ros. ojciec). W krajach tych bardzo rzadko ktoś nosi dwa imiona nadane przy urodzeniu (np. Władysław Jan Grab-

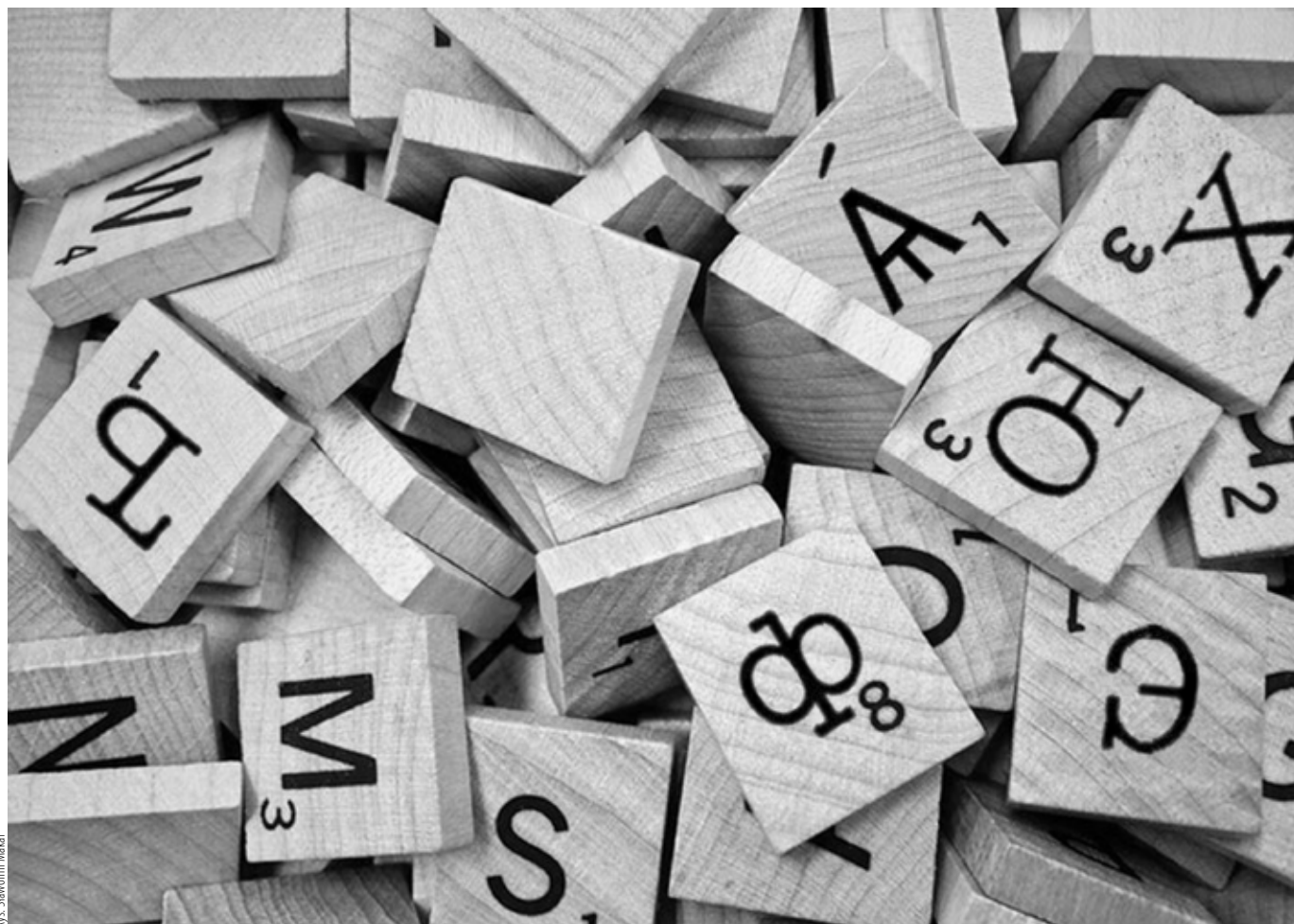
ski). Błędy, na które napotykam szczególnie w tekstach anglojęzycznych, wynikają z niezrozumienia, że otczestwo nie jest imieniem w takim samym sensie, jak drugie imię po angielsku czy polsku. Amerykanin może się zatem nazywać John F. Kennedy lub J. Edgar Hoover (po angielsku dopuszczalne jest posługiwanie się inicjałem pierwszego imienia i pełnym drugim imieniem), a Polak Jan P. Matuszyński, ale otczestwa nie można zastępować inicjałem – albo podaje się je w pełnym brzmieniu, albo całkowicie opuszcza. Zatem prezydent Rosji nazywa się Władimir Władimirowicz Putin albo Władimir Putin, ale nigdy Władimir W. Putin (względnie Vladimir V. Putin). W pewnych sytuacjach imię odojcowskie pełni jednak w tych językach podobną funkcję, jak drugie imię po angielsku czy po polsku, gdy pozwala odróżnić od siebie dwie osoby o takim samym pierwszym imieniu i nazwisku, wtedy jednak także zawsze należy podawać otczestwo w pełnym brzmieniu.

Całym osobnym zagadnieniem jest zaś transkrypcja nazw i nazwisk ukraińskich i rosyjskich na języki zapisywane alfabetem łacińskim i różnymi jego modyfikacjami. Warto tu raz jeszcze wyraźnie podkreślić, że transkrypcja i transliteracja to nie to samo. Transliteracja opiera się na zasadzie ścisłej odpowiedniości liter: jednemu grafemowi (literze lub literze z diakrytyką, lub stałej grupie dwóch lub więcej liter) danego systemu pisma odpowiada zawsze jeden i ten sam grafem drugiego systemu. Chodzi o to, aby w razie potrzeby móc mechanicznie odtworzyć zapis w języku wyjściowym (czyli dokonać retransliteracji); transliteracja służy umożliwieniu oddania całości tekstu w jednym alfabecie, jeśli użycie innych alfabetów jest niecelowe (np. przy ułożonych alfabetycznie katalogach czy indeksach) lub niewskazane ze względów merytorycznych (np. w niektórych publikacjach językoznawczych). Jeśli natomiast celem jest

umożliwienie w przybliżeniu prawidłowego odczytania nazwy lub nazwiska osobie nieznającej danego języka lub alfabetu, stosuje się transkrypcję fonetyczną, czyli zapis wyrazów jednego języka w formie pozwalającej łatwo odtworzyć brzmienie osobie go nieznającej. Głoski jednego języka oddaje się wtedy znakami pisma innego języka, przy czym danej głosce nie zawsze musi odpowiadać tylko jeden znak, a niektóre znaki mogą być używane na oznaczanie kilku różnych głosek w języku wyjściowym.

Celem transkrypcji jest ułatwienie wymowy

Nasuwać się tu dwa problemy. Po pierwsze, systemy fonetyczne nawet spokrewnionych ze sobą języków (np. różnych języków słowiańskich) różnią się między sobą i wymowa na podstawie transkrypcji często – poza bardzo prostymi wyrazami – będzie się mniej lub bardziej różnić od oryginalnej albo brzmieniem niektórych głosek, albo akcentem, albo jednym i drugim. Ponadto celem transkrypcji jest ułatwienie wymowy, a z tego wynikają kolejne uproszczenia. Rosyjskie lub ukraińskie nazwy i nazwiska odczytane przez Polaków z polskiej transkrypcji fonetycznej brzmią nieco inaczej niż ich wymowa przez Rosjan czy Ukraińców. Nie oznacza to jednak, że skoro to i tak transkrypcja, obojętne jest, jaką transkrypcję stosujemy. Im dane dwa języki są od siebie odleglejsze pod względem pochodzenia, tym dokładne oddane brzmienia danego wyrazu jest trudniejsze. Dla przykładu: ani po angielsku, ani po niemiecku nie ma nawet przybliżonego odpowiednika głoski „ż”, zatem po angielsku rosyjskie i ukraińskie Жж oddawane jest jako „zh”, wymawiane jako „z” z lekkim przydechem (Brezhnev), a po niemiecku jako „sch”, wymawiane po prostu jako „sz” (Breschnew). Dany system transkrypcji jest zorientowany na odbiorcę posługującego się jednym, określonym



Rys. Sławomir Makal

językiem. Trzeba naprawdę biegle posługiwać się danym językiem, aby umieć prawidłowo odczytać transkrypcję fonetyczną w nim dokonaną. Polacy często odczytują angielską transkrypcję rosyjskich i ukraińskich nazw i nazwisk tak, że powoduje to kolejne deformacje i bywa, że oryginalne brzmienie staje się niemal nierozpoznawalne. Pomijam tu w tym momencie kwestie związane z poprawnością w języku polskim – gdyby przyjąć bardziej purystyczne stanowisko, stosowanie angielskiej transkrypcji w tekstach po polsku jest błędem, skoro istnieje skodyfikowany system polskiej transkrypcji. Ważne są tu jednak kwestie pozajęzykowe, np. rozpoznawalność tego samego imienia i nazwiska w różnych językach zapisywanych alfabetem łacińskim; dlatego np. w dokumentach wydawanych Ukraińcom, Białorusinom i Rosjanom przez polskie urzędy stosuje się transkrypcję angielską (aby mogli się nimi posłużyć także za granicą). Warto jednak zauważyć, że transkrybowanie z rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego na angielski nie jest w pełni skodyfikowane i np. imię Jegor (ros. Erop) bywa oddawane zarówno jako Yegor (rosyjska litera „e” jest odczytywana jako „je”), ale też Egor (czyli jak przy transliteracji). Słowo car (ros. царь) bywa zaś zapisywane tsar (starsza transkrypcja, wzorowana na francuskiej), czar (nowsza), ale też (rzadziej) tzar albo csar. Zdarzało mi się już u młodszego pokolenia słyszeć wymowę zniekształconą w wyniku stosowania angielskiej transkrypcji: nazwisko Chotinenko (ros. Хотиненко) zostało wymówione jako „Kotinenko”, gdyż w transkrypcji angielskiej wygląda ono „Khotinenko”.

Drugi problem wynika z faktu, że celem transkrypcji fonetycznej jest umożliwienie nie tylko możliwie poprawnej wymowy, ale i odmiany – co ważne: na gruncie języka docelowego, nie wyjściowego. Stosowanie angielskiej transkrypcji w tekstach po polsku, zamiast ułatwiać, nastręcza tu kolejnych problemów i skutkuje czasem tym, że autorzy próbują za wszelką cenę każde takie nazwisko zapisywać zawsze tylko w mianowniku, również kosztem poprawnej składni.

Dlaczego modyfikowane są końcówki fleksyjne

Z kolei osoby znające choć trochę ukraiński czy rosyjski, ale nieznające reguł transkrypcji tych języków na polski nie

mogą czasem zrozumieć, dlaczego modyfikowane są końcówki fleksyjne. Dzieje się tak właśnie po to, by umożliwić odmianę według polskich wzorców deklinacyjnych i następuje w dwóch sytuacjach. Po pierwsze, jeśli mamy do czynienia z nazwiskiem o postaci przymiotnikowej, które da się przystosować do polskiej odmiany przymiotników. Polskie nazwiska przymiotnikowe kończą się na samogłoski –a, –i lub –y (Kowalski, Białły, Michalska), rosyjskie na –yj (Навальный – Nawalnyj), –ij (Янковский – Jankowski), –oj (Трубецкой – Trubieckoj), a w przypadku kobiet –aja (Навальная – Nawalnaja). Po polsku końcówce „j” znika i nazwiska upodabniają się nieco bardziej do polskich, ale można je odmieniać bez problemu: Nawalny – Nawalnego, Jankowski – Jankowskiego. Wyjątkiem są nazwiska kończące się na –oj, których nie da się tak przystosować i które są odmieniane w oryginalnej postaci: Ruckoj – Ruckoja. Nazwiska kobiet są zaś po rosyjsku i ukraińsku bardziej odmienne niż po polsku i większość nazwisk rzeczownikowych – prawie wszystkie słowiańskie i niektóre niesłowiańskie – mają żeńskie formy. Po polsku jednak zasada ta obowiązuje tylko po części. Kobięce nazwiska przymiotnikowe przyjmują polską końcówkę fleksyjną (zatem nie Nawalnaja, a Nawalna), a rzeczownikowe stają się nieodmienne (była żona prezydenta Rosji po rosyjsku nazywała się Ludmiła Putina – Людмила Путина, a po polsku Ludmiła Putin). Po angielsku i tak nie ma możliwości żadnego przystosowania fleksyjnego, zatem odwzorowywane jest brzmienie oryginalne: Lyudmila Putina. Wątpliwości mogą się po polsku pojawić przy częstych po rosyjsku nazwiskach kończących się na –ow. Jeśli dana osoba jest Rosjanką, są one odmienne także po polsku (Skabiejewa, Zacharowa), jeśli Polką – nieodmienne.

Choć rosyjski do dziś znam słabiej niż angielski czy niemiecki – raczej biernie niż czynnie – zawsze był dla mnie nośnikiem ważnych treści, a nie głównie lub jedynie narzędziem opresji bądź językiem terroru. Nie chwalebę się jego znajomością i brakiem uprzedzeń wobec ukraińskich znajomych, szczególnie tych ukraińskojęzycznych, ale przed samym sobą i przy biurku redaktora wciąż cieszę się, gdy mogę się go uczyć. Języka nie da się splugawić, można jedynie splugawić samego siebie, wypowiadając w nim kłamstwa i nienawiść.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.
Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok.

Redakcja



Agata Gawlak

Mieszkanie dla zdrowia

Projektowanie dla przyszłych seniorów

Zmiany pokoleniowe w zakresie kompetencji cyfrowych seniorów, w obszarze ich wydłużonej aktywności zawodowej czy społecznej, jak również innowacyjne technologie medyczne, zwiększają potencjał środowiska zamieszkania jako wspierającego zdrowie starzejących się pokoleń. Przestrzeń zamieszkania, która uwzględni nowe cechy przyszłych seniorów, ich kompetencje i potrzeby przestrzenne, może stać się jedyną możliwą odpowiedzią na zwiększające się zapotrzebowanie starzejących się społeczeństw na dostęp do systemu ochrony zdrowia.

Przestrzeń zamieszkania stanowi bardzo istotny aspekt determinujący jakość naszego życia, komfort czy poczucie bezpieczeństwa. Wpływa również istotnie na nasze zachowania. Co więcej, ma bardzo duży potencjał w zakresie utrzymania zdrowia oraz niezależności w okresie starzenia się. Ten potencjał jest większy obecnie niż kiedykolwiek wcześniej z uwagi na rozwój i dostępność nowoczesnych technologii. To właśnie nowe uwarunkowania, w tym także nowe cechy przyszłych seniorów, stanowią o konieczności zrewidowania dotychczasowego podejścia do projektowania architektury mieszkaniowej i nadania jej nowego wymiaru, jeszcze bardziej powiązanego z ochroną i wspieraniem zdrowia.

Genezą podjętego wątku badawczego były zauważone w środowisku problemy:

- niedostosowanie otoczenia do zmieniających się potrzeb ludzi starszych wynikające z tradycyjnego podejścia do starości. Problem ten w szczególności dotyczy środowiska mieszkaniowego, którego cechy (funkcjonalne, kompozycyjne i użytkowe) nie nadążają za zmieniającymi się potrzebami i aspiracjami ludzi starszych;
- zachowawcze (konserwatywne) traktowanie kwestii starości przez wielu projektantów, którzy potrzeby osób starszych (i niepełnosprawnych) sprowadzają jedynie do przestrzegania standardów projektowych ujętych w obowiązujących regulacjach prawnych;
- stosunek ludzi młodych do starości, deficyt autorefleksji związanej z wyobrażeniem sobie siebie samego jako osoby starszej żyjącej w określonym otoczeniu przestrzennym i społecznym.

Ponadto można przypuszczać, że przyszli seniorzy będą różnić się istotnie od obecnych pod względem umiejętności, kompetencji, ale i nowych potrzeb przestrzennych. Aktualne zmiany pokoleniowe w zakresie kompetencji cyfrowych seniorów w obszarze ich wydłużonej aktywności zawodowej czy społecznej są na tyle znaczące, że wymagają uwzględnienia na etapie projektowania architektonicznego. Ponadto cywilizacyjnie, w związku właśnie ze starzeniem się społeczeństw, stajemy przed wyzwaniem zapewnienia coraz większej liczbie osób

dostępu do profesjonalnej opieki medycznej. Stąd konieczność redefinicji formy i funkcji architektury mieszkaniowej i prowadzenie badań w kierunku nowych możliwości agregacji funkcji zdrowotnych w miejscu zamieszkania oraz nowych metod ewaluacji tej przestrzeni.

Wyzwanie dla architektów

W tym kontekście wyzwanie, jakie stawia przed architektami powszechne zjawisko starzenia się społeczeństw, mobilizuje do poszukiwań nowych rozwiązań. Samo starzenie się jest wynikiem zarówno zmniejszającej się liczby urodzeń, jak również wydłużania się życia, w związku z rozwojem medycyny czy farmakologii oraz ze zwiększonym dostępem do metod leczenia. Starzenie się jest zjawiskiem nienowym, natomiast dopiero w ostatnim okresie nabrało ono tak dużego tempa. Nie ulega również wątpliwości, że nowe cechy starzejących się społeczeństw stanowią wyzwanie dla architektów oraz projektantów, którzy muszą dokonać rewizji dotychczasowych założeń.

Poprzednie podejście społeczne do potrzeb osób starszych w dużym stopniu generalizowało tę grupę, przypisując jej wiele niekorzystnych cech, czasem infantylizując lub trywializując obraz seniora. Aktualnie mamy do czynienia z sytuacją odwrotną, którą można nazwać nawet pewną „modą na starość”. Co więcej, biorąc pod uwagę całe spectrum i tempo zmian, w tym nowe uwarunkowania społeczne, demograficzne i technologiczne, jako punkt wyjścia do rozważań na temat projektowania środowiska zamieszkania dla osób starszych, należy dokonać rewizji, przyjmując tzw. projektowanie dla seniorów przyszłości, czyli przyszłych nas (ang. future selves). To podejście pozwala na nowo zdefiniować seniora i przybliżyć tę problematykę ludziom młodym. Intencją jest również zwrócenie uwagi właśnie na te rewolucyjne zmiany w percepcji starzenia się, które aktualnie obserwujemy.

Ważnym wątkiem w nowym podejściu do projektowania środowiska zamieszkania dla seniorów jest idea hospital without walls, tj. szpitali bez ścian. To podejście zainicjowane w Stanach Zjednoczonych pod koniec ubiegłego wieku miało za zadanie, przy wykorzystaniu dostępnych wówczas technologii

opartych głównie na rozwiązaniach internetowych, wyłączyć poza budynek szpitalny określone funkcje związane z terapią i opieką medyczną i zaimplementować je w środowisku domowym. Te rozwiązania nie były wprowadzane na szeroką skalę, natomiast pozwoliły na udowodnienie hipotezy, iż środowisko mieszkaniowe posiada duży potencjał związany z utrzymaniem zdrowia, przy wykorzystaniu nowych technologii telemedycznych. Raport Deloitte wskazuje precyzyjnie technologie przyszłości, których szybki rozwój zwiększy dostępność usług medycznych oraz wydajność, jak również obniży ich koszty (roboty, sztuczna inteligencja, analityka danych, biologia syntetyczna, druk 3D, nanotechnologia, biosensory i urządzenia monitorujące, diagnostyka towarzysząca).

Według danych przedstawionych w rządowym raporcie Wielkiej Brytanii odnoszącym się do wyzwań w obliczu następujących zmian demograficznych, to właśnie niska jakość mieszkań kosztuje brytyjską służbę zdrowia (National Health Service) 2,5 miliarda funtów rocznie. W poprawie przestrzeni mieszkalnych Brytyjczycy upatrują redukcji zapotrzebowania na świadczenia zdrowotne i sposobu na stworzenie warunków umożliwiających jednostkom pracę w późniejszych latach ich życia.

Mieszkania odporne na wiek

Dopasowanie przestrzeni do potrzeb użytkownika, tzw. person-environment fit (P-E fit), na każdym z jego etapów życia jest nowym wyzwaniem. Idea wywodząca się z Holandii określa wręcz tego typu nowe mieszkania jako odporne na wiek (eng. age proof homes) lub na przyszłość (ang. future proof homes). Mieszkania przyszłości coraz częściej będą również miejscem zarówno pracy, jak i opieki. Zatem odpowiednio zaprojektowane przestrzenie mieszkalne, łatwo adaptowalne do zmieniających się potrzeb mieszkańców, z biegiem lat będą przynosić wiele korzyści i oszczędności.

Współcześnie próby pozaszpitalnego zapewnienia zdrowia mieszkańcom są kontynuowane przez urbanistów i planistów przestrzennych w formie nowych pomysłów i rozwiązań urbanistycznych. Można tu wymienić takie inicjatywy jak New Urbanism, Slow City, Eco City, Smart City, 15-minute City czy wspomniany projekt Hospital without walls. Zdrowie mieszkańców i dostęp do opieki medycznej stanowią istotną determinantę zrównoważonego rozwoju miast, co znajduje odzwierciedlenie w wielu badaniach i rankingach dotyczących oceny jakości zrównoważonego życia w mieście. A upowszechnienie i adaptacja tele-health do programowania i projektowania stanowi w ręku architektów narzędzie do transpozycji funkcji stricte szpitalnych do środowiska domowego. Wykorzystanie w projektowaniu rozwiązań z obszaru telemedycyny i telezdrowia zwiększa potencjał środowiska mieszkaniowego w kontekście ochrony zdrowia, stwarzając seniorom realną szansę na dłuższe, bezpieczne i bardziej komfortowe starzenie się w ich miejscu zamieszkania. Nowatorskie spojrzenia na użytkownika, w tym wypadku seniora przyszłości, oraz synergia nowoczesnych technologii w środowisku zamieszkania pozwalają na formułowanie nowych rekomendacji projektowych, jak również nowych i możliwych kierunków redefinicji formy opieki medycznej nad seniorami, w związku ze zwiększającym się zapotrzebowaniem na usługi zdrowotne w starzejących się społeczeństwach.

Skoro wkrótce wszyscy będziemy doświadczać starości przez okres 20-30 lat, to będzie ona stanowić istotną część całego naszego życia. Spędzimy je z pewnością w ograniczonej sprawności. Niemniej będziemy chcieli nie tylko jak najdłużej pozostawać zdrowymi i niezależnymi, będziemy nadal dążyć do przeżywania swojej starości w komfortowym środowisku dostosowanym do naszych nowych ograniczeń, ale i nowych potrzeb.

Opierając się na prognozach związanych z wydłużającą aktywnością zawodową nowych seniorów, należy zakładać, że środowisko mieszkaniowe będzie musiało również odpowiedzieć i zapewnić te aktywności. Jak wskazują wcześniejsze badania, będziemy chcieli pozostawać jak najdłużej we własnym mieszkaniu czy domu, a wszelkie obecnie dostępne formy instytucjonalnego zamieszkania (DPS, DDM etc.) są i raczej pozostaną powszechnie, mentalnie nieakceptowalne.

Obecnie można przeprowadzić próbę zdefiniowania nowych form zamieszkania dla osób starszych, wskazując i definiując nowe typy, tj. architektura stricte senioralna, kontrolowany social-mix, synergiczny habitat: kreatywne partnerstwo pokoleń, mieszkalnictwo wspomagane dla osób starszych, co-housing kreatywny, gospodarstwa opiekuńcze itp. Stwierdza się jednocześnie, że znakomita większość seniorów w Polsce korzysta z mieszkań, w których spędzała dotychczasowe życie. Większość z nich została zaprojektowana bez uwzględnienia specyfiki potrzeb określonego typu użytkownika. W takich strukturach mieszkaniowych, zamieszkują zarówno osoby bardzo młode, w średnim wieku, jak i seniorzy. Budując typologię zdrowej przestrzeni starzenia się, można wymienić następujące uwarunkowania: warunki mieszkaniowe charakteryzowane za pomocą zestawu mierzalnych wskaźników, takich jak powierzchnia mieszkania, standard techniczny, liczba osób korzystających z mieszkania itp.; typ ośrodka osiedleńczego: wieś, małe i średnie miasto, obszar metropolitalny (z podziałem na centrum, śródmieście, obszary podmiejskie itp.); lokalizację mieszkania w kontekście dostępu do usług społecznych, gastronomicznych, zdrowotnych, transportowych, handlowych itp.; więzi sąsiedzkie, świadomość przynależności do społeczności lokalnej; związki rodzinne, wspólne zamieszkiwanie w mieszkaniu wielopokoleniowym lub mieszkaniu w samotności z dala od rodzin sporadycznie kontaktujących się z seniorami; poczucie bezpieczeństwa, powiązane z poczuciem przynależności; dostęp do systemu opieki, pomocy i wsparcia; indywidualnie uwarunkowany poziom samodzielności seniorów w prowadzeniu własnego gospodarstwa domowego; stosunek pozostałych grup społecznych do starości i ludzi starszych.

Istotnym czynnikiem jest również duże zróżnicowanie sytuacji ekonomicznej seniorów. Można wskazać osoby starsze zagrożone ubóstwem (co jest główną przyczyną wykluczenia społecznego), ale można także wymienić rosnącą grupę zamożnych seniorów, których stać na komercyjny dostęp do wielu udogodnień, łącznie z możliwością zakupu nowego mieszkania w wybranej na miarę swoich potrzeb i aspiracji lokalizacji.

Kombinacja tych czynników, wpływających na zdrowie osób starszych w miejscu zamieszkania, jest podstawą do typologii środowiska mieszkaniowego uwzględniającej dwa główne elementy. Pierwszym z nich jest środowisko, w którym aktualnie zamieszkuje większość ludzi starszych. Drugi element to historycznie ukształtowany stosunek do starości funkcjonujący we współczesnym społeczeństwie.

Holistyczne podejście do problemu badawczego

W badaniach prowadzonych na Wydziale Architektury Politechniki Poznańskiej w odważny sposób przesunięto granicę wieku populacji, która została objęta badaniami przyszłych potrzeb przestrzennych w środowisku zamieszkania w wieku senioralnym. Zdefiniowanie na nowo cech i potrzeb seniorów jest niezbędne, by móc projektować spersonalizowane rozwiązania ukierunkowane na wspieranie zdrowia i dostosowane do indywidualnych potrzeb. Powyższe dodatkowo stanowi o innowacyjnym podejściu do prowadzonych badań.

Przyjęte wieloaspektowe ujęcie procesu starzenia się jako wytycznej do projektowania, jak również integracja wybra-

nych metod badawczych pozwoliły na holistyczne podejście do problemu badawczego, stanowiąc tym samym o jego wiarygodności i istotnym wkładzie w rozwój badań zamieszkania seniorów przyszłości, czyli „przyszłych nas”.

Przeprowadzone w 2020 r. ilościowe badanie na grupie 2034 respondentów odwołuje się w metodologii do badania zrealizowanego przez Instytut Rozwoju Miast w 2007 i 2011 r. Plany mieszkaniowe obecnych młodych ludzi mogą się zdecydowanie różnić lub być nawet w sprzeczności ze zdefiniowanymi potrzebami przestrzennymi obecnych osób starszych. Dlatego uznałam za zasadne odniesienie tych już dość precyzyjnie zdefiniowanych potrzeb przestrzennych odnośnie do miejsca zamieszkania na starość, do potrzeb przyszłych seniorów.

Będą mieli inne wyobrażenie o starości i samym starzeniu się, jednocześnie różnią się od obecnych osób starszych. Dodatkowo będą mieli zdecydowanie inne umiejętności oraz kompetencje, podobnie jak oczekiwania. Poza tym, co bardzo istotne, będą stanowić o wiele większą grupę osób starszych niż seniorzy obecnie. W badaniu użyłam metod statystycznych pomocnych w poszukiwaniu istotnych korelacji, które zostały szerzej opisane w monografii. W konsekwencji wykazałam korelacje pomiędzy sytuacją mieszkaniową młodych osób w trakcie studiów a ich krótko- i dalekosiężnymi planami związanymi z zakupem domu czy mieszkania. Dokonane analizy porównawcze w obrębie uzyskanych wyników wskazują, w jaki sposób kształtują się preferencje młodych osób, jak poszczególne aspekty zamieszkania są ze sobą skorelowane. Na plany mieszkaniowe młodych osób ma z pewnością wpływ ich sytuacja materialna i rodzinna, której wynikiem jest miejsce zamieszkania w okresie studiów, co w dużym stopniu kształtuje dalsze plany mieszkaniowe, krótko- i długoterminowe. Poza tym preferencje pozostają w silnej korelacji z wizją miejsca zamieszkania na starość, które również jest pochodną zarówno bieżącej sytuacji mieszkaniowej (miejsce zamieszkania w okresie studiów), jak i wynikiem planów mieszkaniowych w krótszej i dalszej perspektywie. Uzyskane wyniki pozostają zbieżne z wcześniejszymi badaniami dotyczącymi preferowanych form zabudowy mieszkaniowej w Polsce. Oceniając plany mieszkaniowe młodych ludzi na przyszłość, zweryfikowałam także ich stosunek do instytucjonalnych form zamieszkania dla seniorów, w kontekście ich własnej przyszłości. Potwierdziłam znamienne dla wielu badań dotyczących perspektywy miejsca zamieszkania w okresie starości tendencję niemal zupełnie wykluczającą zamieszkanie w domu seniora czy w domu opieki (odpowiedzi na poziomie 2,2%).

W badaniu dokonałam również oceny percepcji starości przez młode osoby, porównując uzyskane wyniki z badaniem Eurostat (pyt. QB2 i QB3). Na koniec dokonałam porównań uzyskanych wyników w poszczególnych latach badania (2007 r., 2011 r. i 2020 r.).

Dane uzyskane w kolejnych latach pozwoliły na przeprowadzenie analizy porównawczej sytuacji mieszkaniowej młodych ludzi oraz ich aspiracji na przyszłość, w tym wizji miejsca zamieszkania w dalszej, senioralnej perspektywie. Dzięki temu



można oszacować pewne tendencje, które mogą być pomocne w prognozowaniu i rozwiązywaniu problemów mieszkaniowych oraz związanych z projektowaniem dla przyszłych pokoleń seniorów. Można tu zauważyć zmianę preferencji i wyraźną pragmatyzację wyobrażeń młodych osób na temat własnego miejsca zamieszkania w przyszłości. Zdecydowanie obserwuje się racjonalizację aspiracji np. względem wielkości powierzchni mieszkania w przyszłości.

Podsumowując przeprowadzone badania, można stwierdzić dużą świadomość młodego pokolenia w definiowaniu własnych przyszłych potrzeb przestrzennych.

Młodzi ludzie nabywają także coraz większej świadomości procesów fizjologiczno-społecznych

związanych ze starzeniem oraz uwarunkowań, jakie towarzyszą ograniczeniom w późnej starości. Obserwuje się, że w konsekwencji decyzje dotyczące wyboru miejsca zamieszkania są coraz bardziej świadome i to właśnie pod kątem udogodnień w miejscu zamieszkania, które mogą okazać się kluczowe w procesie starzenia dla podtrzymania niezależności oraz poczucia bezpieczeństwa.

Przedstawione w monografii badania mają charakter aplikacyjny. Mogą zostać wykorzystane w praktyce projektowej przez architektów oraz architektów wnętrz, by w sposób bardziej trafny odpowiadać poprzez rozwiązania funkcjonalno-przestrzenne na potrzeby przyszłych seniorów. Pośrednio mogą stanowić również narzędzie w rękach decydentów, osób zarządzających przestrzenią w mieście, pomagając im stawić czoło wyzwaniu zapewnienia przestrzeni dla godnego starzenia się i utrzymania zdrowia. Są również przydatne bezpośrednio osobom starszym, którym mogą pomóc w wyborze odpowiedniej lokalizacji miejsca zamieszkania. Osoby obecnie młode, podejmujące zobowiązania kredytowe na wiele kolejnych lat, mogą w sposób bardziej świadomy dokonać wyboru miejsca zamieszkania, które uwzględni nie tylko ich obecne priorytety, ale również przyszłe potrzeby wynikające z fizjologii starzenia się i spodziewanej niepełnej sprawności.

Zmiany pokoleniowe w zakresie kompetencji cyfrowych seniorów, w obszarze ich wydłużonej aktywności zawodowej czy społecznej, jak również innowacyjne technologie medyczne zwiększają potencjał środowiska zamieszkania jako wspierającego zdrowie starzejących się pokoleń. Przestrzeń zamieszkania, która uwzględni nowe cechy przyszłych seniorów, ich nowe kompetencje, ale i nowe potrzeby przestrzenne, może stać się jedyną możliwą odpowiedzią na zwiększające się zapotrzebowanie starzejących się społeczeństw na dostęp do systemu ochrony zdrowia.

Artykuł oparty na monografii autorki, zatytułowanej *Mieszkanie dla zdrowia. Projektowanie dla przyszłych seniorów*, Wydawnictwo Politechniki Poznańskiej, Poznań 2022.

Dr hab. inż. arch. Agata Gawlak, prof. PP, Instytut Architektury, Urbanistyki i Ochrony Dziedzictwa Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej

Obszar poradziecki w polityce zagranicznej Rosji

Obszar tzw. bliskiej zagranicy stał się dla Rosji naturalnym kierunkiem zainteresowania, a jednym z zasadniczych i niezmiennych celów rosyjskiej polityki zagranicznej stała się strategiczna kontrola nad obszarem poradzieckim. Na tym obszarze ogniskują się żywotne interesy Federacji Rosyjskiej o charakterze politycznym, gospodarczym, w sferze bezpieczeństwa.

Przez ponad trzydzieści lat od rozpadu Związku Radzieckiego Rosja starała się utrzymywać obszar poradziecki w swojej strefie wpływów. Do osiągnięcia tego celu wykorzystywała różnorodne narzędzia nacisku z siłą militarną włącznie, czego spektakularnym przykładem stała się zwłaszcza wojna na Ukrainie rozpoczęta 24 lutego 2022 roku. Dla Rosji utrzymanie status quo na obszarze poradzieckim, czyli swojej dominacji czy strefy uprzywilejowanych interesów, jest argumentem wizerunkowym odradzającego się imperium, a także rewanżem za porażkę w zimnej wojnie oraz za upadek ZSRR. Imperializm rosyjski jest również odpowiedzią w wymiarze regionalnym, właśnie na obszarze poradzieckim, na imperializm globalny głównego rywala – Stanów Zjednoczonych. W ostatnich latach zaczął pogłębiać się w Rosji syndrom oblężonej twierdzy wraz z postrzeganiem NATO i UE, sąsiadujących z Rosją, jako wrogów lub rywali w skali globalnej oraz w strefie jej żywotnych interesów poprzez okrażanie Rosji. Rosja w celu obrony swojej strefy wpływów nie zawahała się przed obraniem konfrontacyjnej polityki wobec Zachodu, czego wyraźnym dowodem stała się inwazja na Ukrainę w lutym 2022 roku. Proces odbudowy rosyjskiego imperium przyspieszył w pierwszych latach prezydentury Władimira Putina, m.in. poprzez centralizację władzy, wzmocnienie stabilności i spójności państwa rosyjskiego, a pomocna była koniunktura na surowce energetyczne, która zapewniła wzrost wpływów do budżetu, co z czasem przełożyło się na zwiększenie wydatków zbrojeniowych, reformę armii oraz zwiększenie możliwości oddziaływania na obszar poradziecki. Strategia Rosji wobec obszaru poradzieckiego jest motywowana geopolitycznie, gdyż Rosja kieruje się w polityce zagranicznej mentalnością imperialną. Reintegracja obszaru poradzieckiego pozostaje ważnym sposobem utrzymania więzi

z byłymi republikami radzieckimi, odbudowywania imperium oraz ograniczania wpływów państw trzecich. Polityka Federacji Rosyjskiej prowadzona na obszarze poradzieckim opiera się przede wszystkim na tradycyjnej polityce siły i nacisku w myśl zasady „dziel i rządź” (łac. divide et impera). Priorytetowe znaczenie w projekcie imperialnym Rosji odgrywa Ukraina jako duże państwo z liczną mniejszością rosyjską, serce „Świętej Rusi”, o strategicznej lokalizacji między Rosją a UE i NATO. Według Zbigniewa Brzezińskiego, bez Ukrainy koncepcja rosyjskiego imperium nie zostanie w pełni zrealizowana, jako że bez Ukrainy Rosja może mieć jedynie status imperium azjatyckiego, nie będzie jednak mocarstwem spinającym Europę i Azję, czego pragnie. By „przekonać” Ukrainę do swoich koncepcji imperialnych, Rosja sięgała po szeroki wachlarz środków, z użyciem siły włącznie w 2014 i przede wszystkim na ogromną skalę w 2022 roku. Środków militarnych Rosja użyła wcześniej także w 2008 roku wobec Gruzji, a wojna z sierpnia 2008 roku stała się manifestacją obrony przez Rosję jej strefy żywotnych interesów. Podobnie rzecz się miała z wojną na Ukrainie w 2022 roku. Jej konsekwencje są i będą daleko idące.

W pierwszych dniach po agresji na Ukrainę Rosja osiągnęła cele przeciwne do zamierzonych: 1) nie powiódł się scenariusz blitzkriegu, czyli wojny błyskawicznej; 2) Ukraina złożyła formalny wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej, który został przyjęty; 3) doszło do wzmocnienia wschodniej flanki NATO; 4) nastąpiła rewizja polityki obronnej Niemiec, które podjęły decyzję o wysłaniu sprzętu wojskowego na Ukrainę; 5) Finlandia i Szwecja złożyły wnioski o członkostwo w NATO; 6) zjednoczony Zachód działał wspólnie w obliczu agresji na Ukrainę i podejmował decyzje o nałożeniu kilku pakietów sankcji na Rosję.

Kiedy w 1991 roku nastąpił rozpad Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, w stosunkach międzynarodowych pojawił się termin obszar poradziecki (w literaturze na określenie obszaru powstałego po rozpadzie Związku Radzieckiego stosuje się termin obszar poradziecki, obszar postradziecki lub obszar postsowiecki, przestrzeń poradziecka traktowane jako synonimy). Granice obszaru poradzieckiego są wynikiem wielowiekowej ekspansji terytorialnej Rosji, a następnie Związku Radzieckiego. Dziedzictwo Związku Radzieckiego i przynależność do ukształtowanej historycznie wspólnej przestrzeni pozostają jednymi z wyznaczników obszaru poradzieckiego. Termin ten jest stosowany na określenie byłych republik radzieckich położonych na południe i zachód od Rosji w regionie Europy Wschodniej (Białoruś, Mołdawia, Ukraina), Kaukazu Południowego (Armenia, Azerbejdżan, Gruzja) oraz Azji Centralnej (Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan, Uzbekistan) z wyłączeniem republik bałtyckich (Litwy, Łotwy i Estonii), które po ogłoszeniu niepodległości w 2004 roku zrealizowały główny cel swojej polityki zagranicznej, jakim stała się integracja z Unią Europejską i Sojuszem Północnoatlantyckim. Obszar poradziecki nie jest jednolity, były republiki radzieckie różnią się między sobą pod wieloma względami – nie tylko położeniem geopolitycznym, ale także tradycją historyczną, systemem politycznym, potencjałem gospodarczym i poziomem rozwoju gospodarczego, religią czy wizją roli Rosji. Państwa tworzące obszar poradziecki jako region w stosunkach międzynarodowych klasyfikuje się, przyjmując za kryterium ich położenie geograficzne, stosunek do Rosji czy stopień uzależnienia od niej.

Geopolityka rurociągów

Głównym sukcesorem ZSRR stała się Federacja Rosyjska, która, choć poważnie osłabiona, odziedziczyła dużą część potencjału radzieckiego imperium i na nowo musiała zdefiniować swoje interesy w kształtującym się pozimnowojennym łańdzu europejskim i globalnym. Obszar tzw. bliskiej zagranicy stał się dla Rosji naturalnym kierunkiem zainteresowania, a jednym z zasadniczych i niezmiennych celów rosyjskiej polityki zagranicznej stała się strategiczna kontrola nad obszarem poradzieckim. Na tym obszarze ogniskują się żywotne interesy Federacji Rosyjskiej o charakterze politycznym, gospodarczym, w sferze bezpieczeństwa. O znaczeniu tego obszaru w rosyjskiej polityce decyduje kilka czynników: bliskość terytorialna, pochodzące stamtąd wyzwania i zagrożenia, strategiczna lokalizacja (szlaki komunikacyjne, handlowe), powiązania ekonomiczne, znaczna liczba ludności rosyjskiej i rosyjskojęzycznej mieszkającej w państwach poradzieckich, wielowiekowe związki historyczne oraz kulturowe i religijne. Geopolityczne znaczenie obszaru poradzieckiego związane jest z występowaniem na nim znaczących zasobów surowców zwłaszcza ropy naftowej i gazu, które Rosja wykorzystywała i wykorzystuje jako narzędzie prowadzenia polityki i wywierania nacisku na inne państwa. Po dojściu do władzy Władimira Putina zaczęła być realizowana koncepcja Rosji jako mocarstwa energetycznego. Według tej idei surowce energetyczne i rola Rosji na ich rynku stanowią jeden z fundamentów mocarstwowej pozycji Rosji w stosunkach międzynarodowych, zakłada ona, że dzięki

zasobom naturalnym Rosja odzyska międzynarodową pozycję i utracony po rozpadzie ZSRR prestiż. W doktrynie funkcjonuje pojęcie „geopolityki rurociągów” określające współzależność pomiędzy energetyką a stosunkami międzynarodowymi. Sektory naftowy i gazowy stanowią nie tylko podstawę funkcjonowania rosyjskiej gospodarki, ale także ważne narzędzie polityki wewnętrznej i zagranicznej Federacji Rosyjskiej. W kontekście toczącej się wojny na Ukrainie dotychczasowe połączenia infrastrukturalne i sieci zależności zaczęły się zmieniać, a Europa Zachodnia (jeden z głównych odbiorców rosyjskich surowców) zintensyfikowała politykę dywersyfikacji dostaw.

W celu utrzymania obszaru poradzieckiego w rosyjskiej strefie wpływów Rosja wykorzystuje zróżnicowane instrumenty o charakterze politycznym, militarnym, gospodarczym oraz z zakresu miękkiej siły (soft power). Do instrumentów politycznych należy dominacja w regionalnych strukturach współpracy tworzonej z inicjatywy Rosji na obszarze poradzieckim, upowszechnianie własnego modelu ustrojowego „demokracji suwerennej” oraz wspieranie przywódców przychylnych Rosji i jej projektom reintegracyjnym. Do instrumentów gospodarczych można zaliczyć wykorzystywaną przez Rosję politykę taryfową na eksportowane do byłych republik towary, a także stosowanie polityki zakazów

importu określonych towarów z państw niepokornych wobec Rosji poprzez ekonomiczne embarga. W stosunku np. do Ukrainy Rosja stosowała szantaż gazowy, a kartą przetargową w kryzysach gazowych stawały się kontrakty na dostawy tego rosyjskiego surowca na Ukrainę. W ostatnich latach Rosja realizuje politykę omijania Ukrainy jako państwa tranzytowego w procesie planowania budowy nowych gazociągów transportujących rosyjski gaz na zachód. Zaś odpowiedzią Rosji na zbliżenie części byłych republik radzieckich z Unią Europejską było zintensyfikowanie procesu reintegracji obszaru poradzieckiego poprzez tworzenie struktur integracyjnych w postaci Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, która zaczęła funkcjonować w 2015 roku. Presję gazową Rosja stosowała w stosunku do Armenii, której w 2013 roku oferowała możliwość powrotu do niższych cen gazu w przypadku przystąpienia tego kraju do Unii Celnej, co wiązało się z rezygnacją ze stowarzyszenia z Unią Europejską, a ostatecznie oznaczało wejście Armenii do Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej w 2014 roku. Instrumenty militarne poprzez podsycanie konfliktów i wspieranie separatyzmów pozwalają Rosji na utrzymywanie kontroli. Do kategorii soft power (niematerialny rosyjski kapitał) należy zaliczyć bliskość kulturową, znajomość języka rosyjskiego, kontakty międzyludzkie, dostęp do rosyjskich mediów (telewizja, Internet, prasa), kontakty cerkwi prawosławnych, retorykę braterstwa i ochrony ludności rosyjskiej w byłych republikach radzieckich. Narzędziem wykorzystywanym w tej sferze rosyjskiego oddziaływania stała się koncepcja „rosyjskiego świata” stanowiąca „formę promocji idei Rosji jako ośrodka cywilizacyjnego odrębnego od cywilizacji azjatyckich oraz przeciwstawnego w wielu momentach do cywilizacji zachodniej”. Kluczowymi środkami i metodami do prowadzenia polityki imperialnej i utrzymywania rosyjskiej dominacji nad obszarem poradzieckim są zależność energetyczna i gospodarcza oraz siła mili-



tarna manifestowana co roku podczas świętowania Dnia Zwycięstwa 9 maja, a wykorzystana zwłaszcza podczas inwazji na Ukrainę w 2022 roku.

Struktury współpracy z pominięciem Rosji

Obszar poradziecki po rozpadzie ZSRR stał się także polem zainteresowania i oddziaływania ze strony innych państw i przedmiotem rozgrywek geopolitycznych w stosunkach międzynarodowych pomiędzy podmiotami mającymi interesy na tym obszarze i dążącymi do ich realizacji. Do głównych rozgrywających na obszarze poradzieckim należą Rosja, Chiny, Zachód (Unia Europejska i Stany Zjednoczone), a także inne państwa zaangażowane regionalnie, jak Turcja czy Iran. Na przestrzeni ostatnich ponad trzydziestu lat każdy z tych aktorów posiadał i posiada interesy w omawianym regionie. Rosja jest w nim obecna kompleksowo, z kolei pozostali zainteresowani skupiają swoje działania na określonych sferach. Stany Zjednoczone były obecne politycznie i militarnie, zaś Chiny przede wszystkim gospodarczo. Jednym z elementów rozgrywki politycznej na obszarze poradzieckim stały się tzw. kolorowe rewolucje, które miały miejsce w kilku byłych republikach radzieckich i które Rosja traktowała jako narzędzie w rękach państw zachodnich, aby skutecznie odciągać część byłych radzieckich republik od autorytarnego modelu sprawowania władzy w kierunku procesów demokratyzacyjnych. Spośród wskazanych aktorów stosunków międzynarodowych to właśnie Federacja Rosyjska oddziałuje na obszar poradziecki w sposób kompleksowy, w wielu dziedzinach, z wykorzystaniem różnorodnych instrumentów o charakterze politycznym, gospodarczym, militarnym czy związanych z miękką siłą. Daje jej to pewną przewagę nad innymi aktorami i pozwala zaznaczyć ciągłą i nieprzerwaną obecność oraz determinację w realizacji polityki dominacji nad obszarem bliskiej zagranicy, czego dobitnym przejawem stała się wojna w Czeczenii w 1994 roku, Gruzji w 2008 oraz na Ukrainie w 2014 i 2022 roku.

Do głównych celów rosyjskiej polityki zagranicznej wobec obszaru poradzieckiego zalicza się integrację polityczną, gospodarczą i wojskową tego obszaru pod przywództwem Rosji. Na obszarze poradzieckim zachodzą przede wszystkim inspirowane przez Rosję procesy integracji, ale także procesy dezintegracji poprzez tworzenie alternatywnych struktur współpracy z pominięciem Rosji. Do najważniejszych struktur współpracy w wymiarach politycznym, gospodarczym i militarnym należą: Wspólnota Niepodległych Państw, Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, Euroazjatycka Unia Gospodarcza oraz Państwo Związkowe Białorusi i Rosji. Część byłych republik radzieckich forsuje inne projekty współpracy, bez udziału Rosji, m.in. w ramach struktury GUAM jako formatu współpracy państw, które w swojej polityce zagranicznej koncentrują się na kierunku prozachodnim. Państwa te rozwijają współpracę z Unią Europejską w ramach Europejskiej Polityki Sąsiedztwa oraz programu Partnerstwa Wschodniego obejmującego Gruzję, Mołdawię, Armenię, Azerbejdżan oraz Ukrainę (Białoruś zawiesiła swój udział w programie w 2021 roku). Po rosyjskiej agresji w 2022 roku Ukraina oraz Mołdawia złożyły formalny wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej i uzyskały formalny status kandydatów do UE. Wcześniej zrealizowały najważniejsze cele programu Partnerstwa Wschodniego, jakimi było podpisanie umów stowarzyszeniowych z Unią Europejską, umów o pogłębionej strefie wolnego handlu i o ułatwieniach wizowych dla swoich obywateli.

Konflikty zbrojne na obszarze poradzieckim

Na obszarze poradzieckim trwały i trwają konflikty zbrojne. Do najważniejszych można zaliczyć konflikty w Abchazji i Ose-

tii Południowej, Górskim Karabachu, Naddniestrzu, Czeczenii, Tadżykistanie oraz na Ukrainie. W stosunku do części z nich w stosunkach międzynarodowych używa się określenia tzw. zamrożonych, czyli konfliktów, których nie udało się rozwiązać ani w wyniku walki zbrojnej, ani na drodze rokowań dwulub wielostronnych. Konflikty zbrojne na tle etnicznym, ideologicznym wyrastały z głębokich uwarunkowań historycznych oraz polityki narodowościowej ZSRR, a także ze stopniowej dezintegracji politycznej, gospodarczej i społecznej, która ogarnęła Związek Radziecki w latach 90. XX wieku. Każdy z tych konfliktów ma swoją specyfikę, jednak mimo wielu różnic wykazują one także cechy wspólne, m.in. pod względem genezy, przebiegu i ewolucji, miejsca w polityce regionalnej czy krótko- i długofalowych konsekwencji dla obszarów dotkniętych konfliktami i ich otoczenia. Każdy konflikt pociągnął za sobą głębokie zmiany w sferze politycznej, społecznej, etnicznej, gospodarczej i powrót do sytuacji sprzed wybuchu konfliktów wydaje się mało prawdopodobny, zburzyły one dotychczasową strukturę etniczną poprzez czystki etniczne, migracje uchodźcze. Stały się zapleczem dla terroryzmu, przemytu, przestępczości zorganizowanej i innych negatywnych zjawisk, gdyż obszary te, wyłączone spod kontroli sił zewnętrznych, stwarzają warunki do rozwoju nielegalnej działalności, tworząc zjawisko tzw. czarnych dziur.

Konflikty zbrojne na obszarze poradzieckim stanowią narzędzie nacisku Rosji na państwa właściwe, na których terytorium w konsekwencji omawianych konfliktów powstały i istnieją tzw. parapaństwa lub państwa nieuznawane, mające wszystkie atrybuty państwa z wyjątkiem uznania międzynarodowego. Wsparcie dla parapaństw przybiera formę pomocy wojskowej (dobra-janie), wsparcia tak politycznego (stronniczość w mediach), jak i gospodarczego (ekonomiczna pomoc dla zbuntowanych republik). Ich przetrwanie jest uzależnione w dużym stopniu od wsparcia najważniejszego patrona, czyli Federacji Rosyjskiej. Siły rosyjskie stacjonujące na obszarze parapaństw odgrywały i nadal odgrywają istotną rolę w rozwoju sytuacji w rejonach konfliktów. Rosja wykorzystuje je jako instrumenty nacisku na niepokorne państwa, które w swej polityce zagranicznej wybierają opcję prozachodnią. Rosja oddziałuje dwutorowo: z jednej strony wspiera wielowymiarowo parapaństwa jako patron, a z drugiej strony wywiera presję na politykę państw macierzystych, posługując się metodą „kija i marchewki”, która polega na tym, że kiedy państwa macierzyste wzmacniają w swej polityce zagranicznej kierunek zachodni kosztem rosyjskiego, spotykają się z reakcją władz rosyjskich.

W Rosji można zaobserwować tzw. syndrom imperialny, przejawiający się w potrzebie bycia mocarstwem w skali globalnej, Wielką Rosją. Wizerunek wielkiego mocarstwa, potencjał materialny i symboliczny (w tym tradycja i wizerunek – postrzeganie międzynarodowe), jego mobilizacja i sposób wykorzystania pozwalają Rosji utrzymywać właśnie obszar poradziecki jako strefę żywotnych rosyjskich interesów. Znaczną część społeczeństwa rosyjskiego traktuje wielkomocarstwowość Rosji i jej „naturalną” strefę wpływów w postaci obszaru poradzieckiego jako coś niezbędnego do istnienia i rozwoju ich państwa. Taka perspektywa będzie się utrzymywała przez kolejne lata, gdyż obszar poradziecki pozostaje i pozostanie w przyszłości w rosyjskiej percepcji kluczowym kierunkiem rosyjskiej polityki zagranicznej.

Artykuł nawiązuje do książki *Obszar poradziecki w polityce zagranicznej Federacji Rosyjskiej*, wydanej przez autorkę w Wydawnictwie Uniwersytetu Śląskiego.

Dr hab. Anna Czyż, prof. UŚ, Instytut Nauk Politycznych
Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

Marcelina Smużewska

„Bujny człowiek”

Do tej pory białka dzielono na podstawie ich właściwości fizycznych albo genetycznych. Nie uwzględniano podziału opartego na ich budowie. Wróblewski zbudował klasyfikację białek właśnie w odniesieniu do ich struktury chemicznej.

Historia zapamięta Augustyna Wróblewskiego przede wszystkim jako biochemika i autora klasyfikacji białek. Niemniej jednak był on także wizjonerem i reformatorem społecznym o oryginalnych poglądach, zwolennikiem czystości obyczajów, rozumianej jako wstrzemięźliwość od namiętności natury płciowej. Znano powszechnie jego negatywny stosunek do alkoholu i prostytucji. Był także antyklerykałem, zwolennikiem „religii nauki”, wrażliwym na krzywdę społeczną, anarchizującym socjalistą. Jego działalność naukowa i społeczna przypadła na czas rozwoju krakowskiej cyganerii. „Młodzież, której przedtem w Krakowie się nie czuło, wyrośli się pelerynami. Na lewym brzegu Wisły wykwitło nowe dla Krakowa zjawisko – cyganeria. I gdybyż jedna! Niemal równocześnie oglądał Kraków cyganerię malarską, cyganerię Pawlikowskiego, cyganerię Zapolskiej, cyganerię Przybyszewskiego, cyganerię bronowicką, ba, można by powiedzieć, cyganerię Lutosławskiego i Daszyńskiego, nie licząc cyganerii studenckiej, wzmożonej młodzieżą chroniącą się raz po raz zza kordonu i falangą młodych dziewcząt, pierwszy raz dopuszczonych do studiów uniwersyteckich” (Tadeusz Boy-Żeleński, *Znasz-li ten kraj. Cyganeria krakowska*, Warszawa 1932, Smolna 11, str. 14). Choć Wróblewski nie pochodził z Krakowa, jego najbardziej doniosła aktywność naukowa i społeczna związana jest właśnie z tym miastem.

Z Wilna w świat

Augustyn (Gucio) Wróblewski urodził się w Wilnie 20 lipca 1866 roku. Był drugim synem Eustachego i Emilii z Wróblewskich. Ojciec Augustyna był znanym lekarzem, zwolennikiem homeopatii. Matka prowadziła pensję dla dziewcząt. Obydwójce gromadzili księgozbiory, Eustachy głównie o tematyce przyrodniczej, Emilia – pedagogicznej. Przyszły biochemik miał starszego brata Tadeusza Stanisława (1858-1925), który w dorosłym życiu został adwokatem. Był też opiekunem biblioteki rodziców, którą rozbudowywał i zmierzał do nadania jej statusu publicznej. Rodzice Augustyna wspierali także dzieci zmarłego brata Antoniego. Dlatego w kręgu rodzinnym znajdował się Walery Wróblewski (1836-1908), generał Komuny Paryskiej. Dla młodego Augustyna znacznie starszy kuzyn (trochę jakby stryj) był idolem.

Gucio ukończył gimnazjum w rodzinnym Wilnie. Potem studiował chemię w Petersburgu, Rydze, Zurychu i Bernie. Uczelnie się zmieniały, ponieważ Guccio interesował się niewyłącznie nauką. W wieku 20 lat usunięto go z petersburskiej uczelni za udział w rozruchach studenckich i nielegalnych organizacjach. Była to działalność niepodległościowa o zabar-

wieniu socjalistycznym. W okresie ryskim (1887-1890) młody Wróblewski kolportował i powiełał wydawnictwa socjalistyczne. Do profesorów chemii, którzy mieli największe znaczenie na uczelni ryskiej w tamtym czasie, należy zaliczyć Carla Bischoffa (1855-1908) zajmującego się chemią organiczną i Pawła Waldena (1863-1957), specjalistę od stereochemii, czyli trójwymiarowej budowy cząsteczek. Obaj byli dobrymi nauczycielami „chemicznego rzemiosła” i wiele nauczyli młodego Wróblewskiego. Za działalność konspiracyjną (m.in. korespondencję z Józefem Piłsudskim) w 1891 roku Augustyn został aresztowany w Wilnie, podczas pobytu u brata Tadeusza. Najpierw umieszczono go w areszcie, a potem zesłano do Taszkientu, gdzie musiał służyć w dyscyplinarnym batalionie. Jak wspomina jego kolega z czasów ryskich Stanisław Stempowski (1870-1952): „Taszkient spacył niewątpliwie ten trzeźwy i jasny umysł i dzielny charakter, skierował na maniackie tory” (Stanisław Stempowski, *Pamiętniki (1870-1914)*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1953, s. 112).

Metoda pozyskiwania białka

Po odbyciu kary, czy jak sam to nazywał „rekolacji”, Wróblewski pojechał do Zurychu (Jerzy Franke wspomina tu Brunszwik), żeby ukończyć studia. Przebywał tam krótko, a stopień doktora uzyskał ostatecznie w Bernie. Praca dotyczyła kazeiny mleka kobiecego i była napisana pod kierunkiem prof. Edmunda Drechsela (1843-1897). Tekst ukazał się drukiem w szwajcarskim czasopiśmie naukowym. W języku polskim streszczenie opublikowano w czasopiśmie „Kosmos”. Zasadą tej pracy było opracowanie metody pozyskiwania czystych preparatów białkowych, w tym przypadku kazeiny z mleka kobiecego. „Wytrąconą siarczanem amonu kazeinę Wróblewski odfłuszczał eterem dietylowym, ponownie rozpuszczał w wodzie i znowu poddawał frakcjonowanemu strącaniu siarczanem amonu wobec kwasu octowego, po czym dializował we własnej konstrukcji dializatorze” (Ignacy Z. Siemion, *Sława i zniesławienie: o życiu i pracach Augustyna Wróblewskiego*, „Analecta” nr 1-2/2002, s. 256). Wróblewski zauważył także, że białko mleka ludzkiego jest inne niż to pochodzące od zwierząt. Samo mleko ma znaczną zawartość siarki i fosforu, czego nie zaobserwował w innych preparatach mlecznych. Wyizolował także w kazeinie ludzkiej nieznane dotąd białko.

Praca doktorska otworzyła Augustynowi Wróblewskiemu drzwi do akademii. Od 1894 roku był asystentem w I Zakładzie Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego pracami kierował Karol Olszewski (1846-1915). W 1986 roku ponownie

zainteresowała się nim carska policja. Skierowano go na przymusowe ćwiczenia wojskowe do Grodna. W efekcie absencji dr Wróblewski stracił miejsce w zakładzie prof. Olszewskiego. Przygarnął go prof. Napoleon Cybulski (1854-1919) do Zakładu Fizjologii UJ. Od 1895 r. Wróblewski był także członkiem i częstym prelegentem Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika. Jedno z pierwszych wystąpień miało tytuł *Przyczynki do znajomości działania fizjologicznego alkaloidów*. U prof. Cybulskiego Wróblewski zajął się pepsyną – enzymem trawiennym. Porównywał jej właściwości między gatunkami zwierząt oraz działanie w połączeniu z różnymi związkami chemicznymi. Udało mu się dowieść, że niektóre alkaloidy mają wpływ na pepsynę, co wpisywało się w popularną wówczas dyskusję o wpływie kawy i herbaty na trawienie żołądkowe. Wróblewski stwierdził, że na trawienie mają przede wszystkim wpływ substancje garbnikowe znajdujące się w tych napojach.

Rozwijanie naukowych skrzydeł

Przy okazji pisania o układzie okresowym pierwiastków, Wróblewski zdradził swoją postawę badawczą. Przedstawił się jako empiryk i umiarkowany zwolennik dedukcji. „Wiedzę stanowi znajomość faktów. Fakty – to jej inwentarz. Teorie i hipotezy nie objaśniają nam i nie mogą objaśniać istoty rzeczy, służą one tylko jako narzędzia, ułatwiające badania dalsze, oraz uprzystępniające wiedzę pod względem pedagogicznym. Z biegiem czasu, z rozszerzeniem się dziedziny wiedzy, narzędzia te stają się za mało doskonałe, przestają wystarczać i muszą dawać miejsce innym, które tenże los spotka” (cytuje za: Ignacy Z. Siemion z artykułu Wróblewskiego w czasopiśmie „Kosmos” nr 20/1895, s. 87; niestety autor nie podał tytułu tekstu). Młody chemik postulował więc gromadzenie przede wszystkim obserwacji. Nie można ich jednak rejestrować bez żadnego porządku. Tu potrzeba hipotez i twierdzeń ogólnych. Na ich podstawie należy kontynuować dalsze testowanie i obserwacje. Procedura, kumulowanie wiedzy, powinny doprowadzić do obalenia bądź zweryfikowania przyjętych założeń teoretycznych. Tak wspinały się „na ramiona olbrzymów”, by zobaczyć więcej.

Prof. Cybulski, nowy szef dr. Wróblewskiego, pomógł mu w badaniach nad pepsyną w 1896 roku. Zaproponował, żeby przystosować istniejące urządzenie laboratoryjne (spektrofotometr Glana) do oznaczeń chemiczno-fizjologicznych. Dzięki temu młody uczoney był w stanie uściślić obserwacje, które do tej pory miały charakter jedynie jakościowy (porównanie koloru roztworu pepsyny połączonej z wybranym kwasem i odczynnikiem). Prof. Cybulski zachęcił także dr. Wróblewskiego do napisania podręcznika do ćwiczeń z chemii fizjologicznej. Warto nadmienić, że taka pozycja do tej pory nie istniała w języku polskim. Był on skierowany do przyszłych lekarzy. Wróblewski, pisząc go, korzystał ze swojej wiedzy i doświadczenia oraz zagranicznych lektur, zadbał też o przystępny język. Dużo miejsca poświęcił na analitykę związków naturalnych: białek, tłuszczów, węglowodanów. Są rozdziały dotyczące oddychania, nerwów, trawienia, moczu czy mleka. Nie są jednak tak samo rozwinięte. Np. oddychaniu autor poświęcił 3 strony, a analizie moczu 72 strony. Widać więc, że podręcznik napisał chemik, a nie fizjolog, co nie przesądza jednak o mniejszej wartości tekstu. Dzieło zostało wydane w Krakowie w 1897 roku.

Podręcznik pomógł zbudować Wróblewskiemu renomę. Autora uznano za wykwalifikowanego analityka medycznego. W tym samym czasie w Krakowie powstał Zakład Powszechny do Badania Środków Spożywczych i nasz bohater otrzymał tam pracę inspektora. W tym czasie zainteresował się diastazą – enzymem rozkładającym wielocukry (np. skrobię, którą kiedyś już się interesował). Uznał, że ma on charakter białkowy i przedstawił na to doświadczalny dowód. Roztwór diastazy

łączył z jodkiem potasowo-rtęciowym. W efekcie wytrącało się białko i związki cukrowe. Później swoje badania nad enzymem rozszerzył o kolejne enzymy amylolityczne. Zainteresowanie naturą enzymów doprowadziło go do kwestii klasyfikacji białek.

Do tej pory białka dzielono na podstawie ich właściwości fizycznych (np. rozpuszczalność) albo genetycznych (pochodzenie roślinne lub zwierzęce). Nie uwzględniano podziału opartego na ich budowie. Wróblewski zbudował klasyfikację białek właśnie w odniesieniu do ich struktury chemicznej. Wydzielił białka: proste, złożone i ciała białkopodobne (do tej grupy włączył np. enzymy). Była to w tamtych czasach rewolucja pojęciowa. Klasyfikację przedstawił w 1897 roku w *Centralblatt für Physiologie*. Do białek prostych zaliczył: albuminy, globuliny, białka rozpuszczalne w alkoholu, albuminaty, albuminy kwaśne, białka skoagulowane. Wśród białek złożonych wymieniał: glikoproteiny, hemoglobiny, nukleoalbuminy, kazeiny, nukleiny, amyloidy, histony. Substancje białkopodobne to według Wróblewskiego: białka strukturalne, albumozy i peptony oraz enzymy. Te ostatnie, w kolejnej rewizji swojej klasyfikacji, podzielił według typów katalizowanych reakcji.

W 1897 roku pojawiły się doniesienia o próbach pozakomórkowej fermentacji alkoholowej. Tym zagadnieniem niezwłocznie zajął się dr Wróblewski, w czym wspierał go prof. Cybulski. Pracował na drożdżach, głównie piwnych z Okocimia i Wiednia. Swoje pierwsze ustalenia referował m.in. w Akademii Umiejętności. Jego zdaniem, enzym zymazy nie był efektem fermentacji i nie wydzielają go komórki drożdżowe. Kilka lat badań nad drożdżami i zymazą zawiera rozprawa habilitacyjna Augustyna Wróblewskiego, która została przedstawiona w 1901 roku na UJ. Autor ustalił m.in., że obecność soli opóźnia fermentację, natomiast wspierają ją fosforany. Podobnie zakłócający dla fermentacji był etanol. Bez wątpienia fermentacja była procesem chemicznym, a zymaza miała działanie katalityczne. Aby pracować nad drożdżami, biochemik tworzył własne urządzenia laboratoryjne. Jedno z nich szczególnie pomocne okazało się w krystalizacji. Jednocześnie musiał pamiętać o potrzebach laboratorium badania żywności, więc zajął się także kwestią fałszowania mleka i jego przetworów. Opracował np. prostą metodę określania ilości wody w mleku, maśle i olejach. Był zwolennikiem sterylizacji mleka, które uważał za łatwiej przyswajalne w takiej postaci. Na marginesie wspomnę, że rozprawa habilitacyjna dała Wróblewskiemu jedynie status docenta prywatnego, czyli nie miał on prawa do stałego zatrudnienia na uczelni. Recenzje dorobku były też powściągliwe, nawet ta od prof. Cybulskiego.

Bez wątpienia okres 1894-1901 był czasem dużej aktywności badawczej dla Wróblewskiego. Udało mu się uzyskać szereg ważnych dla nauki wyników. Po pierwsze, wprowadził nową klasyfikację białek. Po drugie, przedstawił doświadczalny dowód, że enzymy są białkami. Po trzecie, potwierdził odkrycie fermentacji pozaustrojowej, eksperymentując z drożdżami piwnymi. Po czwarte, odkrył wpływ fosforanów na ten proces. Później jednak nad jego życiem zaczęły gromadzić się ciemne chmury.

Kłopoty młodego uczonego

Augustyn Wróblewski jako człowiek mógł być odbierany jako oryginał. Był zwolennikiem nieskazitelności etycznej i aktywistą ruchu antyalkoholowego, zwolennikiem prohibicji. Do tego był ateistą i antyklerykałem, co na ziemiach etnicznie polskich nie mogło być popularne. Miał potrzebę niesienia „apostolstwa moralnego”, a jak wiadomo, nikt nie lubi, by wytykać mu niedostatki lub sprzeczności w postępowaniu. Ta „sztynność etyczna” z pewnością nie przysparzała mu przyjaciół, a wręcz marginalizowała go i przyklejała łatkę dziwaka.



Augustyn Wróblewski

Być może te cechy osobowości zadecydowały, że nie otrzymał on spodziewanego awansu w 1901 roku.

W Zakładzie Badania Żywności zwolniła się wtedy posada nadinspektora. Wróblewski sądził, że ją otrzyma. Tymczasem etat otrzymał ściągnięty z zagranicy dr Leon Marchlewski (1869-1946). Wróblewski nie chciał się podporządkować Marchlewskiemu, a nawet próbował go znieważać i wyzwać na pojedynki. Otoczenie uznało to za oczywisty dowód niepoczytalności Augustyna Wróblewskiego. Umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym (inicjatywa Napoleona Cybulskiego) i zdiagnozowano paranoję. W efekcie przeniesiono go na wcześniejszą emeryturę, pozbawiono docentury akademickiej i poddano kuratelii sądowej. Pobyt w szpitalach trwał półtora roku.

Co ciekawe, główna diagnoza skazująca go na taki wyrok została wydana przez lekarzy, którzy nie byli nawet psychiatrami. Opinię o chronicznym pomieszeniu umysłu, czyli paranoi, wydali Józef Zoll (ekspert w zakresie medycyny sądowej i specjalista od chorób kobiecych) oraz Stanisław Domański (neurolog z UJ). O chorobie docenta Wróblewskiego przekonany był prof. Cybulski, który brał aktywny udział w całej procedurze. Nie wiadomo, w którym momencie uznał swojego współpracownika za niepoczytalnego. Mogły to być też osobiste animozje, wszak wcześniej chętnie mu pomagał. Warto także wspomnieć, że opisana sytuacja nie była osobnym przypadkiem. W Galicji często wykorzystywano kwestię zdrowia psychicznego, żeby odsunąć niepożądaną postać ze stanowiska. Wygląda na to, że docent Wróblewski stał się ofiarą tego proceduru.

W 1903 roku z pomocą Bernarda Diamanda, kolegi ze studiów, Augustyn Wróblewski udał się do Szwajcarii, gdzie poddał się kolejnym badaniom psychiatrycznym, tym razem w Kilchbergu, Zurichu i Wiedniu (Jerzy Franke, *„Czystość”* (1905-1909) Augustyna Wróblewskiego albo iluzja etycznej krucjaty, UW, Warszawa 2013, s. 61). Wszyscy lekarze, którzy mieli wtedy kontakt z biochemikiem, uznali go za poczytalnego. Dzięki tym diagnozom udało się Wróblewskiemu zdjąć narzuconą sądownie kuratelę. Stało się to ok. 1905 roku. Nie-

mniej wyrządzona szkoda była już nieodwracalna. Augustyn nigdy nie odzyskał w Krakowie dawnej pozycji, ani miejsca na uczelni, ani w Zakładzie Badań Spożywczych. Nie powinno więc dziwić, że całą energię skierował w kierunku działalności etycznej. W 1905 r. zaczyna prowadzić czasopismo „Czystość”, bezpartyjny dwutygodnik poświęcony zwalczaniu prostytucji i nierządu. Jest to główna platforma Wróblewskiego do komunikowania swoich poglądów, ale niejedyna. Sam wspominał: „założyłem cały szereg towarzystw etycznych polskich i jedno szwajcarskie, wygłosiłem do stu odczytów etycznych, przeważnie dla robotników w Królestwie, kilkadziesiąt odczytów w Galicji i innych miejscach; prócz tego odczyty po rosyjsku w Petersburgu, po niemiecku w Wiedniu i Finlandy; założyłem i prowadziłem trzy czasopisma etyczne; setki młodzieży uczącej się, setki robotników zaciągało mej rady w sprawie moralności praktycznej (...). Odczyty o prostytucji, z charakterem misji, miałem w Krakowie dla młodzieży, dla robotników, dla kobiet syjonistek, dla stowarzyszenia księży katechetów, dla artystów teatru miejskiego. W tej działalności, która trwała bez przerwy przez 8 lat ostatnich, doświadczyłem wiele...” (Augustyn Wróblewski, *Przyrodniczo-naukowa teoria moralności*, 1912, s. 3-4).

Kontrowersje związane z działalnością etyczną

Jak wspominałam, Wróblewski postulował abstynencję od alkoholu. W swoich odczytach porównywał liczbę prowadzonych karczm z liczbą szkół. Opisywał zdrowotne skutki nadmiernego spożycia etanolu. Na tym polu mógł jeszcze znaleźć zwolenników, o ile stosowałby wyważoną argumentację i nie domagał się np. zupełnego zakazu produkcji i sprzedaży alkoholu. Ze zwalczaniem prostytucji szło mu nieco gorzej. Korzystanie z tego rodzaju usług uważał za upadek obu zaangażowanych stron. Budził też spore kontrowersje, omawiając aktywność seksualną kleru. Był twórcą i zwolennikiem tzw. czerwonej religii (kolejna niezręczność terminologiczna). Chodziło mu w rzeczywistości o kult nauki i o wyrazistą orientację społeczną zogniskowaną na pomocy potrzebującym, ale skojarzenie było jednoznacznie negatywne. To, co na pewno nie przysparzało mu przyjaciół, to przekonanie, że niepodległość Polski jest na ówczesnym etapie niemożliwa. Polaków uważał za mało produktywnych. Nie przepadał za Piłsudskim. Krytykował poczytnych wtedy pisarzy, np. Żeromskiego, za brak stanowiska w różnych sprawach etycznych. Postulował także wprowadzenie nowego świeckiego kalendarza. Wierzył w możliwość pozawerbalnej komunikacji, swoistego „mózgowego promieniowania”, w coś na kształt telepatii, jasnowidzenia, zbiorowej halucynacji.

W pracy *Czerwona religia*, wydanej w 1911 roku z funduszu organizacji „Czystość”, Wróblewski przedstawił swoje kolejne poglądy ideologiczne. Pisał, że właściwym dla natury ludzkiej jest dążenie do wieczności. Religijność jest wyrazem tej tęsknoty. Człowiek nie ma duszy. Co wydaje się duszą, jest tak naprawdę „ustrojem mózgowo-nerwowy”. Po śmierci nie ma zmartwychwstania. Mistycyzm jest o tyle przydatny, o ile przyczynia się do zmiany społecznej, np. rewolucji. Z innych wypowiedzi dowiadujemy się, że zdaniem Wróblewskiego z pewnością istnieje jakaś forma inteligencji pozaziemskiej i powinniśmy dążyć do jej poznania. Za Emilem Durkheimem odwoływał się do teorii „chemizmu społecznego”, który wskazuje, że tożsamość społeczna jest czymś odrębnym niż tożsamość jednostkowa. Normy moralne nie są niezmiennicze, lecz zależą od warunków życia społeczeństw. To twierdzenie zbulwersowało m.in. filozofa Kazimierza Twardowskiego (1866-1938).

Wróblewski piętnował także deficyty moralności u ludzi nauki, co nie mogło dodać mu zwolenników. „Łamanie młodych pędów dążących ku światłu, podstępne skrytobójcze

wyduszanie po nocach konkurencyjnych młodych sił, zbrodnia zapędzania współpracowników obławą w rzeczywistość szpitalów dla obłąkanych [osobiste doświadczenie autora], aby tam zginęli na zawsze; staranne uniemożliwianie pracy twórczej, wygryzanie sobie wzajemnie z zawiści kawałków mięsa i wyrwanie pazurami oczu i zębów, jest objawem codziennym wśród uczonych polskich” (Augustyn Wróblewski, *Przyrodniczo-naukowa teoria moralności*, 1912, s. 61).

Lata 1912-1913 to dla Augustyna Wróblewskiego okres bardziej intensywnego zaangażowania w politykę. Od 1911 roku biochemik był regularnie obserwowany przez policję. Władzom nie podobały się czasopisma wydawane przez Wróblewskiego. Mowa o „Sprawie Robotniczej” i „Przyrodniczym Poglądzie na Świat i Życie”. Kolejne numery były rekwirowane, drukarnie zastraszane, a sam Wróblewski często lądował w areszcie. Swoistą kroplą, która przelała czarę goryczy, były ulotki, które nasz bohater przygotował na przyjazd do Krakowa arcyksięcia Karola Franciszka Józefa w czerwcu 1912 roku. Wróblewski spędził za nie w areszcie 7 tygodni. W więzieniu napisał *Manifest człowieczeństwa*, który zadedykował wszystkim pozbawionym wolności. Treść tego dokumentu wskazuje na to, że biochemik coraz głębiej tonął w idealizmie i zatracił kontakt z rzeczywistością.

W listopadzie 1912 roku odbył się pierwszy proces polityczny Wróblewskiego. Sąd zarzucił mu „łżenie władz państwowych i podburzanie przeciwko formie rządu”. Przy okazji zbadano oskarżonego pod kątem poczytalności. Opinia była następująca: „nie okazuje objawów choroby umysłowej, a jest osobnikiem neuropatycznym, ideologiem, wykształconym przyrodniczo człowiekiem, dla którego praktyczne zagadnienia życiowe są prawie nieznanne i który swoje teorie, oparte na przyrodniczych zasadach, chce w sposób równie naiwny, jak i niepraktyczny, wprowadzić w życie i ugruntować na nich nowy ustrój społeczny. Badany jest zatem rodzajem reformatora społecznego” (*Dwa procesy anarchistyczne w Krakowie* 1913: 58). Jak widać, psychiatrzy dostrzegli jego idealizm i oderwanie od rzeczywistości, jednak nie uznali tego za objaw chorobowy. Dużo czasu poświęcono analizie poglądów społeczno-politycznych bioche-

mika. Uznano je jednak za względnie nieszkodliwe i oczyszczono z zarzutów. Drugi proces wytoczono Wróblewskiemu w styczniu 1913 roku przed sądem kryminalnym. Zarzucono mu bluźnierstwo i zatargi z policją. Mimo wysiłków prokuratora i tym razem uznano go za niewinnego. Jednak zarzucono mu organizację nielegalnych zgromadzeń i wydawanie zakazanego czasopisma, za co otrzymał grzywnę.

Poglądy etyczne i polityczne Wróblewskiego były jak na tamte czasy kontrowersyjne. Jednak, jeśli się głębiej nad nimi zastanowić, wiele myśli okazało się trafnych. Istotnie alkoholizm prowadzi do wielu problemów społecznych. Prostytucja jest często wyrazem przymusu wobec kobiet. Dewocja i zaboron nie przyczyniają się do rozwoju społecznego, a zbyt opresyjne państwo jest głównym źródłem nieszczęścia ludzi. Istotnie istnieje tożsamość społeczna, co potwierdziły rzesze socjologów. Życie pozaziemskie według wielu astronomów istnieje z pewnością, tyle tylko, że jeszcze go nie poznaliśmy. Jak się wydaje, głównym problemem Wróblewskiego była nie diagnoza społeczna, a wskazywanie rozwiązań, które były nieco zbyt skrajne. W idealnym życiu pewnie okazywałyby się skuteczne, ale nie w takim, w jakim przyszło żyć biochemikowi.

Smutne zakończenie

Pod koniec życia działalność intelektualna Wróblewskiego stawała się coraz bardziej osobliwa. Zajmował się np. kwestią porozumienia między człowiekiem a zwierzęciem. Do końca podkreślał, że wyzysk człowieka przez człowieka jest jednym z największych nieszczęść w historii ludzkości, a każda władza zawiera w sobie element krzywdy. Biochemik zakończył życie w niejasnych okolicznościach. Latem 1913 roku wyjechał do Paryża. Tam podobno przeżył załamanie nerwowe. Najpewniej zmarł w szpitalu psychiatrycznym pod koniec tego samego roku. Przez lata większość jego dorobku uległa zapomnieniu.

Tytuł jest parafrazą z tekstu autorstwa „Wiesława Wóchnouta (1960) Życiorys nie typowy. w: Jadwiga Wróblewska (red.): Listy z Polski, Londyn: B. Świdorski, s. 6.”

Jacek KARCZEWSKI, *Zobacz ptaka. Opowieści po drodze*, Wyd. Poznańskie, Poznań 2021.

Antoni DĘBIŃSKI, Magdalena PYTER, *Karol Jaroszyński. Atawistycznie obciążony wielkim hazardem życiowym*, Instytut De Republica, Warszawa 2022.

Piotr ROGUSKI, *Wiatr wieje tam, gdzie chce*, Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2021.

Łukasz LAMŻA, *Połącz kropki. Nanoboty medyczne, drony zabójcy, odczytywanie myśli i inne technologie przyszłości*, Copernicus Center Press, Kraków 2021.

Łukasz SUŁKOWSKI, *Zarządzanie uczelniami cyfrową. Między utopią wolności a dystopią władzy*, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2022.

Natalia HATAŁSKA, *Wiek paradoksów. Czy technologia nas ocali?*, Znak, Kraków 2021.

Kontynuuj to, co dobre, rozwijaj to, co najlepsze... Profesor Lech Dzienis, rektor Politechniki Białostockiej w latach 2012-2020, w rozmowie z Magdaleną Gołaszewską, druk-24h.com.pl, Białystok 2022.

Marek KWIEK, *Globalna nauka, globalni naukowcy*, PWN, Warszawa 2022.

Trendy, modele i perspektywy rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce: 2021-2025 z projekcją do roku 2030, red. nauk. Jerzy WOŹNICKI, Wyd. PŚ, Gliwice 2022.

Jadwiga BARTHEL DE WEYDENTHAL, *Wspomnienia*, wstęp i oprac. Józef Nowakowski, Wyd. Nauk. SCHOLAR, Warszawa 2022.

Aleksandra POWIERSKA, *Polajkować TV. Telewizja i media społecznościowe*, Wyd. UJ, Kraków 2022.

Paweł MOŚCICKI, *Wyższa aktualność. Studia o współczesności Dantego*, Wyd. UJ, Kraków 2022, seria: Hermeneia.

Iwona BORUSZKOWSKA, Michałina KMIĘCIK, *Style zachowań awangardowych. Przypadek Polski*, Wyd. UJ, Kraków 2022, seria; awangarda/rewizje.

Jan GŁUCHOWSKI, *Zagraniczne pobyty akademickie pracowników UMK w okresie PRL-u*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2021.

Muzeologia cyfrowa. Muzeum i narzędzia cyfrowe humanistyki, red. Małgorzata BAKA, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2020.

Patrycja BĄKOWSKA, *Formy ekspresji podmiotowości nowoczesnej. Tożsamość indywidualna i zbiorowa w poezji polskiej schyłku XVIII i początku XIX wieku*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2021, seria: Monografie FNP.

Książki nadesłane

Piotr Hübner

Konceptja nietypowej szkoły

Liceum na Bednarskiej i Rada Edukacji Narodowej

Ja i kilka osób opowiadaliśmy się za klasycznym, dawnym modelem elitarnej szkoły typu licealnego. Nie chodziło o elitaryzm w sensie ekskluzywizmu, ale o wysoki poziom wymagań.

Niechęć do szkoły, a właściwie do zinstytucjonalizowanego systemu szkolnictwa – i do tego w wersji zideologizowanej – starałem się przezwyciężyć jako nauczyciel. Okazało się jednak, że promień oddziaływania nie wykracza poza moje zajęcia, każdy z nauczycieli realnie był panem swej domeny szkolnej. Większe możliwości oddziaływania znalazłem w roli przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Oświata Śródmieście. Możliwości te nie wkraczały jednak w sferę ugruntowanego systemu szkolnego, ten był niereformowalny. Dopiero koncepcja szkół społecznych dała szansę budowy alternatywnej szkoły. Działo już wtedy półlegalnie Społeczne Towarzystwo Oświatowe, które z czasem uzyskało prawo do zakładania szkół podstawowych.

We wrześniu 1988 roku nawiązał ze mną kontakt Andrzej Wrede, który mimo posiadanego doktoratu zrezygnował z pracy w Centrum Zdrowia Dziecka ze względów etycznych (sprawa następstw metody in vitro). Zaproponował zorganizowanie zespołu złożonego z niekonwencjonalnych nauczycieli innowatorów wraz z pracownikami naukowymi gotowymi do przygotowania koncepcji nietypowej szkoły. Znałem toruńskie tradycje Gimnazjum Akademickiego, które przekształciłem na koncepcję I Społecznego Liceum przy Uniwersytecie Warszawskim. Generalnie formuła była taka, że miała to być szkoła bez biurokracji. Początkowo spotykaliśmy się w mieszkaniach prywatnych co kilkanaście dni, następnie w Instytucie Orientalistyki UW. Nie dysponowaliśmy środkami pokrywającymi koszty powołania liceum, ale byliśmy entuzjastami pomysłu. Poszukiwaliśmy siedziby na ulokowanie liceum, ponieważ ciasnota na uniwersytecie i problemy prawne wykluczały skorzystanie z pomieszczeń uczelnianych. Działaliśmy bez jakiegokolwiek umocowania instytucjonalnego, nawet bez kontaktu z ówczesnie „podziemną” Solidarnością Oświaty.

Moja rola polegała na przygotowaniu statutu i regulaminu liceum. Wiadomo było, że konieczne jest uruchomienie drogi prawnej i w tym celu nawiązaliśmy kontakt z Ministerstwem Edukacji Narodowej. Gdy w grupie organizatorów znaleźliśmy się w ministerstwie, z radością przywitała się ze mną reprezen-

tująca ministerstwo radca prawny Krystyna Fijołek, znana mi z grupy studenckiej na UW. Na studiach była jedną z najsłabszych studentek. To był dla mnie szok, bo wydawało mi się, że w aparacie Ministerstwa Edukacji Narodowej powinni pracować najlepsi prawnicy. Radca prawny ministerstwa przedstawiła argumentację, że taki twór jak społeczne liceum przy uniwersytecie nie może powstać, bo nie ma statutowych możliwości na uczelni ani też powołania samoistnej szkoły. Przypomniałem sobie wtedy przedwojenne materiały o społecznych instytucjach badawczych. Mówiły, że wystarczy powołać jednoimienne stowarzyszenie, w tym przypadku Stowarzyszenie Przyjaciół I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego przy Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy prawnie projekt stawał się możliwy do realizacji, ponieważ szkoła była powoływana jako agenda stowarzyszenia. Takie rozwiązanie prawne przyjęło też działające ówczesnie półlegalnie Społeczne Towarzystwo Oświatowe, z tym że występowało jako macierz zakładająca kilkadziesiąt szkół społecznych.

Zamach na Bednarskiej

W gronie organizatorów liceum wystąpiły dwa problemy. Pierwsza trudność wynikała ze zróżnicowanego składu zespołu założycielskiego. Jedną z ambitnych uczestniczek zespołu Hanna Rilke, psycholog z wykształcenia, proponowała zorganizowanie szkolenia dla nas w jakimś ośrodku prywatnym na Mazurach, gdzie do północy by się nami zajmowała, a po tym czasie jej kolega. Idea tego szkolenia polegała na tym, żeby zamiast spać, zwierzać się innym ze swoich wszystkich problemów, także osobistych. Celem szkolenia miało być zbudowanie wzajemnego zaufania członków zespołu. Ja oraz kilka osób odrzuciliśmy ten pomysł. Uważaliśmy, że nasze porozumienie będzie wystarczające na poziomie organizacyjnym szkoły, zwłaszcza w zakresie spraw związanych z programem. Te ostatnie sprowadziliśmy do koncepcji nauczania w blokach. Miały powstać takie „super przedmioty”, z bliską współpracą ludzi z uniwersytetu, z zachowaniem wymogów programowych, ale

też z pełną wzajemną koordynacją. W gruncie rzeczy we wszystkich typach szkół każdy nauczyciel miał swobodnie realizować swoje wymagania.

Innym czynnikiem, który dzielił, była sprawa modelu. Ja i kilka osób opowiadaliśmy się za klasycznym, dawnym modelem elitarniej szkoły typu licealnego. Nie chodziło o elitaryzm w sensie ekskluzywizmu, ale o wysoki poziom wymagań. Moje przekonanie co do modelu brało się po części z rodzinnych doświadczeń. Jeszcze przed I wojną światową rodzice mojego Ojca byli nauczycielami. Uczyli w szkole powszechnej w Zduńskiej Woli. Rodzice Mamy z kolei prowadzili szkołę dla dziewcząt (babcia) i szkoły gimnazjalne (dziadek) w takich miastach jak Zamość, Zduńska Wola, Kalisz. Były to tradycyjne szkoły.

W uruchomionym liceum, ulokowanym w roku 1990/1991 w akademiku na Ursynowie użyczonym przez SGGW, dyrektorem był Andrzej Wrede. Jednak po przeniesieniu do budynku przy ulicy Bednarskiej władzę przejęła grupa związana z Krystyną Starczewską i Włodzimierzem Paszyńskim. Można to było tłumaczyć potrzebami zachowania liberalnego kierunku pracy liceum, jednak ten „zamach stanu” dokonał się niedemokratycznie. Krystyna włączyła się do prac programowych w końcowym etapie. Załatwiła uznanie przez Uniwersytet Warszawski patronatu nad liceum oraz lokalizację przy ulicy Bednarskiej. Był to okres upadku władzy komunistycznej. Autorytet Krystyny wiązał się z jej pracą habilitacyjną o Januszu Korczaku, którą przez wiele lat przygotowywała w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Krystyna uczestniczyła w obradach „Okrągłego Stołu”, w podstoliku oświatowym. Miała poglądy, które można nazwać liberalnymi. Jej zdaniem, z młodzieżą należało postępować na „luzie”. Kierując się liberalizmem, niektórzy młodszy nauczyciele byli nawet gotowi przejść z uczniami na „ty”. Mnie zawsze przestrzegano przed rezygnacją z autorytetu – to jeden z większych błędów, jakie może popełnić nauczyciel. Realnie okazało się, że młodzież przyjeta do Liceum przy ulicy Bednarskiej zainteresowana jest jeszcze bardziej niż nauczyciele modelem szkoły liberalnej. Szybko pojawił się problem używania narkotyków wśród młodzieży. W liceum nie było klasycznej nauki przedmiotowej, przeważały problemy natury wychowawczej.

Wycofałem się z działań organizacyjnych w momencie, gdy koncepcja liberalna zwyciężyła. Nie składałem funkcji prze-

wodniczącego Stowarzyszenia Przyjaciół, które w praktyce utożsamiono z zespołem nauczycieli liceum.

Enklawa wolności

W 1988 roku, w ramach drugiej „Solidarności”, wybrano mnie na przewodniczącego Komisji Zakładowej Solidarności w IFiS PAN. Znów odczułem satysfakcję. Głosowała na mnie większość osób, mimo że poprzedni (konspiracyjny) przewodniczący przypuszczał, że z całą pewnością zostanie po raz kolejny wybrany, chociaż to on zgłosił moją kandydaturę do wyborów. Społeczność instytutu nigdy nie była jednorodna, gdyż filozofowie i socjologowie sami z siebie stanowili dwie grupy. W tym gronie była znaczna grupa myśląca lewicowo i zdecydowanie mniejsza myśląca prawicowo. W tej strukturze moim zastępcą był Piotr Gliški, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. Drugim zastępcą był Włodzimierz Wesołowski, były pracownik KC, po 1968 roku uznawany za człowieka z kręgu władzy. Było w tym czasie możliwe, żeby być członkiem partii i należeć do związku zawodowego. „Solidarność” była otwarta na byłych i obecnych członków partii z tego powodu, że miała bardzo przyciągającą siłę ideową. Na spotkaniach i debatach ideowych czuliśmy, że zmieniamy rzeczywistość. Często gościem na nich była m.in. Jadwiga Staniszkis. Zajmowaliśmy się przekształceniami organizacyjnymi w instytucie. Działaliśmy w roli przewodniczącego do 15 grudnia 1989 roku, kiedy zrezygnowałem z funkcji ze względu na przejście do pracy w administracji rządowej. Miałem jeszcze przez ponad rok kontakt z instytutem, ponieważ zachowałem tam pół etatu (15 XII 1989 – 15 III 1991).

Działalność w nauczycielskiej i akademickiej „Solidarności” sprawiła, że zaproszono mnie do udziału w spotkaniach konspiracyjnej Rady Edukacji Narodowej w końcowej fazie jej działań. Rekomendowała mnie Krystyna Starczewska. Drugą rekomendację dostałem od Klemensa Szaniawskiego. Był to uczeń Kotarbińskiego, który znał mnie z Zakładu Prakseologii. Spotykałem się z nim od czasu do czasu. Jego żona była sekretarzem redakcji „Nowych Książek”, gdzie byłem stałym recenzentem publikacji humanistycznych. To z kolei załatwił mi Andrzej Zakrzewski, późniejszy minister kultury. Mając te rekomendacje, a jednocześnie niewiele wiedząc o samej radzie, nie czyniłem też wielkich starań o udział w niej. Udział ten nie był w żaden sposób sformalizowany.

Nie było oficjalnego przyjęcia do składu rady. Odczuwało się klimat rozpadającego się komunizmu. Rada rok wcześniej działała jeszcze w konspiracji, ale od połowy 1988 roku funkcjonowała już jawnie. Nie ukrywano w podziemnych wydawnictwach, kto należy do rady i co ona robi.

Dwa razy zostałem zaproszony na takie spotkania. Jedno było w budynku Ministerstwa Edukacji Narodowej położonym na zapleczu, w oficynie. Sensację budził fakt, że po drugiej stronie podwórza, w Alei Róż, mieszkali różni prominentni politycy, w tym Józef Cyrankiewicz. Pamiętam koleżeńską atmosferę, pełną życzliwości i sympatii. Referowałem sprawy Społecznego Liceum. Drugie spotkanie było w mieszkaniu przy ulicy Lwowskiej, w starej kamienicy. Mieszkanie bardzo duże, wielopokojowe. Dysponowali nim państwo Romaszewscy, którzy wspierali opieką prawną prześladowanych robotników. Te spotkania i ich atmosfera były dla mnie enklawą wolności. To był czas, gdy zaczęto legalizować drugą „Solidarność”. Po upadku władzy komunistycznej działalność rady wygasła. Z perspektywy czasu okazało się, że Rada Edukacji Narodowej odgrywała rolę kolegialnej władzy oświatowej.



Budynek Łazienek Teodozji Majewskiej przy ul. Bednarskiej 2/4 w Warszawie, siedziba I Społecznego Liceum w latach 1989–2012 Fot. Adrian Gryciuk.

Zdjęcie: Wikipedia

Marcelina Smużewska

Nauki tajemne w Polsce w dobie odrodzenia

W kronikach uczelnianych z grudnia 1579 roku znajdujemy opis skandalu z powodu wykrycia grupy studentów zajmujących się „sztukami diabelskimi i nekromancją”. Praktykami magicznymi zajmowali się też niektórzy duchowni, np. Jan Dziaduski, biskup przemyski.

Do nauk tajemnych zaliczamy astrologię, alchemię, magię, nekromancję, kabalistykę, chiromancję, krystalomancję i katoptromancję (sztukę przepowiadania przyszłości za pomocą zwierciadła). Tylko te dwie pierwsze były na ziemiach polskich legalnie uprawiane. Astrologia i alchemia miały swoje miejsce na Uniwersytecie Krakowskim i były przedmiotem oficjalnych wykładów. Kalendarze astrologiczne i tzw. judicia, czyli rodzaj wróżb, były wydawane przez profesorów krakowskich i zyskiwały czytelników w Polsce i poza jej granicami. Alchemię uprawiano najczęściej na wydziale lekarskim i choć nie raz była przedmiotem krytyki, cieszyła się także zainteresowaniem.

Czarodzieje na uniwersytecie

Astrologia była wiązana z magią. W starożytnym Rzymie magów i astrologów traktowano jako przedstawicieli tej samej profesji. Ojcowie Kościoła uważali, że magia i astrologia to „jeden szatański system”. Mimo to astrologia cieszyła się poważaniem w okresie renesansu. Prawie każdy europejski władca zatrudniał na dworze astrologa. Niektóre uniwersytety, np. w Kolonii, Pawii czy Rzymie (La Sapienza), miały oddzielne katedry astrologii. Sztuka astrologii była także rozwijana w Krakowie i to od samego początku. Katedra astrologii powstała w Collegium Artistarum w 1459 roku, ufundowana przez Marcina z Przemysła, zwanego Królem (zm. przed 1460). Do końca XV wieku katedry astronomii i astrologii pozostawały rozdzielone. Uczniem Marcina z Przemysła był Marcin Bylica z Olkusza (zm. 1494), który na węgierskim dworze pełnił funkcję astrologa właśnie. Innymi znanymi astrologami z Polski byli Jan z Głogowa (zm. 1507) i Wojciech z Brudzewa (zm. w 1495).

Ten pierwszy opublikował około trzydziestu prognostyków rocznych. W jednym z nich przewidywał pojawienie się „czarnego zakonnika”, którego utożsamiano z Lutrem. Ojciec reformacji był augustianinem, a więc nosił czarny habit. Głogowczyk ogłosił drukiem także traktaty o teorii astrologii, zmianie pogody, horoskopach, o wyborze szczęśliwych dni. Napisał także tekst, który jest obroną astrologii. Głogowczyk myślał

jak inni średniowieczni uczeni. Ziemia jego zdaniem znajdowała się w centrum. Innego zdania był Wojciech z Brudzewa, który jako pierwszy zwrócił uwagę na sprzeczności w układzie geocentrycznym. Był zatrudniony na dworze wielkiego księcia litewskiego Aleksandra Jagiellończyka. Lekarza-astrologa zatrudniali także Kazimierz Wielki czy Kazimierz Jagiellończyk.

Druga generacja astrologów na krakowskiej uczelni pozostawała w Krakowie, zamiast szukać zatrudnienia na dworach królewskich i książęcych. Do tej grupy należeli: Stanisław Selig z Krakowa (zm. 1512), Wojciech z Pniew (zm. 1504), Bernard z Biskupiego (zm. 1531), Stanisław Bylica z Olkusza (zm. 1514), Michał Falkener z Wrocławia (zm. 1534), Mikołaj Mikosz z Krakowa (zm. 1528), Wojciech Krypa z Szamotuł (zm. 1507), Leonard Szklarczyk z Dobczyc (zm. 1508), Wawrzyniec Rabe z Neumarkt na Śląsku (zm. 1527), Marcin Biem z Olkusza (zm. 1540), Szymon z Sierpca (zm. 1512), Jerzy Kotermak z Drohobycza (zm. 1494). W XVI wieku sława krakowskiej astrologii zmalała. Straciła ona na międzynarodowym znaczeniu być może dlatego, że profesorowie zamiast podróżować i dzielić się swoją wiedzą, pozostawali w jednym ośrodku.

Ważną datą w historii astrologii był rok 1522, w którym Maciej z Miechowa (zm. 1523) ufundował katedrę astrologii (była to jedna z kolejnych fundacji). Sponsor był ośmiokrotnym rektorem Uniwersytetu, historykiem, lekarzem i astrologiem. Celem Miechowity było podniesienie poziomu astrologii i to, żeby profesorowie tej dyscypliny żyli godnie. Według założeń Macieja z Miechowa profesor astrologii miał przez trzy lata wyklądać pisma Ptolemeusza, Joannesa Hispalensis z Sewilli, Araba Alcabitusia z Toledo oraz Muhammeda Gebera Ebn Aphla. Wyraźnie więc widać wpływy nauki hiszpańskiej w polskim ośrodku. Cztery rok był przeznaczony na studiowanie *Almagestu* Ptolemeusza. Wykładowca musiał co roku układać kalendarze oraz przepowiednie na najbliższy czas. Mikołaj Kopernik studiując w Krakowie, zetknął się zapewne z tą katedrą. Na pewno studiował Ptolemeusza, choć interesowały go przede wszystkim kwestie astronomiczne, a nie sama astrologia.

Eksperymenty alchemiczne a pożar w Krakowie

Pierwsze doniesienia o eksperymentach alchemicznych na terenie Polski pochodzą już z XIII wieku. Na Akademii Krakowskiej koncepcje alchemiczne były przedstawiane w ograniczonym zakresie i nie jako wiedza o kamieniu filozoficznym, ale informacje z zakresu sporządzania mikstur i lekarstw. Większość alchemików na terenie polskim była stanu duchownego. Idee alchemiczne zawierał np. traktat przyrodniczo-lekarski z 1489 roku Adama z Bochynia (zm. 1514) czy łaciński tekst Marcina Bera (Berkowicza) z 1535 roku. W XVI wieku ukazały się w Krakowie dwa dzieła słynnego alchemika Paracelsusa *Preparationibus* i *Archidoxae*. Paracelsus odwiedził zresztą osobiście Polskę około 1520 roku. W kontekście dorobku alchemicznego warto wspomnieć także o Joachimie Retyku (zm. 1574) i Andrzeju Dedytzu (zm. 1589), którzy zaangażowani byli w działalność koła literacko-naukowego, którego przedmiotem badań były przede wszystkim nauki przyrodnicze. Zwłaszcza Retyk był popularizatorem koncepcji Paracelsusa. Informacje o studiach alchemicznych, sposobie robienia naparów z ziół, metodach topienia metali można było znaleźć w popularnych kalendarzach tuż obok horoskopów i prognoz pogody, co świadczy o popularności alchemii.

Zwolennikami alchemii byli także Zygmunt August i Zygmunt III Waza i to mimo bulli papieża Jana XXII, która potępiała ten rodzaj nauki tajemnej. W Polsce tylko raz postawiono w stan oskarżenia człowieka, który zajmował się alchemią. Był to Kasper, duchowny z Poznania, któremu zarzucono eksperymentowanie z płynnym złotem. Proces kościelny, nie świecki, trwał aż 15 lat, a oskarżonemu zabroniono jedynie dotychczasowych praktyk, ale uniknął on więzienia czy innych niedogodności.

W efekcie eksperymentów chemicznych dominikanów w 1462 roku doszło do pożaru w Krakowie. O tym zdarzeniu wspomina Jan Długosz w kronice. Spaliły się wówczas kościół i klasztor dominikanów, klasztor franciszkanów, pałac biskupi oraz cztery sąsiadujące ulice. To spowodowało, że ludność miasta przestała być pozytywnie nastawiona do alchemików. Przeciwnie tej nauce tajemnej występowali Stanisław z Gór Poklański (zm. 1591) oraz ks. Fabian Birkowski (zm. 1636). Obaj zakładali, że na drodze chemicznej nie można uzyskać metali, które naturalnie występują w powłokach ziemskich. Alchemicy ich zdaniem nie tworzą nic nowego, a jedynie niszczą istniejące minerały. Są szarlatanami i oszustami.

Nauki bardziej tajemne, czyli sztuki mantyczne

Nie jeden alchemik czy astrolog próbował też sztuk mantycznych, czyli wróżebnych. Jedni wróżyli za pomocą zwierciadeł (katoptrancja), z kryształów (kryształomancja), a jeszcze inni z dłoni (chiromancja).

Sztuka przepowiadania przyszłości z powierzchni odbijających wizerunki ma tradycję sięgającą starożytności, a dowody jej stosowania można odnaleźć nawet w mitach. Hefajstos był uważany za wynalazcę zwierciadła, a Perseusz obronił się za jego pomocą przed śmiertelnością spojrzeniem gorgony Meduzy. Już starożytni sądzili, że zwierciadło nie tylko oddaje wizerunek, ale też „widzi”, przez co „pochłania”, „zachowuje” informacje. Odbicie oczarowało np. Narcyza. Według jednego z bardziej znanych ezoteryków, Paracelsusa, zjawy, które możemy zobaczyć w zwierciadle, są powiązane z gwiazdami i jak najbardziej rzeczywiste. Do polski sztuka czytania przyszłości ze zwierciadeł i kryształów przybyła z Niemiec, a najdawniejszym podręcznikiem kryształomancji jest *Modlitewnik* Władysława Warneńczyka pochodzący z XV wieku. Znajdo-

Rys. Sławomir Makal



wało się tam szereg modlitw przerobionych na zaklęcia krystalomantyczne. Opisano tam też przebieg praktyk z użyciem kryształów. *Modlitewnik* uchował się mimo działań Inkwizycji, ponieważ należał do króla.

Sztuki mantyczne były zajęciem elitarnym, raczej dla bogatych i wykształconych. Katoptromancja czy krystalomancja rzadziej były spotykane wśród ludu (co innego chiromancja, o czym później). Zwierciadła były wykorzystywane do poszukiwania skarbów, rud metali, ale też do celów nekromantycznych, czyli wywoływania duchów. Stosowano je w sprawach miłosnych i małżeńskich. Według niektórych źródeł Faust, studiując na Akademii Krakowskiej, nauczył się korzystać ze zwierciadeł po to, by wywoływać duchy. W aktach uczelni są opisane praktyki katoptromantyczne, ale były one potępiane i karane. Jan Podwórzecki pisał o tych, „co patrzą w kryształ, w zwierciadło albo szkło jakie – bo to są gusła szatańskie, bo także nie zawisły na żadnej nauce uczciwej” (*Wróżki* 1589, s. 16). Były to więc od początku praktyki kontrowersyjne, które miały swoich przeciwników. Zwolennicy pozostawali raczej w ukryciu.

Chiromancja i fizjonomika (czyli umiejętność poznawania charakteru z wyrazu twarzy i postawy ciała) były także zabronione na uczelni krakowskiej. Zachowały się doniesienia o sądach rektorskich nad akademikami, którzy się tą sztuką trudnili. Do potępienia tych praktyk doszło również dlatego, że zajmowali się nimi różni „ludzie lekcy i Cyganie sprośni” (*Acta rectoralia Almae Universitatis studii Cracoviensis 1893-1897*, t. 1, s. 612). Nie było to więc zajęcie elitarne, a ludowe, ponieważ wulgarnie. Jan Głogowczyk w 1507 roku opublikował rozprawę o chiromancji. Cieszyła się ona dużą poczytnością. Pierwszy ludowy podręcznik o sztuce czytania z linii papilarnych ukazał się na początku XVII wieku. Autorem był J. Kalkowski z Gwoździca, a praca nosiła tytuł *Chiromancja abo praktykowanie z rąk człowieczych z starych filozofów i nowych innych autorów pilnie i porządnie zebrane*.

Sztuki najbardziej tajemne – przywoływanie duchów i demonów

W 1637 roku ukazało się anonimowe dzieło *Thesaurus magicus domesticus*, które dotyczyło praktyk nekromantycznych. Autor pisał z własnego doświadczenia. Przywoływanie duchów według niego wymagało silnej wiary chrześcijańskiej oraz szeregu atrybutów, np. laski z drzewa hebanowego z odpowiednimi napisami magicznymi, dużej ilości kadzideł (najlepiej z aloesu, mirry i bluszczu), specjalnych glinianych naczyń, kręgu z wypisanymi imionami przyzywanych duchów. Seans najlepiej rozpocząć siedem dni po pełni księżyca, w małej komórcze z oknem na wschód lub w plenerze, nad strumieniem. Ducha przyzywa się koniecznie po imieniu i wypowiada się różne specjalne formuły. Przybycie go najczęściej poprzedzają różne odgłosy, jak wiatr czy skrzypienie drzwi. Duchy najczęściej ukazują się w postaci męskiej, jako starcy (choć były też wyjątki, o czym później).

Kilku autorów, jak Łukasz Górnicki czy Stanisław Sarnicki, podawało, że szereg krakowskich scholarów zajmował się praktykami magicznymi. Inni wspominają wprost o funkcjonowaniu szkoły magii w tym mieście w okresie odrodzenia. O nekromancję tradycyjnie podejrzewano też Żydów, co mogło wynikać z tego, że ich obrzędy religijne były dla outsiderów niezrozumiałe. W kronikach uczelnianych z grudnia 1579 roku znajdujemy opis skandalu z powodu wykrycia grupy studentów zajmujących się „sztukami diabelskimi i nekromancją”. Praktykami magicznymi zajmowali się też niektórzy duchowni, np. Jan Dziaduski (zm. 1559), biskup przemyski czy pleban Jan z Nowogrodka, o którym pisano w kronikach kurii biskupiej

w Płocku. Działalność tych „egzorcystów” wyśmiewał wspomniany wcześniej Stanisław z Gór Poklatecki. Jego zdaniem w trakcie seansów nekromanci mają zwidy lub halucynacje, ewentualnie zwyczajnie oszukują swoich klientów w kwestii obcowania z duchem.

Czarnoksiężnicy przygotowywali napoje miłosne, przepowiadali przyszłość, odczytywali uroki, zaklinali zbroje rycerskie i wykrywali złodziei. Spełniali też niebezpieczne zadania, jak sprowadzanie burz i gradobii, niszczyli uprawy, sprowadzali choroby na ludzi i bydło, powodowali chaos, zamęt i spory. Szczególnie skuteczne były w tym ponoć kobiety. Ówczesni sądzili, że szczególnie przydatne do tych praktyk są różne artefakty kościelne: hostie, monstrancje, krzyżma itp. Duchowni uprzedzali, żeby nigdy nikomu nic należącego do kościoła nie dawać, nawet jeśli ta osoba deklaruje najlepsze intencje. W pierwszej połowie XVI wieku podejrzenia o czary miały być rozpatrywane przez sądy kościelne. Zdarzały się jednak przypadki przeprowadzenia procesów świeckich. Roman Bugaj w książce *Nauki tajemne w dawnej Polsce* (2022) wspomina o przypadku kobiety, która została skazana na karę śmierci za pomoc w ujęciu złodzieja. Spalono ją na stosie w 1544 roku.

Zwolennikami praktyk magicznych byli niektórzy wielmoże, a nawet królowie. Jednym z nich był Olbracht Łaski (1536-1604), który wybrał się aż do Anglii, żeby skorzystać z pomocy najbardziej znanego ówczesnego nekromanty Johna Dee (zm. 1608). Łaski wierzył w alchemię oraz seanse spirytystyczne. W swoim zamku w Keżmarku (obecnie Słowacja) zatrudniał na stałe alchemika Adama Schrötera. Chemik ten przetłumaczył i wydał drukiem dwa traktaty Paracelsusa, co dodatkowo świadczyło o jego kompetencjach. Konsekwentnie poszukiwał kamienia filozoficznego dla swojego mocodawcy. W 1583 roku Olbracht Łaski udał się do Wielkiej Brytanii, gdzie miał audiencję u królowej Elżbiety, potem udał się do Johna Dee i uczestniczył w jego spotkaniach z duchami. Anglik korzystał z usług medium, pewnego aptekarza. Posługiwał się też szeregiem kryształów, poprzez które kontaktował się z odmiennymi bytami. Najczęściej odwiedzała go w wizjach dziewczynka imieniem Madini. Seanse John Dee dokumentował w księgach zwanych *Libri mysteriorum*. Łaski na jednym z seansów dowiedział się, że ówczesny król Stefan Batory zginie w wojnie, a szansę na koronę będzie miał nie kto inny jak Olbracht Łaski. Sprowadzony przez Johna Dee duch-anioł powiedział także, że większość kłopotów Łaskiego wkrótce minie.

Jeszcze tego samego roku Łaski zabrał Johna Dee i Edwarda Kelleya (aptekarsza-medium) w podróż do Polski. Na wiosnę 1584 roku trafili do Krakowa. Tam zaczęli zabiegać o audiencję u króla czeskiego Rudolfa II i polskiego Stefana Batorego. Rudolf II odniósł się do Anglika z nieufnością, natomiast Batory nadstawił życzliwe ucho. W 1585 rok polski król był już schorowany, a przez to bardziej podatny na wpływy. Podczas spotkania z królem John Dee korzystał z kryształu. Aptekarzowi-medium ukazał się człowiek odziany w białą szatę o gęstych białych włosach. Podczas wizji zmienił się w płonącą kulę. Mówił też o zagrożeniu z Zachodu. Stefan Batory wysłuchał przepowiedni, ale musiał uznać ją za manipulatorską, gdyż więcej wizji od Johna Dee nie zamawiał. Anglik wrócił do swojej ojczyzny, a Olbracht Łaski nie otrzymał nigdy obiecanej przez duchy korony. Zmarł w zapomnieniu w 1604 roku.

Odrodzenie to okres rozwoju nauk, ale też pseudonaukowych bzdur, którym ulegali nawet najbardziej wpływowi i wykształceni. Polska w tym zakresie nie różniła się od innych krajów Europy. Jest też w tym pewna dziejowa ciągłość. Nauki tajemne występowały w starożytności i średniowieczu, także w epokach kolejnych. Współcześnie także zdarza się nam ulegać przesadom. Nie są od nich wolni ludzie uczeni.

Czym naprawdę są objawy

Objawy choroby są nie tylko jej sygnałami. To coś dużo ważniejszego. Kiedy zwierzę, na przykład kot albo pies, odczuwa ból, to oczekuje pomocy w położeniu się w spokojnym kącie i czekaniu, aż ból minie. Innej rady nie oczekuje, bo jego organizm nie wie, że jest możliwa. A choroba może minąć dlatego, że organizmy żywe są wyposażone w naturalne mechanizmy obronne i regeneracyjne. Człowiek uznał, że jest mądrzejszy niż życie i kiedy go coś boli, to bierze lek przeciwbólowy. Przeważnie nie rozumie, że ból jest jednym z niezliczonych mechanizmów obronnych i po pierwsze ma za zadanie informować, że w ciele dzieje się źle, po drugie w której jego części, po trzecie w jakim natężeniu, po czwarte czy następuje poprawa, czy pogorszenie, a może nic się nie zmienia, po piąte, że warto zasięgnąć pomocy kogoś, kto się na tym zna.

Nie inaczej jest z kichaniem i kaszlem. Niecierpliwi i nieznający się na rzeczy, a często po prostu niemądrzy, idą do babki lub apteki i biorą „coś na kichanie lub kaszel”, żeby to zlikwidować, bo budzi żonę i dzieci, „wrywa płuca”, a przede wszystkim niepokoi kichającego/kaszlącego. No i efekt jest taki, że po wypiciu syropu albo zjedzeniu tabletki objaw ustępuje, ale choroba już bez przeszkód sobie trwa i się rozwija. To, co się dzieje w płucach, wyrwa się, ale spod kontroli. Zabity syropem kaszel przestaje usuwać ciało obce, bakterie, nadmiar wydzielin z oskrzeli, tchawicy, krtani i jeśli trzeba, także z gardła, a dźwiękiem i wstrząsaniem ciała nie przypomina, że wypadłoby zastosować coś, co pomogłoby organizmowi w likwidacji płucnego problemu.

Bardzo podobnie funkcjonuje biegunka, pogardliwie zwana sraczką, czyli rozluźnienie wodą wypełnienia jelita i wielokrotne zmuszenie go do wykonywania szybkich ruchów robaczkowych w celu usunięcia z organizmu trutecznej albo jakichś nadmiarów z przewodu pokarmowego. I robi to aż do skutku, chyba że człowiek zażyje coś, co ten proces ratunkowy zahamuje i uniemożliwi eliminację bakterii, grzybów, pasożytów, trutecznych i czego tam jeszcze, a co działa przeciw organizmowi.

Biegunka może być, o zgrozo, wspomagana przez odruchy wymiotne, których ośrodkiem nerwowym jest punkt w rdzeniu przedłużonym (tuż obok nerwowego ośrodka kaszlu), ale człowiek oczywiście może odruchowo przyjąć środek przeciwwymiotny i zawrócić z Rygi do domu, nie pozwalając żołądkowi na szybkie pozbywanie się tego, czego ta część przewodu pokarmowego sobie nie życzy.

Jakby tego było mało, do tych działań może dołączyć gorączka, której zadaniem jest stworzenie obcym organizmom trudnych warunków bytowania, co polega na tym, że większość bakterii, pierwotniaków i innych wrogich gatunków nie znosi

temperatury wyższej niż 38 stopni Celsjusza, a jeśli nie o to chodzi, to działa jako tak zwany stan podgorączkowy, który jest skutkiem intensywnych prac wewnątrzorganizmowych nad likwidacją zaburzeń, utrudnień, uszkodzeń i zatruc, a przy okazji sygnalizuje mózgowi, żeby kazał swojej osobie zaniechać działalności ogólnej, która utrudnia walkę z chorobą lub zagrożeniem. Gorączka jest więc energetyczną (cieplną) sumą wysiłków obronnych i zarazem bronią.

Ba, chcąc nie chcąc, organizm – wbrew swemu wyposażeniu w mózg właścicielowi – zupełnie nieświadomie, jak ów chory kot lub pies, zaczyna się pokładać, nie wiedząc czemu sięga nie tylko po tabletki przeciwbólowe, przeciwkaszlowe, przeciwwymiotne i przeciwbiegunkowe, ale na szczęście także po ciecze, aby nerki i przewód pokarmowy miały lepsze warunki usuwania mikrobów i toksyn. To jedyny odruch, który można w tej sytuacji pochwalić, bo nie jest paradoksalny.

Mechanizmów takich lepiej czy gorzej przez człowieka rozpoznawalnych są setki, a może i tysiące (wielu medycyna jeszcze nie zdążyła rozpatrzyć, choć o ich istnieniu już wie), dzięki czemu mądrzejsi ludzie idą po pomoc do ludzi jeszcze lepiej myślących i wiedzących, zwanych lekarzami, po czym ci kwalifikują dolegliwości według sobie znanych reguł i wydają zalecenia, co z tym fantem robić, żeby niczego nie zepsuć. Mniej mądrzy ludzie nie korzystają z tych zaleceń, ponieważ mają do dyspozycji Internet, rzekomo dużo mądrzejszy od jakiegoś lekarza, ponieważ w Internecie działają nie dziesiątki, ale setki i miliony ludzi, którzy podobnie jak nasz cierpiący na kaszel, gorączkę, biegunkę czy wymioty (i tak dalej) mają milionowe doświadczenie, a jakiemuś jednemu doktorowi nie mają zamiaru wierzyć i sprawdzać wszystkich jego porad; jeśli któraś nie zgadza się z wiedzą milionów, to z niej rezygnuje i dopiero po jakimś czasie, nie mogąc się uporać z problemem, idzie do innego lekarza, aby wreszcie uruchomić cały proces samopomocy od nowa. Oby nie za późno!

A co robi doktor? Ocenia sytuację i wypracowuje podejście zachowujące mądrość organizmu i zarazem chroniące przed przesadą gorączkową, kaszlową, wszelkiego rodzaju obroną ciała. Zgodnie z zasadą Hipokratesa (V-IV w. przed Chr.) *primum non nocere* (dosłownie: po pierwsze nie przeszkadzać – organizmowi w samonaprawie).

To tak, jak powinno być z granicami państwa polskiego, których objawowo broni służba graniczna i wojsko, ale czemu przeciwdziałają ludzie nierozumiejący, czym jest choroba i jej leczenie.

e-mail: lpj@lpj.pl

Najważniejsze wyzwania



Redaktor naukowy recenzowanej monografii, prof. Jerzy Woźnicki, ma magnetyczną siłę przyciągającą autorów reprezentujących uczelnie publiczne i niepubliczne, badaczy szkolnictwa wyższego, osób pełniących obecnie lub w przeszłości różne funkcje w instytucjach tego szkolnictwa, co wykazał w wielu wcześniejszych publikacjach pod własną redakcją. W przypadku recenzowanej monografii tzw. wartość udźwigu magnesu była wyjątkowo duża. Dodam, że wartość tej siły w przypadku magnesu zależy od rodzaju materiału, z którego

jest skonstruowany. W wypadku monografii siła została wykorzystana do zaproszenia wielu wybitnych przedstawicieli sektora szkolnictwa wyższego.

Monografia stanowi ciekawy obraz szkolnictwa wyższego, na który składa się szeroka kolorystyka wypowiedzi autorów poszczególnych rozdziałów. Wartościowe jest to, że autorzy przedstawiają perspektywę rozwoju szkolnictwa wyższego do 2030 r., co w czasach zmienności, niepewności, złożoności i niejednoznaczności otoczenia uczelni, określanego akronimem VUCA, jest nie lada wyzwaniem.

We wprowadzeniu redaktor naukowy monografii omawia cele projektu pn. „Progniza rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2030 r.”. W poszczególnych częściach autorzy przedstawiają najważniejsze wyzwania stojące przed szkolnictwem wyższym. Kolejni autorzy odpowiadają na pytania: Jaka jest (powinna być) wizja szkolnictwa wyższego i w jaki sposób kształtować strategię na poziomie systemowym oraz instytucjonalnym? Jak w praktyce wygląda dywersyfikacja szkolnictwa wyższego i w jakim kierunku powinna ona zmierzać? Jakie są silne i słabe strony misji uczelni, z akcentem na identyfikację źródeł tych ostatnich?

Wieloletnie doświadczenie autorów rozdziałów, wynikające z pracy w publicznych i niepublicznych instytucjach szkolnictwa wyższego, sprawia, że rozważania nad teraźniejszością oraz próba projekcji przyszłości w poszczególnych obszarach jest wartościowa, gdyż opiera się również na przeprowadzonych badaniach własnych, a także relatywnie szerokim wykorzystaniu światowego piśmiennictwa.

Za szczególne wartościowe w monografii uznaję rozważania nad przyszłością szkolnictwa wyższego w świetle trendów międzynarodowych, pozycjonowanie uniwersytetów polskich jako uniwersytetów europejskich, a co z tym jest ściśle związane – pokazanie działań sprzyjających umiędzynarodowieniu szkolnictwa wyższego we wszystkich rodzajach aktywności. Nie mniej ważne są odniesienia autorów jednego z rozdziałów do wartości i norm akademickich, a także rzetelności badawczej w szkolnictwie wyższym. Równie istotne są rozważania autorów związanych z niepublicznym szkolnictwem wyższym, prognozujących zmiany tego sektora, których wyznacznikami są cele zrównoważonego rozwoju oraz cyfrowa transformacja.

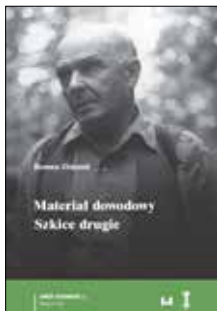
Zwieńczeniem monografii są podsumowujące refleksje redaktora monografii, który kreśli szereg ograniczeń i wątpliwości towarzyszących autorom poszczególnych rozdziałów, co nie dziwi w przypadku prognozy rozwoju każdej organizacji, a uniwersytetu w szczególności, który – jak pisał przed wieloma laty prof. Woźnicki – jest konserwatywną innowacją. Nasuwa się pytanie, w jakich proporcjach są konserwatyzm i innowacyjność.

Redaktor naukowy i autorzy poszczególnych rozdziałów monografii podjęli się niełatwego zadania. Zachęcam do lektury monografii łączącej trzy najważniejsze wyzwania, przed którymi stoi polskie szkolnictwo wyższe. W moim przekonaniu są nimi: dywersyfikacja misji instytucji akademickich, doskonalenie zarządzania nimi oraz internacjonalizacja. Pamiętali o nich autorzy monografii, wpisując je w cele zrównoważonego rozwoju szkolnictwa wyższego i społeczną odpowiedzialność uczelni.

Krzysztof Leja

Trendy, model i perspektywy rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce: 2021–2025 z projekcją do roku 2030, red. nauk. Jerzy WOŹNICKI, Wydawnictwo Politechniki Śląskiej, Katowice 2022.

Dowód winy i dowód na istnienie



Po publikacji kolejnego raportu Biblioteki Narodowej na temat poziomu czytelnictwa w Polsce wielu komentatorów – co wydaje się dobrym objawem – zastanawia się nie tylko, dlaczego nie czytają/czytamy, ale także po co powinni(śmy) czytać. Książka jako nośnik (drukowana i elektroniczna) może nie uczyć w żadnym sensie rozumienia świata, a dostarczać jedynie gotowych odpowiedzi, zgodnych z osądami i wyobrażeniami już zadomowionymi w naszej głowie. Moim zdaniem obojętne jest wówczas, czy środkiem przekazu w takim zamkniętym

obiegu prefabrykowanych myśli będzie książka, podcast, program telewizyjny czy artykuł w internecie.

Roman Zimand łączy w swoich tekstach pewność siebie ze świadomością, że nikt nie potraktuje jego stwierdzeń jako – cytując tytuł zbioru esejów Leszka Kołakowskiego – (jedyne) słusznych poglądów na wszystko, choćby z uwagi na przeszłość autora, w czasach stalinizmu ideologicznego postrachu warszawskiej humanistyki. Choć *Materiał dowodowy* to tak naprawdę tytuł tylko ostatniej, najbardziej osobistej części tego zbioru, autora cechuje przede wszystkim rzadko już dziś spotykana cecha: autentyczność, a nie jedynie deklarowana, gotowość przyjęcia konsekwencji swoich wypowiedzi. Nie stroi się nawet w szaty męczennika („no dalej, oto jestem, bijcie mnie”), ale szczerze rozlicza się z przeszłością i formułuje sądy jako on sam i tylko on. Jeśli ktoś chce dyskredytować te oceny na podstawie przeszłości autora, ma do tego pełne prawo. Jednak celność i ważność jego wyводу nakazuje co najmniej ostrożność przy potępieniu go w czambuł jako byłego komunisty.

Niejednorodny zbiór, wydany po raz pierwszy w 1992 roku, kilka miesięcy po śmierci autora, zawiera zarówno eseje, jak i luźne notatki albo odrzucone w czasach PRL przez cenzurę, albo spisane dla siebie i dopiero później przygotowane do publikacji, wzbogacone o kilka tekstów napisanych dla prasy emigracyjnej lub drugoobiegowej. Trzy obszary tematyczne mogą być szczególnie interesujące dla współczesnego czytelnika: pojęcie narodu, relacje polsko-żydowskie, przyczyny porażki marksizmu i osobiste notatki po emigracji jedynej córki do Francji w 1969 roku.

Refleksje Zimanda o narodzie są szczególnie aktualne w kontekście rosyjskiej napaści na Ukrainę, gdy okazuje się, że w XXI wieku jeden naród może negować odrębność drugiego, a nawet jeśli nie zaprzecza odrębności, to prawu do samostanowienia już tak. Jednocześnie jego komentarze do sposobu, w jaki w Polsce międzywojennej i w PRL odnoszono się do spłotu zagadnień określanego przez autora mianem „dylematu obcego”, odnoszą się także do stricte współczesnego, różnorodnego stosunku Polaków do znaczącej liczebnie mniejszości ukraińskiej. Zimanda nie ponosi polemiczny zapal, z jego ujęciem problemu można się nie zgodzić, ale z pewnością da ono do myślenia osobom z całego spektrum poglądów. Omawiany zbiór to właśnie książka, którą warto przeczytać jako książkę, nie zastąpi jej żaden serial, żaden podcast.

W partiach zbioru poświęconych antysemityzmowi i polonofobii warto zwrócić uwagę, jak można krytykować obie strony bez śladu symetrii, a jednocześnie bez obawy o oskarżenia o „kalanie własnego gniazda” – kłamstwo czy przemilczenie w słusznej sprawie pozostanie kłamstwem, w dodatku o wyjątkowo groźnych i długotrwałych skutkach. Natomiast *Materiał dowodowy*, zwłaszcza w partiach poświęconych rozstaniu z córką i mniej więcej jednoczesnemu zakończeniu związku ze znacznie młodszą partnerką, przywodzi na myśl *Kręgi obcości* (2010), czyli jedną ze wspomnianych książek Michała Głowińskiego. Szczerść bez wylewności i bez śladu ekshibicjonizmu, przejmująca, a jednocześnie dyskretna, niewymuszająca na czytelniku żadnej konkretnej reakcji – tego do dziś można się nauczyć przede wszystkim z książek.

Marek Misiak

Roman ZIMAND, *Materiał dowodowy. Szkice drugie*, oprac. Dorota Siwicka, Stowarzyszenie Instytut Literacki Kultura w Paryżu, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2022.

Awangarda dla każdego



Nie sposób definiować pojęcia awangardowości (o ile jednoznaczna, pojemna formuła w ogóle istnieje) w tej krótkiej recenzji, ani też nie ma sensu przypominać podstawowych informacji związanych z Awangardą Krakowską lub tzw. Drugą Awangardą, zatem przejdę do meritum.

Już sama kompozycja książki i podzielenie jej na trzynaście rozdziałów z krótkimi podrozdziałami jest moim zdaniem wielką jej zaletą. Niektórzy owo rozdrobnienie mogliby uznać za wadę, ale myślę, że *Style zachowań...* nie roszcza sobie

bynajmniej pretensji monograficznych, raczej stanowią podręczne (choć bogate objętościowo) kompendium wiedzy o polskiej awangardzie. Mnogość podejmowanych tematów, ilość przytaczanych faktów bynajmniej nie przytłaczają czytelnika, ale raczej stanowią zachętę do dalszej, bardziej skrupulatnej eksploracji tematu. Autorki nie pomijają oczywiście nazwisk kluczowych, zatem pojawia się papież awangardzistów Tadeusz Peiper, a dalej Witkacy, Czechowicz, Wat, Przyboś, Jasieński i cała reszta awangardowego Parnasu, o którym już tak wiele napisano. Jakby w opozycji do wymienionych tuzów wybrzmiewa rozdział o krakowskich grupach literackich na Uniwersytecie Jagiellońskim 1920–1926 lub podrozdział dotyczący centrów i obrzeży polskiego futuryzmu. Autorki zadały sobie trud, zestawiając w formie tabeli najważniejsze wieczory futurystyczne 1919–1921, nie zapomniały także o roli kobiet w rozdziałach *Akuszarki awangardy. Kobiety a początki nowej sztuki* oraz *Kompozytorki życia. Katarzyna Kobro i Debora Vogel*.

Minęło sto lat od czasu, gdy na polskim podwórku awangardowi twórcy postanowili zaznaczyć swoją obecność, ale jak widać ich działalność nadal budzi zainteresowanie, kontrowersji chyba już raczej nie, ale może być inspiracją dla kolejnych pokoleń zarówno badaczy, jak i literatów (vide: Zenon Fajfer i jego liberatura). Mimo niewątpliwej atrakcyjności(?) zarówno pod względem formy, jak i treści, uznałbym jednak awangardowy dorobek bardziej za rodzaj literackiego happeningu epoki niż faktyczną „wartość dodaną” w historii literatury. Świadomość ta towarzyszy zresztą również badaczkom, które oczywiście nie deprecjonują futurystycznych aktywności w tych kilku międzywojennych latach, jednak dają liczne przykłady, że niejednokrotnie awangardowa działalność literacka polegała bardziej na szokowaniu i błazenadzie niż faktycznej pracy nad warsztatem. Awangardiści nie stworzyli w zasadzie żadnego spójnego programu, owa różnorodność form wyrazu (lub rozdrobnienie) była jednocześnie ich siłą, ale przede wszystkim słabością, skazującą nieraz na efemeryczność. Zgodzić się chyba jednak należy, że awangardowe juvenilia artystów pokroju Wata czy Przybosa nie należą do szczytowych osiągnięć w ich dorobku.

Boruszkowska i Kmiecik zwracają uwagę na polityczne zaangażowanie twórców nowej sztuki na przykładzie *Pałę Paryż* Brunona Jasieńskiego i jego tragicznej biografii. Rzecz to symptomatyczna, że pisarze zaangażowani ideologicznie, którzy chcą burzyć „przeszłości ołtarze” i ustanawiać nowe porządki, za wszelką cenę zrywać z tradycją, często ponoszą konsekwencje gorliwego neofityzmu, gdyż ich dzieła, nierzadko kiepskie, ulegają zapomnieniu. Można powiedzieć, że nieraz dzieje się to z korzyścią dla samych twórców, mam na myśli chociażby socrealistyczne epizody.

Jak już wspominałem, bogactwo tematyczne nie nudzi czytelnika ze względu na różnorodność rozdziałów oraz ich skrótowość, która nie stanowi w tym przypadku wady. Naukowa lakoniczność przekazu została przeciwstawiona rozwlekłym analizom, co wcale nie umniejsza wartości publikacji, trafności spostrzeżeń, łączenia wątków i faktów. Owa informacyjna wielość została umiejętnie połączona w interesującą całość i chociaż bynajmniej nie należę do sympatyków awangardowych uduziwnień formy i słowa, to książkę przeczytałem z czystą przyjemnością.

Jacek Hnidiuk

Iwona BORUSZKOWSKA, Michalina KMIECIK, *Style zachowań awangardowych. Przypadek polski*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022.

Dziwny komunista



Autor odbył olbrzymią kwerendę archiwalną, by przybliżyć postać Władysława Bieńkowskiego. Zadanie do łatwych nie należało, gdyż musiał wyłonić osobę z cienia głównego nurtu dziejów PRL, a snop światła reflektorów skierowany był tuż obok. Zrobił to znakomicie. *Bieńkowski* Bartłomieja Kapicy to ciekawa rzecz.

Na osobowość Władysława Bieńkowskiego duży wpływ wywarł ojciec, nocne z nim rozmowy o Łodzi, kwestii robotniczej, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy i o rewolucji 1905 roku.

Jako kierunek studiów wybrał Władysław warszawską polonistykę. Działal w Kole Polonistów. Spotykali się tu przedstawiciele pokolenia Kwadrygi. Byli wyczuleni na biedę i krzywdę ludzką. Władysław sympatyzuje w pierwz z lewym skrzydłem PPS, ostatecznie wiążąc się z działającą pod auspicjami KPP Organizacją Młodzieży Socjalistycznej „Życie”. W czasie wojny zaprzyjaźnia się z Władysławem Gomułką i odtąd pozostanie za jego plecami na dobre (będąc dyrektorem bibliotek, animatorem komunistycznej kultury czy ministrem edukacji), jak i na złe, kiedy przydzie odsiadka za prawicowo–nacjonalistyczne odchylenie czy zejście w niebyt partyjny po publikacjach na Zachodzie a potem zastąpieniu Gomułki przez Gierka. Mimo reprezentowania wysokiego, drugiego szeregu Komitetu Centralnego, zyskuje miano liberalnego komunisty, krytyka ustroju, w końcu człowieka beznadziejnie próbującego uzdrowić komunizm w Polsce. Świadczyć o tym będą publikacje, zwłaszcza te po 1968 roku. Wobec zakazu wydawania w partyjnym wydawnictwie Książka i Wiedza, wydaje je w Paryżu u Giedroycia. Najśłynniejszym dziełkiem pozostają *Motory i hamulce socjalizmu* (Paryż 1969). Bieńkowski ma też swój „partyjny” wkład w założenie uniwersytetu w Łodzi, na którym już pod koniec lat 40. XX w. utworzono pierwszą w Polsce katedrę marksizmu.

Jednym z ciekawszych momentów życia Bieńkowskiego jest misja, jaką otrzymał wraz z Zenonem Kliszką od Gomułki w 1956 roku. Mieli pojechać do Komańczy i wysondować, na jakich warunkach kard. Wyszyński mógłby powrócić z odosobnienia. Do Komańczy dotarli 26 października, pięć dni po powrocie Gomułki do władzy, i usłyszeli: „Jestem tego zdania od trzech lat, że miejsce prymasa Polski jest w Warszawie”.

Odsunięty na boczny tor, Bieńkowski próbował włączyć się w działania Komitetu Obrony Robotników, bronił uwięzionego Jana Józefa Lipskiego, protestował przeciwko oskarżaniu Polaków o współudział w Holokaucie po emisji *Shoah* Lanzmanna. W 1991 roku, kiedy po śmierci Władysława Bieńkowskiego, który za życia utrzymywał, że jest ateistą, zaistniał kłopot z jego katolickim pochówkiem, rodzina musiała proboszczowi przywołać fakt, że będzie grzebał tego, który na fali Polskiego Października przywrócił religię do szkół.

Osobowość Bieńkowskiego plastycznie odmalował Stefan Kisielewski w wydanej na Zachodzie powieści *Widziane z góry*. Kisiel napisał w latach 80. list – radę albo nawet ostrzeżenie – do Bieńkowskiego, w którym cele jego częstych polemik z betonem partyjnym uznawał za chybotliwe, jako dyskusje z „magicznymi zaklęciami”, jak Kisielewski nazywał język i całą semantykę partii komunistycznej. Wszystkie te „zaklęcia” zostały wprowadzone po to, aby dać sens pracy milionom ludzi „budującym” komunizm. Kolejne zmiany personalne na szczytach władzy były bez znaczenia, a ewentualna kontrrewolucja nie miała zaplecza. Porażające zacofanie technologiczne wynikało ze złych decyzji podjętych u progu instalacji nowej władzy i jej infantylnych wyobrażeń co do ekonomii. Bieńkowski usiłował jeszcze to wszystko tłumaczyć na sposób dialektyczny, nakłonić decydentów partyjnych do namysłu. Ale czy mógł się spotkać ze zrozumieniem? Od ideowych natrętów przecież się stroni.

Bogdan Bernat

Bartłomiej KAPICA, *Władysław Bieńkowski. Krytyk „realnego socjalizmu” (1906–1991)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2022, seria: PRL Biografie.

Etyczna „zdrada”



W Polsce monogamia jest jak dogmat. Zdrada, zwłaszcza małżeńska, wielu jawi się jako coś najgorszego, nieetycznego. Tymczasem, jak dowodzą antropolodzy, uchodząca w naszym kręgu kulturowym za powszechną monogamia jest swoistym fenomenem. Choć najliczniejsze społeczności świata są monogamiczne, to standardem międzykulturowym jest poligamia. Spośród 849 zbadanych kultur tylko 137 (16%) jest formalnie monogamicznych, 708 (83,5%) dopuszcza poliginię, czyli związek mężczyzny z wieloma kobietami, a cztery poliandrię, czyli związek kobiety z wieloma mężczyznami.

Jest to pierwsze w polskim piśmiennictwie naukowym kompleksowe opracowanie teoretyczne tego zjawiska. Niemonogamia konsensualna jest to wchodzenie w relacje intymne z osobami spoza stałego związku za zgodą obydwu partnerów czy partnerek tego związku. Jest to jednak zjawisko tak wielowymiarowe, skomplikowane, tak wiele różnych form przybierające i tak dynamicznie się zmieniające, że autorka podjęła się naprawdę ambitnego zadania, aby to uporządkować. W książce znajdziemy wiele definicji oraz danych statystycznych dotyczących monogamii i niemongamii, rekonstrukcje relacji konsensualnie niemongamicznych, motywy ich tworzenia, korzyści, jakie z nich płyną i wyzwania, jakie się z nimi wiąże, charakterystykę emocji czy uczuć, takich jak miłość, zazdrość oraz kompresja, w końcu cechy osób wchodzących w relacje niemongamiczne. Czy na przykład brak monogamii jest jakoś skorelowany z orientacją seksualną? Czy styl przywiązania wpływa na prawdopodobieństwo wchodzenia w takie relacje? Jaki związek z tym ma samoocena?

Na wszystkie te i wiele innych pytań odpowiada psycholożka, bazując na ogromnej liczbie badań prowadzonych od kilkudziesięciu już lat w kręgu kultury anglosaskiej. W Polsce problematyka ta interesuje bardzo nielicznych badaczy, stąd prawie brak danych polskich. Niemniej takie zjawiska jak swinging, poliamoria czy związki otwarte istnieją również w naszym kraju, dlatego dobrze, że przedstawiciele nauk społecznych i humanistycznych je dostrzegają i traktują poważnie, a nie jako egzotyczną ciekawostkę albo tabu.

Jak zresztą wynika z pracy Banaszkiewicz, rodzajów relacji konsensualnie niemongamicznych można wskazać o wiele więcej. Poliweriwność, poliintymność, anarchia relacyjna, monogamish, cuckolding – to tylko kilka z szerokiej gamy określeń, która zapewne wraz ze wzrostem zainteresowania tym zjawiskiem będzie się powiększać. Będzie się też zapewne poszerzać wiedza na temat charakteru każdego z nich, dlatego że, jak pisze autorka, „z jednej strony mogą to być relacje z bardzo dużym naciskiem na ekskluzywność emocjonalną, z drugiej strony mogą być to związki o pełnej dowolności w zakresie zaangażowania uczuciowego. Ilość dopuszczalnych partnerów może być ściśle ograniczona, jak i w pełni dobrowolna. Związki mogą mieć ściśle określoną hierarchię, ale mogą się również opierać na zupełnym jej braku”. Dla konserwatywnych uszu może to brzmieć jak jakieś „nieuporządkowanie”. Tymczasem ważnym aspektem tych relacji jest ich etyczna strona (szczerza komunikacja potrzeb itp.).

Walorem pracy jest wskazanie obszarów jeszcze niezbadanych. Na przykład bardzo mało wiadomo o sposobach przeżywania miłości w relacjach konsensualnie niemongamicznych. Niewiele wiadomo na temat cech osobowości, które mogłyby sprzyjać wchodzeniu w takie relacje. Brakuje badań podłużnych, porównujących dobrostan psychiczny dzieci partnerów, którzy na pewnym etapie życia postanowili wprowadzić do swojego związku dodatkowych partnerów.

Anna Jawor

Paulina BANASZKIEWICZ, **Charakterystyka konsensualnej niemongamii**, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2022.

Ikonografia, czyli obraz i słowo



W dawnym biskupim pałacu w Kielcach zakończono niedawno kolejny etap prac renowacyjnych. Zapewne nie byłoby tutaj wzmianki ani o remoncie, ani o kieleckim zabytku, gdyby tej pracy nie towarzyszyła interesująca publikacja opisująca efekty działalności konserwatorów. Z okazji zakończenia prac Muzeum Narodowe w Kielcach opublikowało bogato ilustrowaną książkę poświęconą temu zabytkowi.

Jak pisze we wstępie dyrektor muzeum, prof. Robert Kotowski, „na 21 modrzewiowych belkach i 1071 deskach przedstawionych zostało 40 alegorycznych scen, skrupulatnie omówionych na kartach tego wydawnictwa. Także stan zachowania stropu, dotychczasowe prace konserwatorskie, ich zakres i wszelkie przemalowania znalazły odzwierciedlenie w opracowaniu”.

Omówienie książki warto zacząć właśnie od tej drugiej części. Małgorzata Misztal opisuje technologię wykonania dekoracji stropu, jej historię oraz stan zachowania. Mimo kilkakrotnych odnowień oraz historycznych zmian dekoracja nie uległa znaczącym przeobrażeniom, jeżeli chodzi o ikonografię i kompozycję. Jak się okazuje, na przestrzeni wieków, ludzie odnawiający polichromię zachowali szacunek dla pracy twórców malowidła.

Analiza technologiczna pozwoliła konserwatorom odtworzyć pierwotny stan zabytku, jednocześnie poznano techniki, jakimi dokonywane były poszczególne prace konserwacyjne. Tę część publikacji kończy opis dokonanych ostatnio zmian oraz informacje, jakie działania będą podejmowane w przyszłości w celu jeszcze lepszego zabezpieczenia zabytku.

Opracowanie konserwatorskie poprzedza ciekawe studium poświęcone ikonografii polichromii. Autorka tekstu Joanna Kaczmarczyk pozwala czytelnikom zapoznać się z treściami malowideł oraz tekstów umieszczonych na kieleckim suficie. Bez tego opracowania samodzielne ich odczytanie byłoby dla zwiedzających bardzo trudne, ponieważ z wiekiem powoła pociemniała i trudno jest odcyfrować wiele elementów całości założenia.

Należy pamiętać, że w czasach, gdy malowidła powstawały, Izba Stołowa była – zgodnie z regułami budownictwa – najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniem dworu lub pałacu. Liczne wskazówki nakazywały, aby było ono bogato zdobione, ale jednocześnie sugerowano, aby malowidła niosły treści moralizatorskie oraz były manifestacją wiedzy o świecie. Dekoracje Izby Stołowej, a także apartamenty pałacowe realizowały te postulaty, zaś całość malowideł wykonanych w Pałacu Biskupim tworzy rozbudowany i interesujący program ikonografii.

Autorka omawia wszystkie elementy dekoracji, zwracając uwagę, że ich zadaniem było bardziej przekazywanie treści niż walorów malarskich, jak sama pisze: „(...) zgodnie z duchem epoki mamy tu do czynienia z obrazami, które zdecydowanie więcej mówią niż przedstawiają. Kłopot dla współczesnego człowieka, zatem i czytelnika książki, jest taki, że inskrypcje na kieleckim stropie wykonano po łacinie, autorka musiała zatem dokonać ich spolszczenia, aby w pełni wyjaśnić ich treść i znaczenie. Przy analizie treści konieczne było zatem sięgnięcie do rozmaitych wzorników ikonograficznych z epoki, ze słynną *Ikonologią* Cesare Ripy na czele.

Całość programu jest dosyć złożona, znajdują się na malowidłach motywy wanitatywne, ukazujące kruchość stworzenia, a przede wszystkim ludzkiej natury i znikomość naszych osiągnięć. Mamy przedstawienia kalendarza, miesięcy i pór roku oraz alegorii symbolizujących poszczególne części świata. Zdecydowana większość przedstawień nawiązuje do utartych schematów ikonograficznych, co pozwala na ich odczytanie.

Publikacja jest doskonałym przykładem prezentacji prac konserwatorskich oraz analizy treściowej a także stylistycznej odrestaurowanego zabytku.

Juliusz Gałkowski

Joanna KACZMARCZYK, Małgorzata MISZTAŁ, **Pro lege et pro grege. Dekoracja stropu belkowego Izby Stołowej Górnej w dawnym Pałacu Biskupów Krakowskich**, Muzeum Narodowe w Kielcach, Kielce 2021.

Fot. Stefan Cichan



Leszek Szaruga

Zagorsk

Ruski czy rosyjski?

Gdy przed laty zwiedzałem Jekaterinburg, znalazłem miejsce, gdzie stał niegdyś dom, w którym bolszewicy zamordowali rodzinę cara, a obecnie, już po rozpadzie Sowietów, w tym samym miejscu pobudowano Cerkiew na Krwi, była niedziela, dzień raczej pochmurny, choć od czasu do czasu przestrzeń wypełniały promienie słoneczne, zaś wokół cerkwi na straganach można było kupić sporo patriotycznych broszur, a na podium przechadzał się z mikrofonem w ręku mnich ogłaszający publiczności, że oto znalazła się w miejscu, w którym młody carewicz oddał swe życie w obronie istoty rosyjskiego państwa jaką stanowi samoderżawie, czyli jedynowładztwo, które obecnie chce się zastąpić jakimiś wynalazkami zgniętego Zachodu, zgłębia Rosjanom niepotrzebnymi i psującymi ich tożsamość.

Przypomniałem sobie ten obraz, gdy oglądałem niedawno telewizyjny przekaz z uroczystego aktu, w którym patriarcha Cerkwi moskiewskiej Cyryl wsparł wojnę przeciw Ukrainie, określając ją jako „obronę Świętej Rusi”. I już w tych słowach wyrażona została – choć nie wprost – istota wojny rosyjsko-ukraińskiej trwającej od 2014 roku, a której aktem przemowym było przekształcenie jej charakteru hybrydowego w otwartą inwazję regularnych wojsk rosyjskich przeciw Kijowowi. Wypowiedź Cyryla określa Rosję mianem Rusi i tym samym sankcjonuje – zgodnie zresztą z zakorzenioną tradycją – swoistą jedność Rosji, Ukrainy i Białorusi. Ten szwindel nazewniczy wydaje się niemal niemożliwy do rozwikłania, jest od dziesięcioleci utrwalony w piśmiennictwie rosyjskim, szczególnie w jego historiografii, ale także przecież w języku potocznym, w którym określenia „ruski” i „rosyjski” – podobnie zresztą jak w Polsce, w której wiele restauracji po inwazji Moskwy na Ukrainę przemianowało pierogi ruskie na „pierogi ukraińskie” – traktowane są jako synonimy.

To swoiste pomieszanie języków stanowi główny przedmiot rozprawy Joanny Getki i Jolanty Darczewskiej *Ruś porwana? Rosyjska wojna o tożsamość Ukrainy* (Warszawa 2022), jak bowiem piszą autorki: „Właśnie te dwa pojęcia – *российский народ* i *русский народ* – są najważniejsze dla tematyki poruszanej w tej książce. Ich rzekoma synonimiczność i nieprzetłumaczalność na język polski, angielski i inne języki stwarzają pole do manipulacji oraz tworzenia zmitologizowanych konstrukcji, jak choćby (...) «rosyjski świat»” (przy czym warto zauważyć, że ów „rosyjski świat” może być odczytywany na dwa sposoby: jako „rosyjski świat” i jako „rosyjski pokój”, czyli *pax*

russe, oba skądinąd dla ludzi znających nie tylko najnowszą historię dość przerażające).

Jednym z fundamentalnych pytań tej znakomitej książki, która winna stać się lekturą obowiązkową dla wszystkich interesujących się rolą Rosji w ciągu ostatnich 300 lat, w szczególności zaś ostatnim ćwierćwieczem, brzmi następująco: „jak to się dzieje, że Rosja atakuje Ukrainę, narażając miliony niewinnych Ukraińców na śmierć, cierpienia, tułaczkę, a jednocześnie dowodzi, że chroni trójjedyny bratni ukraińsko-białorusko-rosyjski naród przed zakusami podstępного Zachodu, który dąży do podporządkowania go sobie?”. „Braterstwo” Rosjan i Ukraińców wciąż podnoszone jest nie tylko przez propagandyistów Moskwy, ale też przez rosyjskich historyków. I warto może w tym kontekście zajrzeć do wydanej u nas w 2015 roku książki Maxa Kidruka *Ja, Ukrainiec*, co jest tytułem o tyle zwodniczym, iż oryginalny brzmi *Nebratcy*, czyli *Niebracia*.

Z tego też punktu widzenia warto spojrzeć na historyczne odmienności w relacjach rosyjsko-ukraińskich i polsko-ukraińskich. Piszą autorki: „O ile (...) romantyzm rosyjski cementował poczucie jedności etnicznej ukraińsko-rosyjskiej, to polski stawiał na wspólnotę, nie tyle genetyczną, ile ideową, wolnościową”. Znalazło to zresztą wyraz w herbie powstania styczniowego łączącego symbole – polski, litewski i ukraiński, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się warte przypomnienia, tym bardziej że w piśmiennictwie rosyjskim gra symbolami nie tyle dokumentuje związki, ile maskuje przemoc i skrywa imperialne ambicje Kremla, czemu zresztą autorki poświęciły sporo uwagi i wykazały przy tym, w jaki sposób manipulacje lingwistyczne kształtowały niekorzystne dla Ukraińców stereotypy mające utrwaląć przekonanie o ich „niższości” kulturowej i cywilizacyjnej.

Gdy się nad tym zastanowić, warto może odczytywać te wszystkie zabiegi Rosjan wobec Ukraińców jako coś w rodzaju kompleksu młodszego brata roszczonego sobie pretensje do zawładnięcia dziedzictwem pierworodnego i zmierzającego, jak Jakub wobec Ezawy, podstępem ograbić go z jego praw i przywilejów, gdyż tylko w ten sposób Moskałe zyskują możliwość zakorzenienia się w historii europejskiej, w której Ukraińcy, czyli Rusini, pojawili się jeszcze przed rozłamem chrześcijaństwa w roku 1054. Zdumiewa natomiast i budzi odrazę barbarzyńskie okrucieństwo Rosjan i demonstracyjne odrzucanie przez nich obowiązujących w europejskiej przestrzeni praw wyrażane w aktach ludobójstwa i serii zbrodni wojennych.

NOWY CYKL WYWIADÓW

Nauka przez duże K

Spoglądamy na badania i naukę kobiecym okiem

Aneta Zawadzka rozmawia z polskimi badaczkami o realizowanych przez nie projektach oraz systemowych rozwiązaniach, z którymi muszą się mierzyć w codziennej pracy.

Wśród rozmówczyń m.in.:

- **prof. Elżbieta Frąckowiak**
(Wydział Technologii Chemicznej Politechniki Poznańskiej)
- **prof. Joanna Kargul**
(Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego)
- **dr hab. Urszula Zajączkowska**
(Wydział Leśny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego)

Więcej: www.forumakademickie.pl/nauka_przez_duze_k

Prenumerata

„Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.
Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok.

Redakcja



Pamiętamy o (akademickich) ogrodach



Arboretum Szkoty Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Rogowie na fotografiach Piotra Banaszcza

